

ZEMSTY LIDERÓW PIS
Państwo w służbie
prywatnych zadr

ALKOHOLICZKI
Kobietom trudniej
wyjść z nałogu

PRASKI SIERPIEŃ '68
Nowe fakty: Polacy przeciw
inwazji na Czechosłowację

ULUBIONY PISARZ KRAJU
Tajemnice twórczości
Remigiusza Mroza

Kraków 19 sierpnia 2018 nr 34 (3606) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Ostatni dogmat



Wystawa czasowa
do 30 października 2018

Ratusz Głównego
Miasta Gdańska
ul. Długa 46/47

Król jedzie!

Wizyty władców polskich
w Gdańsku XV-XVIII w.

7 historii
200 zabytków
na 1000 m² sal wystawowych
w Muzeum Gdańska

www.muzeumgdansk.pl



MUZEUM
GDAŃSKA

KS. ADAM

Boniecki: Na 15 sierpnia

OD VI WIEKU NA WSCHODZIE I OD VII NA ZACHODZIE obchodzono Święto Zaśnięcia Maryi. Na Zachodzie święto nazywano *Assumptio Mariae* (Wniebowzięcie Maryi). Panujące przekonanie było takie, że „ciało Maryi, które nosiło Słowo i było świątynią Ducha, nie mogło dzielić powszechnego losu zepsucia spowodowanego przez grzech pierworodny” (św. Tomasz). Wiele stuleci później, 1 listopada 1950 r., po korespondencyjnym zasięgnięciu opinii wszystkich katolickich biskupów, papież Pius XII ogłosił konstytucję apostolską „*Munificentissimus Deus*” o Wniebowzięciu Maryi: „Powagą Pana Naszego Jezusa Chrystusa, świętych Apostołów Piotra i Pawła oraz Naszą ogłaszamy, wyjaśniamy i określamy jako dogmat przez Boga objawiony, że Niepokalana Bogarodzica Zawsze Dziewica Maryja, po zakończeniu biegu życia ziemskiego, została z ciałem i duszą wzięta do niebieskiej chwały”. Żeby nie było wątpliwości, dodał: „Dlatego też, gdyby ktoś, nie daj Boże, dobrowolnie odważył się temu, cośmy określili, przeczyć, lub o tym powątpiewać, niech wie, że odstąpił zupełnie od wiary Boskiej i katolickiej”.

Określenie „dogmat” nie brzmi dobrze, budzi skojarzenia z „dogmatyzmem”, zdaje się ograniczać wolność w poszukiwaniu prawdy. Chociaż sam termin „dogmat” jest w Kościele używany dopiero od XIX w., to w chrześcijaństwie zawsze dążono do jasnego sformułowania prawd wiary, twierdzeń przyjmowanych przez całą wspólnotę chrześcijańską. Tym były symbole wiary pierwszych synodów i soborów, tym były średnio-wieczne „artykuły wiary”. Zawsze opierały się na Piśmie Świętym, zawsze były twierdzeniami wiary, wynikającymi z wiary i prowadzącymi do Misterium, którym jest Bóg. Wyrażone ułomnym, ludzkim językiem, nimi ograniczone, usiłują wyrazić niedostępną rzeczywistość Boga. Można rzec, że są na granicy mówienia i milczenia, gdyż Boga raczej można kontemplować, niż wypowiedzieć. Dogmaty, jak i cała doktryna to nic innego niż katolicki sposób mówienia o Bogu.



Dziś wiadomo, że nie wszyscy chrześcijanie muszą wyznawać doktrynę katolicką posługując się identycznymi sformułowaniami. Jan Paweł II w niektórych ekumenicznych liturgiach odmawiał wyznanie wiary (*Credo*) opuszczając kwestionowane przez Kościoły Wschodu *Filioque*, wyrażające wiarę, że Duch pochodzi od Ojca i od Syna. A przecież rozpoczęty w IX w. spór o *Filioque* był jedną z przyczyn schizmy wschodniej. Papieska liturgia wskazywała na to, że jedność doktrynalna nie musi oznaczać jedności sformułowań. W sferze dogmatów Kościół wciąż szuka takich sformułowań, które w danym czasie przybliżają człowieka do tajemnicy Boga. Jest świadom, że wszystkie jego definicje, nawet te nieomyłne, są prawdziwe, lecz jak każda prawdziwa wypowiedź, są ograniczone. Teksty z przeszłości zawsze mówią więcej, niż autor chciał powiedzieć. Studiowanie dogmatów z przeszłości wymaga zrozumienia całego życiowego kontekstu, w którym dogmat się pojawił, ustalenia konwencji literackiej użytej w jego sformułowaniu, także tego, jaką wizję świata zakładał, jakimi pojęciami filozoficznymi się posłużył, na jakie pytania miał odpowiedzieć. Sformułowanie dogmatu (artykułu wiary, wyznania wiary) to zawsze etap zbliżania się do Misterium Boga. Dogmat etap zamyka, ale także otwiera nowy etap odkrywania, jakie jest znaczenie wiary w tym nowym sformułowaniu. Ogłoszenie dogmatu o wniebowzięciu dało impuls do odejścia od starej kosmologii z niebem jako najwyższą częścią świata w kierunku rozumienia go jako nowego sposobu bycia, wejście w wieczność Boga.

Historia dogmatów to fascynująca historia naszej wiary. By zrozumieć Katechizm Kościoła Katolickiego, warto prześledzić drogę dochodzenia do znanych nam dziś sformułowań. Zanim zaczniemy się krzywić na dogmaty, poznamy ich historię. Polecam np. czterotomową „Historię dogmatów” pod redakcją o. Bernarda Sesboüégo SJ (Kraków 2003). Życzę miłej lektury.

© P

**TYGODNIK
POWSZECHNY**



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

**MEDAL
ŚW. JERZEGO
2018**

Każdego roku środowisko „Tygodnika Powszechnego” przyznaje wyróżnienie – Medal św. Jerzego – za „zmaganie się ze złem i uparte budowanie dobra w życiu społecznym”.

O tym, kto otrzyma to wyróżnienie, decyduje Kapituła Nagrody na podstawie przesłanych przez Państwa – naszych Czytelników – propozycji. Zapraszamy do zgłaszania swoich kandydatów pocztą na adres redakcji lub drogą elektroniczną na adres medal@tygodnik.com.pl – w obu przypadkach z dopiskiem na kopercie lub w nagłówku maila „Medal św. Jerzego”.

Zgłoszenia z krótkim uzasadnieniem (do 1000 znaków) prosimy przesyłać do 15 września 2018 r.



■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Pax russica
MARCIN ŻYŁA

6–10 Wiadomości / Komentarze

18 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

11 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

20 Po kiego grzyba
ROZMOWA Z JANUSZEM
PIECHOCIŃSKIM: *Problemy zaczną się, gdy gospodarka spowolni*

24 Stan napięcia
MAREK RABIJ: *Czeka nas dekada drogiego prądu*

■ ■ REPORTAŻ

26 Promile w emocjach
KATARZYNA KUBISIOWSKA
W przypadku mężczyzny uzalenie to diagnoza, w przypadku kobiety – ocena moralna

■ ■ WIARA

34 Ostatni dogmat
EDWARD AUGUSTYN
Jakie były okoliczności ogłoszenia dogmatu o wniebowzięciu Maryi?

38 Kopia bezpieczeństwa
ROZMOWA Z KS. GRZEGORZEM
STRZELCZYKIEM

43 Wniebowzięta i wniebowzięci
S. BARBARA CHYROWICZ: *Czy wśród spraw, które nas absorbują, jest niebo?*

■ ■ ŚWIAT

46 Najpierw umrą baobaby
AGATA KASPROLEWICZ: *Upały – kaprys pogody czy skutek zmian klimatu?*

49 Porwanie z Europy
PATRYCJA BUKALSKA



JANEK SKARŻYŃSKI / AFP / EAST NEWS

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■

12 Państwo prywatnej zemsty

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Jarosław Kaczyński pozwolił pretorianom
i faryzeuszom „dobrej zmiany”
używać państwa do osobistego rewanzu.

■ ■ FELIETONY ■

32 ANNA DZIEWIT-MELLER

45 SZYMON HOŁOWNIA

61 WOJCIECH BONOWICZ

77 JAN KLATA

65 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: ZWIASTOWANIE,

ANTONELLO DA MESSINA, OK. 1479 R.

DEAGOSTINI / GETTY IMAGES

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

50 Bunt Drużów

INGA ROGG

51 Afgańskie drogi wyjścia

WOJCIECH JAGIELSKI

54 Witajcie w nowym świecie

ŁUKASZ GRUSZCZYŃSKI

*Międzynarodowy handel stał się
nieprzewidywalny. Czy dotyczy
to także Polski?*

■ ■ HISTORIA

56 Smutek i gniew

GRZEGORZ MAJCHRAK

50 lat po agresji na Czechosłowację

60 Powstanie w Treblince

KS. ADAM BONIECKI

■ ■ NAUKA

62 Ta straszna biała tkanka

ŁUKASZ SAKOWSKI

■ ■ KULTURA

66 Opium wypalonych

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

o książkach Remigiusza Mroza

70 Realista w demonicznej masce

DARIUSZ KOŚCIŃSKI o Jerzym
Grotowskim

73 Moskiewski kandydat

PIOTR TARCZYŃSKI

*Czy prezydent może być agentem
wrogoj mocarstwa?*

75 Połowa twarzy

ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Do zobaczenia w zaświatach”

76 Warto zobaczyć w TV

77 Powrót Grabińskiego

LEKTOR o książce „Muzeum dusz
czyśćcowych”

■ ■ WAKACJE

78 Plaża nam leży

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak
(kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabin, Mariusz Sepiolo,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Tabuszevska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażewska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Feliety: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech
Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Drągula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław
Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Stanisław Lubieński, Szymon
Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Noculi, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś,
Agnieszka Sabor, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiwak,
Jakub Taran, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotorecenzja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak,
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki
(kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frotow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-
Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.



PAX RUSSICA

Nowe porządki w Syrii ustalają głównie Władimir Putin i Baszar al-Asad. Kraj staje się właśnie protektorem Rosji.

MARCIN ŻYŁA

GDYBY WOJNA W SYRII BYŁA WCIĄŻ, JAK NA początku, starciem armii prezydenta Baszara al-Asada z jego przeciwnikami, można by uznać, że właśnie się kończy. Po wyparciu oddziałów opozycji z południowych prowincji Dara i Kunajtira rządowi w Damaszku pozostało tylko odzyskanie kontroli nad graniczącym z Turcją regionem Idlib. Ofensywa, wspierana przez rosyjskie lotnictwo, z użyciem bomb beczkowych i pocisków termobarycznych, już się zaczęła. Potrwa długo (ONZ ostrzega, że może zmusić do ucieczki nawet 2 mln ludzi), lecz mało kto wątpi w zwycięstwo Asada. „Sytuacja powraca do stanu sprzed wojny”, ogłosił w minionym tygodniu minister obrony Izraela.

Podobnego zdania są prawdziwi wygrani wojny, Rosjanie, którzy w Syrii urządzają już

nowy porządek. Właśnie zaapelowali o udział UE i Stanów Zjednoczonych w odbudowie kraju. Jej elementem ma być powrót części (ok. 1,7 mln) uchodźców, głównie z Libanu i Jordanii. W poświęconej tej sprawie konferencji w Soczi uczestniczyli przedstawiciele UNHCR, oenietowskiej agencji ds. uchodźców. Nie zgadzają się oni z Rosjanami w kwestii fundamentalnej: Syria – gdzie walki wyгнаły z domów ok. 13 mln ludzi, czyli ponad połowę populacji – jest według ONZ wciąż miejscem niebezpiecznym. „Możemy rozmawiać o powrotach uchodźców np. do rejonu Damaszku, ale tylko pod warunkiem, że będą się one odbywać w zgodzie z międzynarodowymi standardami: będą dobrowolne, bezpieczne, z zachowaniem godności uchodźców”, pisze w mailu

Ewakuowani z Dary cywile przybywają do prowincji Idlib, gdzie trwa już kluczowa ofensywa wojny, Idlib, lipiec 2018 r.

→ do „Tygodnika” Lisa Abou Khaled z biura UNHCR w Bejrucie, dodając, że powrót nie może być wymuszony brakiem alternatyw.

Tymczasem to właśnie w Libanie, kraju, który gości największą w świecie liczbę uchodźców w przeliczeniu na jednego mieszkańca (Syryjczycy to jedna piąta mieszkańców kraju), rośnie niecierpliwość. Rząd zakazał tworzenia obozów uchodźców i większość z nich sama opłaca swój pobyt. Wielu nie wolno podróżować po kraju, gminy odmawiają czasem grzeczności Syryjczyków na cmentarzach. Niektórych uchodźców skłaniają do powro-

tu do Syrii nowe przepisy, w myśl których prawo do swoich nieruchomości trzeba osobiście potwierdzić w lokalnym urzędzie. Efekt? W ciągu ostatniego miesiąca z Libanu wyjechało ok. 2 tys. ludzi. Hezbollah, szyicka i wspierająca Asada organizacja, mająca tu olbrzymie wpływy, otworzyła biura rejestracyjne dla repatriantów.

Tym ostatnim zaskoczona jest ONZ (Abou Khaled: „W tej sprawie czekamy na więcej informacji”). Niesłusznie – już od kilku miesięcy powojenne porządki w Syrii ustalają ci, których wojna dotyczy najbardziej. Wątek powrotu uchodźców miał

się pojawić podczas szczytu Trump–Putin w Helsinkach, po którym głośno stawia się też inne pytania. Czy Waszyngton, w ślad za Tel Awiwem, uzna władzę Asada? Czy Rosja zagwarantuje wycofanie się z Syrii proirańskiego Hezbollahu i oddziałów irańskich, których obecności u swoich granic obawia się Izrael? Czy Trump ogłosi swój kolejny „sukces” międzynarodowy i wycofa z Syrii ok. 2 tys. żołnierzy sił specjalnych? Wszystko to jest coraz bardziej prawdopodobne. I najbardziej cieszy Kreml – bo Syria staje się *de facto* protektorem Rosji.

© P MARCIN ŻYŁA

USA: nowe sankcje przeciwko Rosji

PIĘĆ MIESIĘCY PO TYM, jak mieszkający w Salisbury podwójny agent Siergiej Skripal i jego córka Julia zostali zaatakowani środkiem chemicznym nowiczok, Departament Stanu USA zapowiedział nowe sankcje przeciw Rosji, uzasadniając je tym, że to rząd Rosji stał za atakiem na Skripalów (wprawdzie oboje uratowano, ale później do szpitala trafiła też Brytyjka, która miała kontakt z flakonem po perfumach, w którym transportowano nowiczoka; kobieta zmarła). Odpowiadając już wcześniej na ten atak, kraje zachodnie wyrzuciły ponad 140 rosyjskich dyplomatów; Rosja w reakcji wyprosiła podobną liczbę dyplomatów zachodnich.

Nowe sankcje zakazują firmom z USA eksportu do Rosji wszelkich produktów, które mogą być wykorzystane do celów związanych z szeroko rozumianym bezpieczeństwem – jak elektronika czy turbiny napędzane gazem. Rzecznik Kremla powiedział, że sankcje są „niedopuszczalne”. Po ich ogłoszeniu rubel stracił na wartości wobec dolara, spadając do najniższego poziomu od listopada 2016 r. Spadły też akcje na moskiewskiej giełdzie.

Obserwatorzy sądzą, że nowe sankcje mają też wymiar wewnętrzno-polityczny: politycy Republikanów krytykują prezydenta Trumpa za jego wyrozumiałość dla Putina. Choć administracja USA od początku wspiera Londyn, sam Trump nigdy nie skrytykował Rosji za atak na Skripalów.

© WP / DPA, NZZ, FAZ



Shahidul Alam przybywa do sądu, Dhaka, 6 sierpnia 2018 r.

Do aresztu za wywiad

ZNANY BANGLADESKI FOTOREPORTER Shahidul Alam od ponad tygodnia przebywa w areszcie. Zatrzymano go – tuż po wywiadzie dla stacji Al-Dżazira, w którym krytykował działania rządu Bangladeszu usiłującego stłumić rewoltę studentów w stolicy kraju, Dhace – i postawiono zarzuty podburzania opinii publicznej.

Shahidul Alam jest nie tylko jednym z najbardziej cenionych fotoreporterów azjatyckich, którego prace publikowały media na całym świecie. W ojczyźnie cieszy się także opinią aktywisty walczącego z wykluczeniem i nadużyciami władzy. Na prośby o uwolnienie fotoreportera i aktywisty płynące z całego świata także oficjalnymi ścieżkami dyplomatycznymi władze w Dhace na razie pozostają głuche.

29 lipca autobus prowadzony – jak się potem okazało – przez osobę bez prawa jazdy zabił w Dhace dwóch studentów. W reakcji na to na ulice stolicy wyszły tysiące studentów i uczniów domagających się ucywilizowania ruchu ulicznego w kraju. Tylko w Dhace co roku ginie na drogach ponad 3,6 tys. osób (w Polsce, dla porównania, na drogach zginęło w 2017 r. 2,8 tys. osób). Chaos w ruchu ulicznym zdaniem protestujących bierze się z nieudolności i korupcji organów publicznych. Rządząca partia Awami League w zamieszkach doszukuje się jednak inspiracji islamskich radykałów i próbuje siłą zaprowadzić porządek. Kilka dni temu policja ostrzelała protestujących gumowymi kulami. 23 innych dziennikarzy relacjonujących zamieszki zostało pobitych przez nieznanych sprawców.

© P MAREK RABIJ

Więcej o bangladeskim kryzysie na stronie „Tygodnika Powszechnego”.

Jemen: nalot na szkolny autobus

INGA ROGG ZE STAMBUŁU



WATAKACH PROWADZONYCH PRZEZ lotnictwo Arabii Saudyjskiej w północnym Jemenie zginęło kilkudziesięciu cywilów, wśród nich wiele dzieci. Świadkowie relacjonują, że w czwartkowy poranek, 9 sierpnia, samoloty koalicji, na czele której stoją Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie, zbombardowały targowisko w pobliżu miasta Sada, trafiając także szkolny autobus pełen dzieci. Lokalne władze podały, że zginęło co najmniej 50 osób i prawie 80 zostało rannych (ostateczna liczba ofiar może być większa).

Międzynarodowy Czerwony Krzyż potwierdził atak na szkolny autobus. „Wielu zabitych, jeszcze więcej rannych, większość z nich poniżej dziesiątego roku życia” – pisał na Twitterze Johannes Bruwer, szef delegacji MCK w Jemenie. Miasto Sada i prowincja o tej samej nazwie są kontrolowane przez szyickich rebeliantów Huti, przeciw którym Arabia Saudyjska i jej sojusznicy prowadzą od trzech lat wojnę.

Jeszcze tego samego dnia koalicja potwierdziła, że jej samoloty dokonały nalotu, zaznaczając, że była to „uprawniona operacja wojskowa”, a jej celem było stanowisko rebeliantów, z którego dzień wcześniej ostrzelali rakietami saudyjskie miasto Dżizan, oddległe o 200 km. Rijad zarzucił Hutim, że wykorzystują dzieci jako żywe tarcze.

W ostatnich miesiącach rebelianci Huti wystrzelili dziesiątki rakiet na cele na terenie Arabii Saudyjskiej. Dwa tygodnie wcześniej zaatakowali też dwa saudyjskie tankowce, płynące przez cieśninę łączącą Morze Czerwone z Zatoką Adeną. W konsekwencji tego ataku Rijad musiał czasowo wstrzymać transport ropy przez Morze Czerwone. Według ONZ to Iran – rywal Arabii Saudyjskiej w tym regionie – dostarcza Hutim rakiety balistyczne krótkiego zasięgu i inne uzbrojenie (Iran zaprzecza tym zarzutom).

Saudyjczycy i ich sojusznicy interweniowali w Jemen wiosną 2015 r., by odeprzeć Hutich (i ich irańskiego protektora), którzy wcześniej opanowali znaczną część kraju. W tej wojnie zginęło dotąd ponad 10 tys. ludzi. Jej skutkiem jest też kryzys humanitarny – w opinii obserwatorów najgorszy dziś taki kryzys w skali świata. ©

Więcej na: powszech.net/jemen



ADAM WARZAWA / PAP

Machcewicz oczyszczony z zarzutów

KOMISJA DZIAŁAJĄCA przy Ministerstwie Finansów uniewinniła byłego dyrektora Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku prof. Pawła Machcewicza i jego zastępcę dr. Janusza Marszałca (na zdjęciu) z zarzutu naruszenia dyscypliny finansów publicznych. Chodziło o niegospodarność, jakiej dopatrzył się jeszcze w 2016 r. wicepremier i minister kultury Piotr Gliński. Mówił wtedy o kosztach dla podatnika rządu 90 mln zł (m.in. źle przeprowadzona bu-

dowa i niewłaściwe zakupy wyposażenia), choć wcześniejsza kontrola NIK-u nie wykazała uchybień. Była to część kampanii na rzecz odwołania Machcewicza przed otwarciem muzeum – politycy obozu władzy nie kryli, że dopiero organizowana ekspozycja na pewno będzie za mało akcentować polski punkt widzenia i będzie mieć zbyt pacyfistyczną wymowę. Muzeum w końcu otwarto w pierwotnie zakładanym kształcie, ale wkrótce potem, kiedy ministrowi udało się zwolnić Machcewicza, nowa dyrekcja zabrała się za modyfikację wystawy w duchu odpowiednim wobec stawianych zarzutów.

„Wierzę, że istota historii, czyli obraz składający się z wielu barw – zainteresuje również zwykłych Polaków. Że patriotyzm nie będzie odwoływał się tylko do czarno-białych kalek” – mówił dwa lata temu w rozmowie z „Tygodnikiem” Machcewicz. Na razie jednak resort kultury woli zamiast dialogu z samodzielnie myślącymi historykami doszukiwać się wydumanych malwersacji. Dlatego też swojej koncepcji wystawy Machcewicz z Marszałcem będą bronili przed sądem – proces, jaki wytoczyli nowej dyrekcji, zacznie się w październiku.

© P PAWŁ BRAVO

Adopcja po polsku

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



ZPOZORU WSZYSTKO WYGLĄDA IDEALNIE: w Polsce nie brakuje kandydatów na rodziców adopcyjnych (przeciwnie: jest ich znacznie więcej, niż potrzeba), a niemal sto procent dzieci zakwalifikowanych do przysposobienia znajduje nowy dom.

Ale pod tymi statystykami czają się patologie, częściowo opisane w ogłoszonym niedawno raporcie Najwyższej Izby Kontroli. O ile średni czas trwania procedury adopcyjnej (dwa lata) można uznać za uciążliwość służącą dobru dziecka (gromadzenie dokumentów, testy psychologiczne, szkolenia, proces poznawania dziecka i oczekiwanie na orzeczenie sądu, wbrew obiegowej opinii rychłe jak na polskie realia), o tyle brak jest jednolitych dla całego kraju wymogów i kryteriów adopcji. A praktyki korupcyjne wychwycone w ankietach przez NIK każą wątpić, czy system istotnie służy dzieciom.

Raport pokazuje tylko jedną odsłonę zjawiska: tę bezpośrednio związaną z adopcjami. Prawdziwy dramat dzieje się od lat na etapie wcześniejszym – przebywania dziecka w pieczy zastępczej (rodziny zastępcze, pogotowia opiekuńcze czy tzw. domy dziecka). Teoretycznie to miejsce pobytu tymczasowego, rodzaj „poczekalni” dla dzieci, którymi już nie chcą (nie mogą) zajmować się rodzice biologiczni, a jeszcze nie mogą ci adopcyjni. Nie mogą często przez lata, a nawet – bywa – do ukończenia 18. roku życia dziecka, bo jego status prawny pozostaje nieuregulowany. Instytucjonalny uwiąd, zbyt pobłażliwe dla rodziców biologicznych przepisy sprawiają, że największymi ofiarami są dzieci.

To dlatego niemal stuprocentowa skuteczność polskiego systemu adopcyjnego jest statystyczną fasadą. © P

Więcej o polskich adopcjach napiszemy w jednym z najbliższych wydań „TP”.



JAKUB OCIEPA / AGENCJA GAZETA

Profesjonalizm zagubiony w tłumaczeniu

W POLSKIM PRZEKŁADZIE jednego z najważniejszych unijnych aktów prawnych, jakim jest dyrektywa MiFID II, prawnicy znaleźli błąd. Rząd go nie zauważył.

Obowiązująca od stycznia dyrektywa wzmacnia pozycję inwestora wobec instytucji finansowej, która sprzedaje mu np. obligacje czy jednostki uczestnictwa w funduszu inwestycyjnym. Nowe przepisy zakazują oferowania skomplikowanych instrumentów finansowych osobom bez doświadczenia, które pozwoliłoby im ocenić stopień ryzyka takiej inwestycji. Bruksela poszła o krok dalej w stosunku do poprzedniej wersji dyrektywy, która nakazywała jedynie upewnienie się w ankiecie, że klient rozumie, co mu się sprzedaje. W praktyce – jak dowodzi choćby afera GetBack – sprzedawcy robili, co mogli, by kupujący odpowiedział, jak trzeba.

Nowe ograniczenia nie dotyczą jednak tzw. klienta profesjonalnego. W polskim tłumaczeniu to osoba, która pracuje w branży finansowej od przynajmniej roku i w tym czasie dokonywała transakcji z przeciętną częstotliwością 10 razy na kwartał, a w instrumentach finansowych ma ulokowane co najmniej 500 tys. euro. Problem w tym, że dyrektywa w brzmieniu oryginalnym mówi o spełnieniu minimum... dwóch z trzech powyższych kryteriów, a nie wszystkich. Efekt? Awans na klienta profesjonalnego byłby w świetle polskich przepisów trudniejszy.

Rząd zapowiedział, że błąd poprawi.

©© MAREK RABIJ

W SKRÓCIE

RZECZNICZKA. Sabina Zalewska została kandydatką PiS na Rzecznika Praw Dziecka. Wcześniej wstawiła się m.in. podważaniem sensu istnienia urzędu, do którego aspiruje, a także krytyką idei ochrony praw dziecka i zakazu kar cielesnych.

OBRÓŃCA. Rzecznikiem nowej rzecznik mógłby być Łukasz Warzecha, który w tygodniku „Do Rzeczy” napisał: „Karanie rodziców za dawanie (...) klapsów to jeden z żelaznych punktów lewicowej agendy. W istocie nie chodzi (...) tylko o klapsy, ale o rozmontowanie tradycyjnego modelu władzy rodzicielskiej”.

WIZJONER. Jak zrobić, by władzy tej było w Polsce więcej, poradził w Fakt24.pl Artur Soboń, wiceminister inwestycji i rozwoju. Pytany, czy single mogą korzystać z Programu Mieszkanie Plus, powiedział, że „takie osoby powinny płacić »bykowe«, bo to by skłoniło ich do założenia rodziny. Mówię pół żartem, pół serio, bo chciałbym, by Mieszkanie Plus było przede wszystkim dla rodzin”.



WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

SMOK. Trwa akcja KOD polegająca na zakładaniu koszulek z napisem „Konstytucja” postaciom z pomników. W ubiegłym tygodniu przebrany tak został gdański Neptun, wcześniej m.in. Lech Kaczyński, Fryderyk Chopin, a także postaci fikcyjne – Syrenka i Smok Wawelski.

WĄŻ. Postacią fikcyjną pozostaje warszawski pyton. Mimo odnalezienia drugiej w ciągu miesiąca wylinki węża, poszukiwania samego węża nie przyniosły efektów.

MISTRZ. Imponujący efekt – przystaniący nawet sukcesy lekkoatletów na mistrzostwach Europy – osiągają starania mistrza Polski w piłce nożnej o przejście do historii. Legia Warszawa przegrała 1:2 z półamatorskim mistrzem Luksemburga, w którego składzie grają m.in.: ochroniarz, sprzedawca i specjalista ds. logistyki.

Co zrobić ze złymi hierarchiami



ARTUR SPORNIAK

KOŚCIÓŁ W USA DYSKUTUJE NAD PRZYPADKIEM oskarżonego o molestowanie nieletnich i kleryków emerytowanego metropolity Waszyngtonu kard. Theodore'a McCarricka. Po kryzysie wywołanym w 2002 r. ujawnieniem licznych przypadków wykorzystywania seksualnego nieletnich przez duchownych wypracowano w Kościele procedury chroniące dzieci i młodzież, podniosła się także świadomość zagrożenia, a tym samym wrażliwość na nadużycia. Tymczasem sprawa McCarricka ujawniła, że procedury nie działają, gdy oskarżenie sięga biskupa, a nadużycia seksualne dotyczą także dorosłych. Świeckie kodeksy karne uwzględniają przestępstwa seksualne wobec osób pełnoletnich, natomiast kodeks prawa kanonicznego nie zawiera jasnego przepisu wymierzającego karę w przypadku wykorzystania sytuacji podległości np. w pracy duszpasterskiej.

Następca McCarricka, kard. Donald Wuerl, zaproponował powołanie w ramach Episkopatu komisji badającej oskarżenia kierowane wobec biskupów. Bp Edward Scharfenberger z Albany wskazał jednak na słabość takiej komisji – biskupi osądzaliby swoich kolegów. Jego zdaniem „potrzebna jest niezależna komisja złożona z powszechnie szanowanych osób świeckich, których praca w komisji nie przynosiłaby im korzyści finansowych, politycznych czy osobistych”. Kanoniści jednak wskazują, że zgodnie z prawem kanonicznym władza osądzania w Kościele wymaga święceń.

Najprawdopodobniej Watykan nie uniknie powołania osobnego trybunału do sądenia biskupów oraz konieczności uzupełnienia luk w prawie kanonicznym. My, świeccy, powinniśmy natomiast zrobić wszystko, by świadomość tego problemu w Kościele rosła.

©©

Biskupi o wolnych wyborach

MOCNY GŁOS EPISKOPATU W OBRONIE DEMOKRACJI. „Prawo wyborcze w żadnym przypadku nie może utrudniać korzystania z czynnego i biernego prawa wyborczego. Winno służyć społeczeństwu, działaniom na rzecz dobra wspólnego, a nie tylko największym partiom politycznym. Partie winny mieć charakter służebny (...). W szczególności dominujące partie nie mogą traktować swojej pozycji jako przywileju chronionego przed obywatelami” – napisał rzecznik Episkopatu w oświadczeniu w kwestii regulacji wyborczych. Ks. Paweł Rytel-Andrianik przypomniał nauczanie Kościoła dowartościowujące te rozstrzygnięcia polityczne, które umożliwiają maksymalnie szeroki wpływ obywateli na sprawy publiczne.

©© ASK

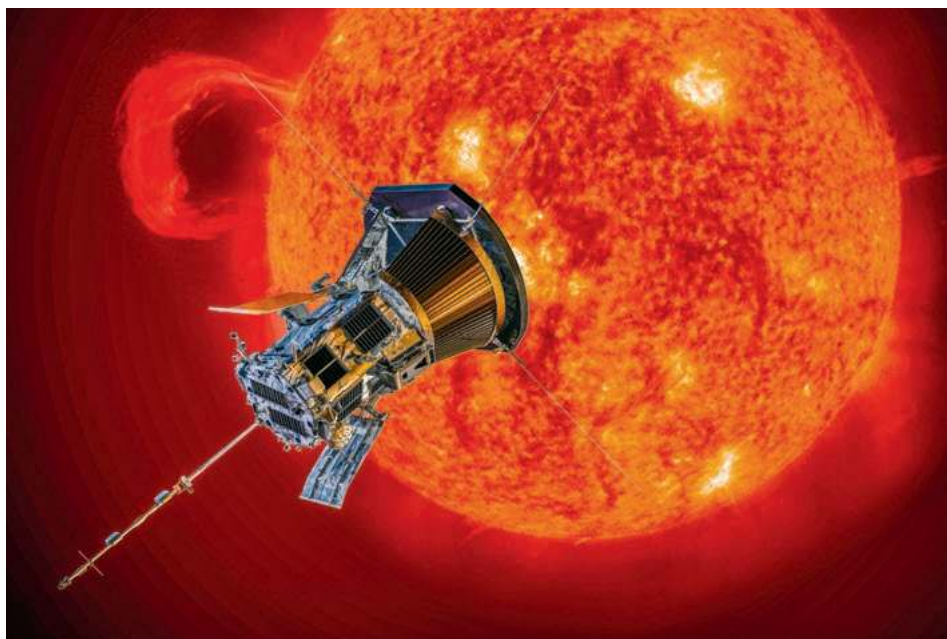
W SKRÓCIE

KRONIKA MIŁOSNA. Kobieto, „nie odmawiaj zbyt często współżycia”, „pozwól sobie na śmielsze zachowania i bieliźnę”. Mężczyzno, „bądź czysty i atrakcyjny” – to tylko niektóre porady dla małżonków przygotowane przez autorów katolickiej strony umilowani.pl. Z porad wynika m.in., że piękno „kobiety wyrażają ubiorem”, a mężczyźni „sprawnością intelektualną”. Czytamy w nich także, że hierarchia potrzeb dla kobiet to „sen-jedzenie-seks”; dla mężczyzn – „seks-jedzenie-sen”.

KRONIKA ABSURDU. 15-letniej Maxine Arbelo, transpłciowej katoliczce z Karoliny Północnej, odmówiono komunii świętej. Matka dziewczyny twierdzi, że to dyskryminacja, bo Maxine podczas mszy miała makijaż i mimo że urodziła się chłopcem, identyfikuje się jako dziewczyna. Rzecznik lokalnej diecezji wyjaśnia, że komunია nie została udzielona, ponieważ dziewczyna... żuła w kościele gumę, co miało być dowodem na złamanie tzw. postu eucharystycznego.

KRONIKA OBURZONYCH. Polscy duchowni komentowali pogrzeb Kory: „Samozbawienie. Zamiast krzyża zdjęcie z młodości. Zamiast Salve Regina pioseneczka o niczym. Smutny koniec” (ks. Marek Stawek); „Zamilknij klecho” (ks. Wojciech Lemański); „Takim chamskim zachowaniem nikogo do Chrystusa i Kościoła nie przyciągniemy” (ks. Grzegorz Kramer). O sprawie pisze w numerze Szymon Hołownia (s. 45).

KRONIKA SPOKOJU. Tydzień temu pisaliśmy o decyzji patriarchy Tawadrosa II, który zamknął konta w mediach społecznościowych. Koptyjscy mnisi i mniszki wzięli przykład ze swojego przełożonego. Wycofanie się z internetu jest „częścią programu reformy duchowej”. Celem zakazu używania mediów społecznościowych – czytamy na portalu Vatican Insider – jest „oddzielenie się od gorączkowego pośpiechu, w którym szerzy się bezładne idee oraz zbędne dyskusje”.



NASA

Misja ku Słońcu

PARKER SOLAR PROBE ma się zbliżyć na rekordowe 6 mln km do powierzchni Słońca, by wejść w jego koronę. Gdy zamykamy to wydanie „TP”, sonda NASA przygotowuje się do startu. To w koronie, którą ma zbadać, zachodzą najbardziej ekstre-

malne procesy na Słońcu, jak koronalne wyrzuty masy mogące zakłócić działanie ziemskich satelitów, a nawet sieci energetycznej.

Sonda pobije też rekord prędkości statku kosmicznego – ma osiągnąć 692 tys. km/h, a do jej wyniesienia konieczna jest rakietą dostarczająca 55 razy więcej energii, niż

potrzeba do misji na Marsa. Stworzenie pojazdu było możliwe dopiero dziś, gdy dostępne są technologie budowy osłon termicznych z kompozytów i włókien węglowych – zdolnych wśród ognia termojądrowych reakcji zapewnić na pokładzie sondy przyjemne 29 stopni Celsjusza. © P MK / NASA

Coraz bliżej korekty genetycznej człowieka

ŚWIATEM MEDYCYNĄ rok temu wstrząsnął artykuł (Hong Ma i in., „Correction of a pathogenic gene mutation...”), w którym opisano po raz pierwszy skuteczną, bezpieczną metodę usuwania wady genetycznej u zarodków ludzkich. Nie na myszach i nie na modelach komórkowych: w autentycznych ludzkich zygotach, za ledwie 18 godzin po zapłodnieniu – takich samych, jakie implantuje się kobietom na całym świecie w procedurach *in vitro*.

Zmodyfikowane metodą CRISPR/Cas zygoty były wolne od szkodliwej mutacji, nazywanej technicznie MYBPC3, która wywołuje u posiadacza tzw. kardiomiopatię przerostową. Choroba ta występuje u ok. 1 osoby na 500 i może powodować nagły zgon sercowy, zwłaszcza u młodych ludzi. Badacze pozwolili embrionom osiągnąć stadium 8-komórkowe, aby sprawdzić, czy rozwijają się prawidłowo i czy wszystkie komórki są naprawdę wol-

ne od mutacji. Dwa razy odpowiedź brzmiała: tak.

Ze zrozumiałych względów badanie zostało poddane skrupulatnej analizie i w ciągu ostatniego roku nie brakowało głosów krytyki pod jego adresem. Nie do końca jasny jest choćby mechanizm, za pomocą którego ta całkiem świeża metoda edycji genomu – technologia CRISPR/Cas została opisana w 2012 r. – miała by działać w przypadku ludzkiej zygoty.

Czasopismo „Nature” zrobiło więc rzecz dość rzadką: 8 sierpnia ponownie udostępniło swoje łamy autorom pierwotnego artykułu (kierownikiem laboratorium i głównym autorem artykułu jest pochodzący z Kazachstanu Shoukhrat Mitalipov), pozwalając im na opublikowanie odpowiedzi na głosy krytyki oraz dodatkowych danych, które pomogłyby przekonać niedowiarków. Nie jest to może wprost głos poparcia od tego najbardziej prestiżowego czasopisma naukowego świata, ale na pewno wyraz zachęty. Wygląda na to, że zbliża się świat, w którym likwidacja niektórych chorób genetycznych jest technologicznie wykonalna. I co teraz zrobimy? © P ŁUKASZ ŁAMŻA

Czas na rozsądek

NARESZCIE JEST SPRAWA, która jedno- czy Europejczyków. Nie są nią jednak migracje, Rosja czy zmiany klimatyczne. To zmiana czasu z letniego na zimowy i z powrotem.

Komisja Europejska ogłosiła internetowe „referendum”, pytając o sensowność przestawiania zegarów. Zainteresowanie było tak ogromne, że padły serwery. Na szczęście głosować można do 16 sierpnia.

Petycję w sprawie zniesienia zmian podpisało wcześniej ponad 70 tys. Finów. Na dalekiej północy słońce i tak praktycznie nie zachodzi latem i nie wstaje zimą, przestawianie zegarków jest tam więc jedynie biurokratycznym okrucieństwem. Tyle że cała Unia musi, na potrzeby wspólnego rynku, synchronizować zegarki.

Zmiany czasu w założeniu miały nam dawać więcej dziennego światła wieczorami. 21 grudnia, kiedy słońce



wschodzi o 7.42, a zachodzi już o 15.42, brzmi to jak ponury żart. Za to wiele badań wykazało, że przestawianie zegarów prowadzi do problemów ze snem, wzrostu liczby zawałów i niższej produktywności. Wszyscy, od maklerów po rabusiów, jesteśmy niedospani.

Co, czasami, miewa paradoksalne skutki. Po letniej zmianie czasu, według badań MIT, liczba napadów ulicznych spada o 7 proc. Podobnie liczba gwałtów. Badacze szacują, że ten spadek przestępczości oszczędził Amerykanom 59 mln dolarów w rok.

Ale oszczędności energetyczne są zerowe. Klimatyzacja biur, szkół i sklepów zużywa więcej prądu niż ich oświetlenie. Kiedy w 2006 r. zmianę czasu wprowadził stan Indiana, zużycie energii wzrosło nawet o 4 proc.

Benjamin Franklin zauważył, że ludzie, którzy śpią do późna, zużywają więcej świateł. W ramach oszczędności zaproponował, by zorganizować publiczne budzenie strzelaniem z armat o świcie. I bez tego zrywanie się z łóżka o godzinę wcześniej jest torturą.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI



MIKOŁAJ STARZYŃSKI

Wielka Redaktorka

RADA FESTIWALU Stolica Języka Polskiego w Szczepieszynie przyznała po raz pierwszy nagrodę Wielkiego Redaktora. Odebrała ją Marianna Sokołowska (na zdjęciu powyżej). Przez pół wieku zredagowała blisko 400 książek, pracowała z autorami kilku pokoleń, od Mirona Białoszewskiego, Marii Janin i Marka Nowakowskiego, przez Eustachego Rybskiego i Magdalenę Tulli, po Olę Tokarczuk i Michała Witkowskiego. Kim właściwie jest redaktor? Po 1989 r. niektórzy uznali, że praca nad tekstem to fanaberia. Skutki były opłakane. Tymcza-

sem dobry redaktor to sojusznik autora, czasem współtwórca jego sukcesu. Przykład skrajny: „Zabić drożdża” (1960), wielki amerykański bestseller, był efektem dwuletniej współpracy Harper Lee z redaktorką Tay Hohoff. Zmarła przed dwoma laty Lee pod koniec życia wydała wprawdzie drugą powieść, ale jest ona najpewniej wczesną wersją pierwszej. Znacznie gorzej...

– Pierwszą moją książką, którą pani Sokołowska redagowała, była „Lala” – wspomina Jacek Dehnel. – Byłem zawstydzony: na każdej stronie poprawki (a ona pracuje na papierze, ołówkiem). W odpowiedzi słyszę: „To bardzo czysty rękopis! Pan nie wie, co autorzy czasem przynoszą: książki, które trzeba dopiero zmontować, »książki w reklamówce«”. A przy tym ona uważa, że jak autor uprze się przy błędzie, ma do tego prawo.

To też bywało kamieniem obrazy. W rozmowie z Michałem Nogasiem Sokołowska wspomina z lat 70. redagowanie powieści pewnego polonisty, który postanowił zostać pisarzem. Powieść okazała się „narcystyczna aż do śmieszności, erotyczne marzenia bardzo starszego pana”. Próba przekonania go do zmian skończyła się... donosami do ministerstwa, Związku Literatów i dyrektora PIW-u. A najbardziej uraziły go słowa: „Skoro tak pan uważa, zostawmy wszystko w pańskim brzmieniu”. Praca redaktora to nie jest łatwy chleb!

© P TOMASZ FIAŁKOWSKI

Oscar stanął na głowie

ANITA PIOTROWSKA



JEŚLI MARZYSZ O STATUETCE DLA NAJLEPSZEGO filmu, to postaraj się, żeby nie miał za dużej widowni – tak komentowany jest najnowszy pomysł Amerykańskiej Akademii Sztuki i Wiedzy Filmowej. Spadek oglądalności oscarowej gali skłonił jej zarząd do wprowadzenia kilku zmian, w tym nowej kategorii: dla najlepszego filmu popularnego. Czyli taki np. „Ojciec chrzestny” mógłby dziś nie otrzymać głównej nagrody, bo zostałby przeflancowany do nowo otwartej „sekcji gimnastycznej”, określonej przez wyniki kasowe.

Ucierpi na tych zmianach przede wszystkim wysokiej jakości „kino śródka”, zasypujące przepaść między sztuką a rozrywką, jak kiedyś film Coppoli czy niedawno „Władca pierścieni”. Ucierpią

też produkowane przez wielkie wytwórnie hity, które miałyby odwagę być czymś więcej niż dodatkiem do popcornu. Bo jeśli nawet wybiją się ponad przeciętność, grozi im zamknięcie w getcie własnej popularności. Ponieważ Oscar ciągle ma moc fetyszu, wielu twórcom z ambicjami przestanie zależeć na szerszej widowni, a ci od masowych widowisk przestaną mieć „wyższe” ambicje. Smutna to wizja kultury w czasach coraz bardziej przepastnych podziałów społecznych. Teoretycznie chodzi o dodanie prestiżu kinu popularnemu, ale w pierwszej kolejności liczą się pieniądze. Oscar to przecież dodatkowo reklama, nowa odsłona nagród podkreśli więc tylko ich wielkoprzemysłowy charakter.

©



„TP” 28 / 2018

Obrona demokracji przed obywatelami

Tekst Klausa Bachmanna pt. „Plebiscyt dla samobójców” potwierdza, że wielu zwolenników liberalnej demokracji, mimo ich deklaratywnej sympatii dla społeczeństwa obywatelskiego, nie wierzy lub nie chce przyznać, że obywatele są zdolni do świadomego głosu w referendum („Propagując demokrację bezpośrednią, demokraci zakładają na siebie pułapkę”). Ten pesymizm co do ludzkiej natury, połączony z czymś, co nazwałabym „antypartycypacyjną przesmiewczością”, nie pozwala na rozważenie demokracji bezpośredniej jako sposobu zmanifestowania przez obywateli ich wolności politycznej, np. sprzeciwu wobec pomysłów rządu. Zamiast tego jest „nie” dla referendum, uzasadniane

nie tylko ryzykiem manipulowania obywatelami przez polityków, lecz przede wszystkim zarzutami ze strony przeciwnych: z subiektywizmu i indywidualizmu obywatela, czyli z tego, co liberalizm dowartościowuje. W tej antyreferendalnej krytyce subiektywizmu znamienne są zwłaszcza te zdania: „Połączenie »demokracji dramatu« z demokracją bezpośrednią pozwala na likwidację demokracji demokratycznymi metodami. (...) Dedykuję to prezydentowi RP i wszystkim tym, którzy uważają, że skomplikowane, wymagające kompromisów problemy polityczne, od aborcji przez *in vitro* aż do uchwalenia nowej konstytucji, można łatwo rozwiązać za pomocą referendum”. Sądzę, że referendum o konkretnych (co względnie planował prezydent Duda) antagonizuje mniej niż poddanie pod głosowanie całej konstytucji, pisanej bez udziału obywateli. Buduje poczucie realnej wspólnoty jednostek. W Szwajcarii rzadkie są antagonizujące narracje (lud vs. elity, patrioci vs. zdrajcy), bo referenda odbywają się tam w dziesięciu sprawach rocznie (jak np.

ulgi podatkowe), a nie raz na 15 lat w sprawie tak ogólnikowej jak wejście do UE. Narracja Bachmanna przypomina tekst ks. Józefa Tischnera z 1991 r. pt. „Ludzie z mrokiem w sercu”: „Czy zastrzeżenia [do referendum ws. aborcji] nie są jakimś podważeniem zasad demokracji? (...) [Jednak] w parlamentach zasiadają ludzie, którym dobro wspólne narodu jest bliższe, którzy widzą całość problemu, nie są związani zbyt mocno ciasnym, osobistym interesem, którzy mają obowiązek przez prawa wychowywać naród”. Widać, że obaj autorzy są przeciwni referendum w konkretnych kwestiach dlatego, że rzekomo złe jest patrzenie przez obywateli i z perspektywy własnych doświadczeń i wyobrażeń („ciasny, osobisty interes”). U obu autorów prawdziwą „demokracją” nie jest sprawczość obywateli, lecz jakiś komponent „wychowawczy”. U Tischnera Sejm, a u Bachmanna zbitka: „Unia Europejska, przestrzeganie zasad praworządności, praw człowieka i demokracji”. Tylko czym one są, skoro zasadą ich ochrony ma być

strzeżenie ich przed wolnością polityczną obywateli? Niestety dzisiejsza „obrona demokracji” często bywa obroną przed obywatelami.

ANNA CZEPIEL
politolog

„TP” 29 / 2018

Bezradny jak rodzic

Z dużym zainteresowaniem oraz emocjami przeczytałam reportaż Anny Goc „Pani chce dla nas dobrze” na temat przemocy w jednej z warszawskich szkół baletowych. Niestety podobne sytuacje mają miejsce także w szkołach podstawowych, gimnazjach i liceach. Podobne, czyli brak zainteresowania uczniami, brak uważności w stosunku do ich zachowania oraz wiele innych. To, co jest według mnie najgroźniejsze, to brak jakichkolwiek reakcji ze strony władz szkoły oraz instytucji nadrzędnych. Na uczelniach przeprowadzane są ewaluacje nauczycieli, na podstawie których dokonywana jest ocena. W szkołach podstawowych dzieci i rodzice takich narzędzi nie mają. Może warto byłoby zastanowić się nad ich wprowadzeniem?

RENATA SKRZETUSKA

REKLAMA

SOS ROHINGYA

Polska Akcja Humanitarna apeluje o pomoc: pogarsza się sytuacja ludzi w obozach w Bangladeszu. Każdy dzień pory monsunowej to więcej narażonych rodzin!

Fot. Michał Fiałkowski



Polska Akcja Humanitarna

WPLAĆ ONLINE: WWW.PAH.ORG.PL/WPLAC

LUB NA KONTO:

Alior Bank 02 2490 0005 0000 4600 8316 8772

DOPISEK SOS ROHINGYA

PAŃSTWO PRYWATNEJ ZEMSTY

Jarosław Kaczyński pozwolił swoim ludziom używać państwa do osobistego rewanzu. Oto szczegółowy raport.

ANDRZEJ STANKIEWICZ



Na polaroidach: Jarosław Kaczyński z Donaldem Tuskiem i Małgorzatą Gersdorf, Mariusz Kamiński z Wojciechem Łączewskim oraz Zbigniew Ziobro z Agnieszką Pīlarczyk

KAŻDA ZMIANA WŁADZY POWODUJE PATOLOGICZNE, choć przewidywalne zjawiska. Kumoterstwo, czyli obsadzenie państwa swoimi ludźmi – z wdzięczności, dla umocnienia więzi, w oczekiwaniu na lojalność. Nepotyzm, bo rodzina musi się odkuć. Klientelizm, gdy politycy próbują pieniędzmi i wpływami budować wierną gwardię.

Wszystko to widzieliśmy wielokrotnie, w ciągu trzech dekad III RP. PiS wyśrubował wyniki w tych konkurencjach, ale rozwinął także jeden całkowicie nowy, niebywale niebezpieczny mechanizm: otwarte wykorzystywanie państwa do osobistych porachunków.

Najbardziej wyraziście widać to w prokuraturze, służbach specjalnych i innych hie-

rarchicznych strukturach siłowych, gdzie podstawowym wymogiem jest posłuszeństwo. Środki represji są tu poważniejsze, drogi odwoławcze skromne, a ryzyko sprzeciwienia się politykowi czy urzędnikowi mszczącemu się przy wykorzystaniu państwowych represji – kosztowne.

W tej swoistej „białej księdze prywatnej zemsty” natrafiłem na wiele budzących

poważne wątpliwości przypadków wykorzystywania państwa do osobistego rewanżu – a nie mam złudzeń, że to jedynie czubek góry lodowej. Widoczny o tyle, że obejmuje często sprawy głośne i ludzi znanych. Niżej mrok może być jeszcze większy.

Porachunki z prokuratorami

Zbigniew Ziobro musiał swe urazy kolekcjonować przez całe osiem lat, gdy nie miał władzy i wegetował na politycznym marginesie. Od pierwszego dnia po powrocie do resortu zaczął realizować konsekwentny plan czystek podszytych rewanżem. W przeciwieństwie do Trybunału Konstytucyjnego czy Sądu Najwyższego, przejmowanych miesiącami przez raz po raz nowelizowane ustawy, prokuratura została opanowana przepisami wprowadzonymi szybko i sprawnie. Dziś jest podporządkowana totalnie – właściwie Ziobro może zrobić, co chce, w każdej sprawie i z każdym prokuratorem. Wice-ministrami sprawiedliwości są wyłącznie ludzie Ziobry, Prokuraturą Krajową zaś kieruje jego kolega ze studiów – Bogdan Świączkowski.

Tak ogromna władza i taka obsada personalna budziły zdumienie nawet w kręgach kierowniczych PiS. Bo Ziobro już za poprzednich rządów PiS w latach 2005-07 był znany ze swych ciągów do ręcznego sterowania prokuraturą i odgrywania się na ludziach. Kaczyńskiego miała jednak przekonać jego „determinacja”. Pod tym określeniem kryje się żądza zemsty na poprzednikach z Platformy, którzy za swych rządów ciągli Ziobrę po prokuraturach.

Po prawdzie, Platforma bardziej chciała Ziobrę gonić, niż go dogonić. Usłyszał zarzuty za to, że jako prokurator generalny bez podstawy prawnej przekazywał informacje o mafii paliwowej Jarosławowi Kaczyńskiemu, ale ostatecznie prokuratura umorzyła sprawę.

Mimo to „determinację” do zemsty Ziobro rzeczywiście ma. Rewanż został dobrze zaplanowany. Ziobro zmienił szyld z Prokuratury Generalnej na Prokuraturę Krajową – co przedstawił jako reorganizację, dającą podstawy do czystek. Lista zdegradowanych jest długa.

Znajduje się na niej choćby Marek Staszak. To był szef prokuratury w rządzie Tuska, który nadzorował wszystkie kluczowe śledztwa, w tym sprawy przeciwko Ziobrze i innym oficielom PiS z czasów poprzednich rządów tej partii. Czy prze-

kroczył swoje uprawnienia ścigając politycznych przeciwników Tuska? Kontrolowana przez Ziobrę prokuratura niczego takiego nie twierdzi. A mimo to Staszaka zawrócono z końca na początek prokuratorskiej ścieżki – został szeregowym śledczym prokuratury rejonowej w Warszawie.

Prokurator Marek Wełna z krakowskiej prokuratury apelacyjnej zasłynął z walki z mafią paliwową. Też trafił na dno, do rejonu. Tu akurat motywacje są wyjątkowo czytelne. Zeznając w procesie, jaki Jarosław Kaczyński wytoczył Romanowi Giertychowi za to, że ten zarzucił mu zbieranie „haków” na przeciwników politycznych, gdy wspólnie rządzili w latach 2005-07, Wełna obciążył Ziobrę i Świączkowskiego.

Podczas tego procesu w 2011 r. Wełna twierdził też, że kopie akt z jego śledztw przekazywane były ówczesnej dziennikarce Patrycji Koteckiej, „aktualnej małżonce pana Ziobro”. „Gdy nie chciałem jej dać akt, to zadzwonił Świączkowski i kazał przynieść tę opinię w zębach” – mówił.

Prokuratura – już oddzielona przez rządzącą wówczas Platformę od rządu – wszczęła śledztwo, ale uznała, że świadkowie nie potwierdzają oskarżeń Wełny. A Ziobro oświadczył, że to słaby prokurator i politykami lewicy interesował się na własną rękę.

Nikt dziś Wełnie nie stawia zarzutów naruszenia prawa, choćby składania fałszywych zeznań.

W grupie zdegradowanych znaleźli się nawet prokuratorzy związani z Lechem Kaczyńskim. Chodzi np. o Marzenę Kowalską, która po objęciu władzy przez PiS w 2005 r. została szefową ważnej prokuratury apelacyjnej w Warszawie. Tuż przed śmiercią Kaczyński wywalczył jej stanowisko wiceszefowej Prokuratury Generalnej.

Ziobro posłał ją do Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga, na szeregowego śledczego. Tu już wątek osobistej zemsty był jasny. Za poprzednich rządów PiS Kowalska, czując wsparcie ówczesnego prezydenta, toczyła z Ziobrą ostre boje. Sprzeciwiała się – czas pokazał, że słusznie – spektaklowi wokół zatrzymania słynnego kardiochirurga, któremu Ziobro niesłusznie zarzucił mordowanie pacjentów.

Widowską wojnę Ziobro wydał także Małgorzacie Wilkosz-Śliwy, byłej głównej rzeczniczce prokuratury i byłej kandydatce do Sejmu z ramienia lewicy.

Z prokuratorskiej centrali zdegradował ją na sam dół, do prokuratury rejonowej.

Oczywiście, prokuratorzy powinni unikać zaangażowania politycznego, więc nie ma co rozgrzeszać Wilkosz-Śliwy za flirt z polityką. Szkopuł w tym, że Ziobro w roli stróża politycznego dziewictwa śledczych wyglądałby groteskowo. Wszak jego prawa ręka, Świączkowski, jako prokurator był nie tylko radnym, ale nawet krótko posłem PiS.

Według Wilkosz-Śliwy jej degradacja to osobisty rewanż obecnego ministra. W pozwie do sądu napisała, że decyzja Ziobry była „motywowana uprzedzeniami o charakterze osobistym”. Chodzi o to, że w przeszłości Ziobro oblał egzamin na aplikację prokuratorską przed komisją, w której zasiadała Wilkosz-Śliwa. Niedawno sąd oddalił pozew pani prokurator ze względów proceduralnych – uznał, że w tej sprawie nie powinna pozywać skarbu państwa, tylko „ten podmiot, który ją zatrudnił”.

Rzecz w tym, że wcześniej trybunał w Strasburgu odesłał zdegradowanych prokuratorów do krajowych sądów. Wygląda więc na to, że zemsta Ziobry została zatwierdzona i na poziomie krajowym, i europejskim.

Za śmierć taty

Nawet gdyby – niczym Temida – założyć opaskę na oczy i uznać, że Ziobro degradując prokuratorów dziesiątkami ocenia wyłącznie ich kwalifikacje, to są inne sprawy, w których wyraźnie widać jego skłonność do osobistej rozgrywki.

Najbardziej wyrazisty przykład to wprowadzona przez niego od lat wojna z lekarzami, którzy leczyli jego ojca. Jerzy Ziobro zmarł 12 lat temu, jeszcze gdy jego syn był ministrem w poprzednim rządzie PiS. Już wówczas rodzina skierowała doniesienie do podległej ministrowi prokuratury. Zarzuty dotyczyły nieprawidłowej diagnozy i wyboru nieprawidłowego leczenia.

Jednak w kwietniu 2008 r., gdy Ziobro już nie rządził, śledczy postępowanie umorzyli. Rodzina Ziobrów zaskarżyła decyzję prokuratury, podpierając się własnymi, zamawianymi za granicą opiniami, wartymi kilkadziesiąt tysięcy złotych. Sąd nakazał przyjrzeć się sprawie jeszcze raz. W czerwcu 2011 r. prokuratura prawomocnie zamknęła sprawę. Biegli konsekwentnie nie dopatrzili się w działaniach kardiochirurgów jakichkolwiek błędów.

→ W tej sytuacji Ziobrom została tylko jedna droga – wniesienie do sądu prywatnego aktu oskarżenia przeciw lekarzom. To też nie przyniosło skutku. Chwycili się ostatniej deski ratunku – poprosili ówczesnego prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta, by złożył kasację do Sądu Najwyższego. Seremet zrobił to pod koniec 2012 r. – co jest o tyle zaskakujące, że wcześniej dwukrotnie jego własna prokuratura zamykała sprawę.

Sąd Najwyższy stanął po stronie Ziobrow i nakazał prowadzić sprawę z prywatnego aktu oskarżenia przeciwko czwórce lekarzy. „Wprowadzali w błąd”, „fałszowali obraz”, „wykonywali zabiegi, które miały związek ze śmiercią pacjenta” – napisali Ziobrowie w owym akcie.

Jednak biegli ze Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach potwierdzili wcześniejsze ustalenia. Tyle że w tym momencie diametralnie zmieniła się sytuacja – Ziobro wraz z PiS wraca do władzy.

I zaczyna się interwencja na całej linii. Po pierwsze, Ziobro chce udowodnić, że jest układ między oskarżonymi a biegłymi ze Śląska. „Jednego łączyły biznesowe relacje z oskarżonym, inny napisał z oskarżonym lekarzem kilkadziesiąt artykułów” – twierdzi minister w Onecie.

Najpierw zmienia więc prawo. Wiosną 2016 r. z inicjatywą Ministerstwa Sprawiedliwości posłowie zaostają kary za przygotowanie fałszywej opinii przez biegłego. Potem jeszcze pojawia się przepis, wedle którego to państwo ma ponosić koszty procesów toczonych z prywatnego oskarżenia.

W lipcu prokuratura wszczyna postępowanie dotyczące wyłudzenia przez biegłych w sprawie śmierci Jerzego Ziobry niemal 400 tys. złotych, bo tyle kosztowała państwo przygotowana przez nich opinia. W ten sposób eksperci w procesie sami stają się celem śledztwa. We wrześniu niektórych biegłych profesorów i doktorów odwiedza z rana w domach i gabinetach policja z prokuratorami. Szukają dowodów na to, że wyłudziła pieniądze od państwa. W grudniu 2016 r. szef zespołu biegłych słyszy zarzuty – miał zawyżyć wartość opinii. Zostaje również zawieszony w czynnościach służbowych na uniwersytecie medycznym. Współtwórcy opinii zaczynają go obciążać, w dodatku



część dystansuje się od swych wcześniejszych analiz.

Zarazem – to po drugie – do prywatnego aktu oskarżenia dołącza się prokuratura, która wszak za poprzedniego szefostwa dwukrotnie sprawę zamykała. W praktyce oznacza to klasyczny proces z oskarżenia publicznego – umożliwia to także zmiana w prawie po cichu wprowadzona przez Ziobrę.

Wtedy – i to po trzecie – Ziobro bierze na cel siędzące, która prowadzi proces: Agnieszkę Pilarczyk. Uderzenie w Pilarczyk było w głowie Ziobry, jeszcze zanim odzyskał władzę. Gdy latem 2015 r. PiS urządziło konwencję wyborczą w Katowicach, dziennikarka „Polityki” wśliznęła się na zamkniętą dyskusję dotyczącą zmian w sądownictwie. I relacjonowała zapowiedzi Ziobry: „Musimy znaleźć sposób, by z niektórymi sędziami rozmawiać inaczej”. Przyszły minister wymienił kilka nazwisk sędziów, w tym Pilarczyk.

Tuż przed zakończeniem procesu prokuratura wszczyna postępowanie w sprawie okoliczności związanych ze zleceniem wspomnianej, przeplaconej opinii biegłych. Doniesienie przeciwko sędzi Pilarczyk składa mama ministra. W ten sposób, tuż przed wydaniem wyroku – jak spodziewa się Ziobro, niekorzystnego z jego punktu widzenia – prokuratura znajduje sposób, by sędzię wyłączyć z orzekania.

Sąd w innym składzie rozstrzyga, że nie ma przesłanek do wyłączenia Pilarczyk. A w lutym 2017 r. zapada wyrok: lekarze niewinni.

Oczywiście, i prokuratura, i rodzina ministra odwołali się od tego wyroku. Apelacja w krakowskim Sądzie Okręgowym dobiega końca. Tuż przed jej rozpoczęciem Ziobro wymienił szefową sądu, stawiając na jego czele swą koleżankę z podstawówki Dagmarę Pawełczyk-Woicką, którą wysłał do Krakowa wprost z ministerstwa. Dał jej także miejsce w nowej Krajowej Radzie Sądownictwa. To

jedna z najbardziej kontrowersyjnych nominacji sędziowskich. Została zgłoszona do KRS przez swego partnera Dariusza Pawłyszczę, dyrektora departamentu sądowych kadr w Ministerstwie Sprawiedliwości. Szybko skłóciła się z krakowskimi sędziami, którzy zażądali jej dymisji. Oczywiście Woicka jest prezesem wyłączonej dzięki Ziobrze. A Ziobro nie pozwoli Woickiej odwołać, bo za jej pośrednictwem kontroluje cały sąd.

Nie jest to miejsce – ani nie mam takich kompetencji – by ocenić, czy lekarze operujący Ziobrę seniora popełnili błędy, czy też nie. Tyle że ministrowi już od dawna zupełnie nie o to chodzi. Jego sposób działania i wykorzystywanie do prywatnej wojny prokuratury i sądów wskazuje raczej na to, że w merytorycznej, medycznej rozgrywce na sali sądowej nie jest pewien wygranej.

Dziś na sali sądowej naprzeciw kardiochirurgów stają awatary Ziobry w trzech rolach: pokrzywdzonego, prokuratora i nadzorca sędziego. To kafkowski proces, w którym już w ogóle nie chodzi o prawdę i 400 tys. złotych.

Handlarz rewanżu

Ziobro pozwala też na wyrównywanie rachunków swym ludziom, choćby wice-ministrowi od sądów, Łukasowi Piebiakowi. Jeszcze w roli sędziego Piebiak był skonfliktowany z kierownictwem stołecznego Sądu Okręgowego, w któ-

rym pracował. Szczególnie uwierała go sędzia Ewa Malinowska. Jako wiceprezes Sądu Okręgowego wydała negatywne opinie o Piebiaku, gdy orzekał w tym sądzie na tzw. delegacji (czyli okresie próbnym). Gdy w 2012 r. starał się o posadę pełnoprawnego sędziego Sądu Okręgowego, to opinie Malinowskiej przesądziły o tym, że Krajowa Rada Sądownictwa odrzuciła jego kandydaturę. Potem Malinowska oskarżała go, gdy jako sędzia miał postępowanie dyscyplinarne.

Dziś Sądem Okręgowym kieruje dobra znajoma wiceministra, Malinowska zaś została odwołana miesiąc przed końcem kadencji. A Piebiak – razem z Ziobrą – dopełnił rewanzu także na KRS. Stara Rada broniła sędzi Pilarczyk od procesu w sprawie śmierci ojca Ziobry, a także aż 35 razy odrzucała wnioski Piebiaka jako sędziego o stanowiska w sądach wyższej instancji. Rozbili starą KRS i obsadzili sędziami związanymi z PiS.

Zresztą w systemie prywatnej zemsty Ziobro jest postacią kluczową, nawet dla innych ministrów. Apetyty na rewanz przedstawicieli resortów siłowych często zahaczają o prokuraturę czy sądy, a tam nie da się załatwić zemsty bez pośrednictwa Ziobry. Minister zaś wie, że to dobra polityczna waluta.

Kiedy w Katowicach zapowiadał rewanz wobec sędzi, która prowadziła proces jego ojca, wymienił także jednym tchem sędziów, którzy w pierwszej instancji skazali byłego szefa CBA Mariusza Kamińskiego. Wraz ze swym zastępcą i wieloletnim kolegą Maciejem Wąsikiem oraz dwoma innymi oficerami CBA z ich kręgu Kamiński został ukarany więzieniem za przekroczenie uprawnień podczas operacji przeciwko Andrzejowi Lepperowi za pierwszych rządów PiS.

Jeszcze przed końcem procesu ułaskawił ich prezydent Duda, co stało się przedmiotem politycznych i prawnych kontrowersji.

W składzie, który skazał Kamińskiego, było trzech sędziów: Wojciech Łączewski, Małgorzata DREWİN i Łukasz Mrozek. Najbardziej skomplikowana jest sprawa Łączewskiego, który kierował składem. Sędzia jest pod lupą prokuratury, bo jeden z użytkowników Twittera twierdzi, że Łączewski się z nim kontaktował sądząc,



że pisze do Tomasza Lisa. Miał oferować swe doradztwo w zwalczaniu PiS. Dowodem ma być m.in. to, że Łączewski pojawił się na spotkaniu w miejscu umówionym z fałszywym Lisem.

Łączewski zaprzecza, sugerując, że to może być prowokacja służb. Przekonuje też, że ktoś włamał się do jego komputera i na internetowe konto – ale biegli tego nie potwierdzili i prokuratura umorzyła śledztwo w tej kwestii. Bada w związku z tym, czy Łączewski nie składał w tej sprawie fałszywych zeznań.

Być może Łączewski przekroczył granicę i złamał śluby apolityczności, a potem kłamał – jeśli tak, to powinien ponieść tego konsekwencje. Nie zmienia to faktu, że – po odłożeniu tej sprawy na bok – i tak wygląda na to, że trwa szersza operacja przeciw składowi, który skazał Kamińskiego.

Są tu i małe złośliwości – Ziobro przeżywał Łukaszowi Mrozkowi staż w Europejskim Trybunale Praw Człowieka w Strasburgu. Ale są i poważniejsze operacje. Trwa śledztwo prokuratorskie z doniesienia przyjaciela i podwładnego Kamińskiego – obecnego szefa CBA Ernesta Bejdy – w sprawie rzekomego ujawnienia przez trójkę sędziów w uzasadnieniu wyroku sprawy Kamińskiego informacji dotyczących tajnych agentów (Łączewski twierdzi, że padają tam wyłącznie nazwiska funkcjonariuszy CBA podane przez

Macieja Wąsika na jawnej rozprawie sądowej).

Z kolei Ziobro złożył dodatkowo wniosek o dyscyplinarkę dla Łączewskiego za to, że w jednym z wywiadów oświadczył, iż wyrok na Kamińskiego „zapadł jednogłośnie”. Zdaniem ministra było to złamanie tajemnicy sędziowskiej narady. Szkopuł w tym, że żaden z sędziów nie zgłosił zdania odrębnego, co automatycznie oznaczało, że wyrok zapadł jednogłośnie.

Odcięty od tajemnic

Kamiński i Wąsik jako włodarze służb mają dziś zresztą nie-

wiele mniejsze pole do rewanzu od Ziobry. Rok temu jeszcze jako lider Nowoczesnej Ryszard Petru wypomniął im skazanie w sprawie Leppera i nazwał „przestępcami” (Wąsik skierował sprawę do sądu). Wkrótce potem podczas protestów sądowych Petru był pod szczególną obserwacją policji. Uznał, że to inwigilacja, i wniósł prywatny pozew do sądu, bo prokuratura zbadać tego nie chciała.

Wiosną tego roku Petru dostał wezwanie na przesłuchanie do CBA: – Pokazano mi zdjęcie z jakiejś imprezy sprzed lat z nieznanym człowiekiem. Jak się okazało, jest dziś o coś podejrany. Wypytywano mnie, czy go znam – opowiada.

Petru nie był posłem zawodowym. Miał dwa główne źródła dochodów. Od 5 lat współpracował z jedną z dużych kancelarii prawnych. Od pięciu 2015 r. zasiadał też w radzie nadzorczej firmy odzieżowej Vistula.

– Z kancelarii dostałem informację, że 19 czerwca wkroczyła do nich skarbowka i kontroluje wyłącznie moje faktury. W tej sytuacji poproszono mnie, żebym wystawił ostatnią fakturę – opowiada mi, pokazując korespondencję w tej sprawie.

Z kolei 27 czerwca zakończyła się kadencja rady nadzorczej Vistuli. Nie został wyznaczony na kolejną. Zablokowało go OFE PZU, czyli państwowy fundusz emerytalny.

Petru uważa, że Kamiński z Wąsikiem prowadzą na niego polowanie. Zawiesił ➔

→ działalność gospodarczą i zaczął brać pensję z Sejmu. Petru bywa megalomanem, ale w tym przypadku ciąg zdarzeń jest co najmniej niepokojący.

Osobiste emocje i uprzedzenia koordynatorów służb najbardziej wyraziście widać na przykładzie operacji wymierzonej w Pawła Wojtunika, następcę Kamińskiego w CBA z nominacji Tuska. To on wszczął wewnętrzne kontrole, których efektem były doniesienia do prokuratury przeciwko Kamińskiemu i jego ludziom – także wspomniana sprawa Leppera.

Gdy PiS wygrało wybory, w pierwszej kolejności jako nowy koordynator specsłużb wziął się właśnie za niego. Pozbawił go certyfikatu dostępu do tajemnic państwowych, co zmusiło Wojtunika do dymisji – nie mógł kierować tajną służbą bez dostępu do jej tajemnic. Kamiński swą decyzję uzasadnił tym, że Wojtunik jako jeden z oficjeli poprzedniego rządu dał się nagrać kelnerom w knajpie Sowa i Przyjaciele – spotkał się tam z ówczesną wicepremier Elżbietą Bieńkowską. Do dziś Wojtunik nie usłyszał żadnych zarzutów ujawnienia tajemnic Bieńkowskiej.

Pozbawienie certyfikatu to dla ludzi służb coś gorszego od dymisji, bo zamyka szansę na znalezienie pracy w prywatnym biznesie. Ludzie od tajemnic są bezużyteczni, jeśli nie mogą mieć dostępu do tajemnic. Wojtunik sobie poradził – wygrał konkurs i został konsultantem UE do spraw zwalczania korupcji w Mołdawii.

Ale to nie był koniec zemsty Kamińskiego i Wąsika. Zatrudniona w ABW żona Wojtunika została zdegradowana, w finale zmuszona do odejścia (mieszka z mężem w Kiszyniowie i odmówiono jej przedłużenia urlopu bezpłatnego). Do tego prokuratura odpaliła kilka śledztw, w których szukano możliwości oskarżenia Wojtunika. Jego nieletnia córka była przesłuchiwana w tajnej kancelarii prokuratury w sprawie korzystania przez nią ze smartfona kupionego z funduszu operacyjnego CBA, co miało wskazywać na jego przywłaszczenie.

Nowi władarze służb twierdzili, że za czasów Wojtunika CBA inwigilowało ich oraz ich rodziny. Zarzucali mu też „świadome zaniechania” oraz „brak rzetelności” w sprawach dotyczących korupcji. Ba, jego CBA miało nie tylko kryć polityków Platformy, ale wręcz ostrzegać ich, że są pod lupą. „Dochodziło do takich sytuacji, że osoby pełniące ważne funkcje państwowe pozostawały bezkarne. Woj-

tunik będzie się musiał bronić w prokuraturze” – zapowiadał wiosną 2016 r. Mariusz Kamiński.

Jak dotąd, po niemal trzech latach jego rządów, niewiele się z tego ostało. Rzeczywiście, prokuratura niedawno postawiła Wojtunikowi zarzuty. Miał chronić szefa stołecznego CBA, który m.in. defraudował służbowe pieniądze. Szkopuł w tym, że to sam Wojtunik na niego doniósł i trwa proces upadłego agenta.

Podobnie jak z Wojtunikiem było także z innym szefem specsłużby z czasów Platformy – Krzysztofem Bondarykiem, który kierował ABW. W 2016 r. w sejmowym wystąpieniu podczas tzw. audytu rządów PO Kamiński zarzucał Bondarykowi celowe zaniedbania w sprawie Smoleńska, a także inwigilację środowisk bliskich PiS, w tym obrońców krzyża ustawionego po katastrofie przed Pałacem Prezydenckim.

Czym się to skończyło po dwóch i pół roku? Na dniach Bondaryk usłyszał pospolity zarzut urzędniczy. Miał przyjąć w 2007 r. do ABW na swego doradcę cywila, który miał podrobione świadectwo ukończenia studiów podyplomowych. Grozi mu do dziesięciu lat więzienia i utrata emerytury służbowej. Czy to nie za miłąkę, jak na główny szwarczarakter poprzednich specsłużb?

Ruski agent

Zresztą liderzy PiS regularnie stawiają publicznie bardzo poważne oskarżenia szefom służb z czasów Platformy. A kiedy przychodzi do opisania przewin i sformułowania zarzutów językiem paragrafów, kończy się to groteską.

Tak było w sprawach wojskowych, które od jesieni 2015 r. do początku 2018 r. podlegały Antoniemu Macierewiczowi. Szef MON postanowił się odegrać na gen. Januszu Nosku, dowódcy Służby Kontrwywiadu Wojskowego za czasów Platformy. SKW było tworzone przez Macierewicza za pierwszych rządów PiS i Nosek przejął po nim tę służbę w 2008 r. Generał próbował wówczas odebrać Macierewiczowi certyfikat dostępu do informacji ściśle tajnych. Obwinił go m.in. za bałagan w SKW. – Nie było nic. Żadnej łączności niejawnej, żadnych instrumentów do przetwarzania informacji niejawnych – opowiadał mi potem.

Macierewicz odwołał się do premiera Tuska. I wygrał – to kolejny po Ziobrze przykład na to, że Tusk wolał ścigać króliczka, niż go dopaść.

Po powrocie PiS do władzy i przejęciu prokuratury Nosek usłyszał bardzo poważne zarzuty: działania na rzecz obcego wywiadu. Chodzi o podpisaną przez niego jesienią 2013 r. umowę o współpracy z rosyjską specsłużbą FSB. Nosek tłumaczy, że miała uregulować kontakty służb w sprawie Smoleńska, zakładała też m.in. wycofanie polskich wojsk z Afganistanu przez Rosję.

Macierewicz zaatakował mnie osobiście, gdy w jednej z dyskusji telewizyjnych przytoczyłem takie uzasadnienie umowy. Nie chciał mi jednak powiedzieć, co w niej jest, nie mówiąc o ujawnieniu tekstu. A mogłby to zrobić, jako że – wedle Noska – umowa nigdy nie została zrealizowana. W 2014 r. wybuchła wojna na Ukrainie i rozpoczęła się trwająca do dziś zimna wojna w relacjach z Rosją.

Umowa z FSB była zresztą zręcznym instrumentem dla Macierewicza także w innych rozgrywkach. Zarzuty w tej sprawie usłyszeli jeszcze dwaj współpracownicy Noska, z którymi Macierewicz od lat ma na pieńku: Piotr Pytel i Krzysztof Dusza. Ci sami, których na początku rządów PiS jego przyboczny Bartłomiej Misiewicz usuwał z Centrum Kontrwywiadu NATO poprzez nocny zajazd, burzenie ścian i prucie sejfów.

Smoleński rewanż Macierewicza

Jednak szefowie SKW z czasów Platformy nie byli głównymi celami rewanżu Macierewicza. Byli jedynie deserem do dania głównego, który stanowił Smoleńsk. Zaraz na początku swych rządów w MON Macierewicz zaczął wdrażać plan degradacji i ścigania wszystkich wojskowych, którzy byli zaangażowani w wyjaśnianie okoliczności katastrofy.

Chodziło o dwie grupy oficerów. Po pierwsze, tych zasiadających w komisji Millera. Po wtóre – wojskowych prokuratorów, bo to oni prowadzili polskie śledztwo w sprawie Smoleńska.

Początkowo Macierewicz próbował przewerbować wojskowych na swoją stronę. Wspomina płk Mirosław Grochowski, wiceszef komisji Millera ze strony wojska: – Na spotkaniu minister sondował, czy byłbym gotowy odciąć się od ustaleń komisji Millera i wznowić badanie katastrofy. Nie zgodziłem się.

Tego samego dnia napisał wniosek o odejście z wojska. Wkrótce został pozbawiony wszystkich stanowisk. A finalnie, na kilka ostatnich miesięcy służby,

skierowano go brygady zmechanizowanej w Bartoszycach – choć przez całą służbę wojskową, ponad 30 lat, był pilotem.

Drugi wojskowy pilot ppłk Robert Benedict – który w komisji Millera kierował podkomisją lotniczą, badającą m.in. zachowania pilotów tupolewa – również odmówił Macierewiczowi. Początkowo trafił do rezerwy kadrowej, a dziś jest poza armią.

Zsyłka do „zielonego garnizonu” miała być główną metodą rewanżu także wobec prokuratorów wojskowych. Chodzi o czterech prokuratorów związanych z poprzednim śledztwem smoleńskim: płk. Waldemara Praszczyka, płk. Zbigniewa Rzepę, płk. Janusza Wójcika oraz mjr. Marcina Maksjana.

W 2016 r. Macierewicz wydał rozkaz o przeniesieniu ich do służby w odległych od Warszawy jednostkach. Nie spodziewanie Ziobro postawił się Macierewiczowi. Jako prokurator generalny zdecydował się ich przenieść do innych cywilnych prokuratur, tam gdzie mieszkali. To też były degradacje, ale nie upokorzenia.

Dysponuję kopią korespondencji między MON a prokuraturą w tej sprawie – padają w niej wręcz zarzuty o wydawanie wzajemnie sprzecznych decyzji przez Macierewicza i Ziobrę. Dlaczego Ziobro walczył o śledczych, którzy nie są z nim w żaden sposób związani? Tylko dlatego, by Macierewicz nie pozbawił go kontroli nad częścią wojskową prokuratury.

Żeby uciec od zemsty Macierewicza, trzech prokuratorzy odeszli z armii, gdy nabyli prawo do emerytury wojskowej. W wojsku został tylko Maksjan. Resort obrony dał mu spokój i formalnie zatwierdził decyzję Ziobry dopiero, gdy Macierewicz został odwołany. Trudno o lepszy dowód na to, że była to osobista zemsta Macierewicza, którą jego następca Mariusz Błaszczak nie był zainteresowany.

Dopaść Tuska

Takich rozsianych po całym państwie PiS historii jest wiele, czasem większych, czasem drobnych. Dlaczego więc Jarosław Kaczyński pozwolił zbudować całe sektory państwa na podstawie osobistego rewanżu i prywatnej zemsty? Szkopuł w tym, że Kaczyński sam daje przykład tym, którzy z jego słów, gestów i zachowań odczytują



to, co wolno, a czego nie. Nie ma wątpliwości, że w najpoważniejszych konfliktach prezes PiS także kieruje się osobistymi uprzedzeniami – i chęcią rewanżu.

Kaczyński jeszcze w opozycji był gotów udawać, że darował Donaldowi Tuskiowi Smoleńsk – jak wówczas, gdy na sali sejmowej podał mu rękę po wyborze na szefa Rady Europejskiej. Potem powiedział mi w wywiadzie otwarcie: to była tylko gra.

Gdy doszedł do władzy, postanowił Tuska dopaść – i taki wciąż jest plan. Do swej antytuskowej operacji wykorzystał chęć rewanżu swych ludzi. Nie przypadkiem na czele komisji śledczej ds. Amber Gold – badającej gdański matecznik Platformy – postawił Małgorzatę Wassermann, córkę byłego ministra PiS, który zginął w Smoleńsku. Determinację Wassermann widać w wywiadzie-rzecz „Zamach na prawdę”, gdzie czytamy np.: „Satysfakcję odczuję, gdy spotkamy się z Tuskiem [na sali sądowej] i wyjaśnimy, czy to, co zrobił przed katastrofą i po niej, było nieudolnością, tchórzostwem, czy zdradą”.

Osobiste emocje prezesa widać także w dwóch najpoważniejszych wojnach toczonych przez PiS od momentu dojścia do władzy. Chodzi o atak na Trybunał Konstytucyjny za czasów Andrzeja Rzeplińskiego oraz trwającą dziś wojnę o usunięcie z Sądu Najwyższego jego szefowej Małgorzaty Gersdorf.

Tak się składa, że oboje Kaczyński zna od lat osobiście. Z Rzeplińskim studiował, a z Gersdorf wychowywał się po sąsiedzku, w dodatku znała się do brze z jego bratem.

Rozmawiałem z Rzeplińskim oraz Gersdorf i oboje uważają, że lider PiS jest do nich głęboko osobiście uprzedzony. Z jakich powodów – twierdzą, że nie wiedzą. Pytałem o to kiedyś także Kaczyńskiego. Nie odpowiedział wprost. Ale sposób, w jaki mówił o obojgu, nie pozostawiał wątpliwości – jest w nim osobista zadrza. Według moich informacji był gotowy krótki zapis ustawowy

wyłączający pierwszego prezesa SN spod nowych przepisów emerytalnych, które PiS wykorzystuje do przeprowadzenia w tym sądzie czystki. Tyle że Kaczyński się uparł.

Porzuceni przez państwo

Budowanie kluczowych obszarów państwa na osobistej zemście to niebezpieczny precedens. To lekcja dla wszystkich działających w sferze publicznej, że wykonywanie trudnych, kontrowersyjnych, delikatnych misji dla kraju nie ma sensu.

– Robiłem to, do czego powołało mnie państwo. Nikt mi nie zarzuca, że złamałem prawo. A jednak zostałem zdegradowany, bez prawa do obrony. Państwa nie ma, zostałem sam – mówi mi z goryczą jeden z wyżej opisanych bohaterów. Tak się kończy osobista zemsta na urzędnikach.

Oczywiście dla polityków to tylko dodatkowy zysk. Wszak łatwiej zbudować państwo na kumoterstwie, nepotyzmie i klientelizmie. Wtedy wszystko działa jak w zegarku pod dyktando partii władzy – wtedy też lepiej wychodzi rewanż.

Jednak budowanie państwa, które pozwala najwyższej rangi ludziom realizować najniższe instynkty, jest drogą w przepaść. Bo zemsta rodzi zemstę. I wraca. Część moich bohaterów już o niej śni.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „Tygodnikiem”.

PAWEŁ

Śpiewak: *Jeremiasz syn Chilkiasza*



PROROKIEM BÓG USTANOWIŁ JEREMIASZA JESZCZE w czasach panowania wielkiego króla Jozjasza. Najważniejsze dzieła natchnionego związane są z kryzysem roku 587, gdy Babilończycy zdobyli Jerozolimę i wprowadzili elitę narodu, tak by spokój panował w Judei.

Jego ród pochodził z Anatot na ziemi Benjamitów. To wioska położona daleko od miasta. Musimy sobie w tym miejscu przypomnieć innego kapłana, o imieniu Abitar. On to przez wiele lat wiernie służył Dawidowi. Jednak w dniu jego śmierci nie poparł następcy Salomona i za to skazany został na wygnanie właśnie do Anatot. Zasłużył na śmierć, mówił nowy król, ale że niósł „arkę przymierza Boga naszego przed moim ojcem i dlatego, że z nim dzieliłeś wszystkie trudy, ocalę cię” (Księga Królewska 2, 26). Salomon zabił wszystkich swoich wrogów poza jednym. Wspomina się o kapłanie, można sobie wyobrazić, z wielu powodów. Był on zarazem zausznikiem Dawida, jego głębokim sprzymierzeńcem, ale nie cenił czy wręcz odwrócił się od autodestrukcyjnej miejskiej kultury potomków wielkiego króla. Pisząc o jej autodestrukcyjności, muszę przyjąć punkt widzenia Jeremiasza, dla którego zepsucie moralne dworu i marność polityki panujących z dynastii Dawida były przyczynami zburzenia Jerozolimy.

Wspomina się też o tym, że Jeremiasz stał się zaufanym ostatniego króla z rodu Dawida, Zedekiasza. Nie wiemy, jak to się stało, że ktoś wywodzący się ze wsi i otwarcie występujący przeciw dworowi zyskał dostęp do ucha króla. Wiemy, że władca nie posłuchał Jeremiasza i wywołał bunt przeciw Babilończykom. Prorok był zwolennikiem ugodowej polityki wobec okupanta, co zresztą ocaliło go przed wygnaniem. Zawsze zalecał ostrożność, ustępstwa, nigdy bunt czy wojnę.

Dowiadujemy się z pism Jeremiasza, że w jego kręgu znaleźli się skrybowie. Ta grupa zaczęła po odkryciu Księgi Powtórzonego Prawa odgrywać dużą rolę. W księdze mowa jest o przepisywaniu zwojów i nakazie ich czytania rok po roku. Najważniejszym pośród ówczesnych skrybów był Baruch syn Nerii. On to spisał zwoj zwany później Księgą Jeremiasza. Wspomnieć należy jeszcze o rodzinie Szafan. Musiała być to familia wpływowa, bo jeden z jej członków ocalił życie Jeremiaszowi, ratując przed śmiercią z rąk ludu. Nazwał to Bóg cudem i nagrodą za to, że wiernie służył swemu Panu.

Mamy nieco danych, by twierdzić, że Jeremiasz pochodzący z rodu Abitara, związany ze skrybami i kręgiem rodzinnym Szafana, tworzył czy należał do tego środowiska, które było niechętnie ostatnim władcom z rodu Dawida, uważając, że prowadzą politykę destrukcyjną wobec wrogów z północy, a do tego łamią zasady znane od czasów Przymierza. Nieudolność polityczna spotkała się z ich buntem przeciw Bogu. Trudno było sobie wyobrazić gorszą dla Izraela kombinację wydarzeń. Kara musiała być wyjątkowo dotkliwa. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Naród mądry i rozsądny*



NA PRZEŁOMIE SIERPNIA I WRZEŚNIA ZACZYNAMY myśleć o kolejnej, smutnej rocznicy wybuchu II wojny światowej. Dwóch ludzi, jeden na podstawie demokratycznych wyborów, drugi krwawym terrorem, zdobyli władzę, która pomogła im i ich sojusznikom w innych częściach świata wymordować między

siemdziesiąt a osiemdziesiąt pięć milionów ludzi, czyli swoich siostr i braci, w tym około siedmiu milionów Niemców. Nieszczęście spowodowane na innych rykoszetem, jeśli tak można powiedzieć, uderzyło w sprawców. Każdego roku tę potworną krzywdę, jaką ludzie zgotowali ludziom, przypominamy. Z różnych powodów i dla różnych celów, szlachetnych i nieszlachetnych. Trzeba więc zapytać również o chrześcijański sposób pamiętania i uzewnętrzniania tej pamięci. Co powinno wyróżniać chrześcijan w podejściu do tak bolesnych wydarzeń?

Po pierwsze modlitwa, której nauczył nas Jezus: „I odpuść nam długi nasze, jak i my uwolniliśmy dłużników naszych”, w dosłownym tłumaczeniu z greki. Następnie przykazanie, które Jezus potwierdził swoim życiem i śmiercią: „Ja wam mówię: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za waszymi prześladowcami, abyście byli synami waszego Ojca, który jest w niebie. On sprawia, że słońce wschodzi dla złych i dobrych i zsyła deszcz dla sprawiedliwych i niesprawiedliwych”.

W świetle tych słów „naród mądry i rozsądny” to taki, który umie przebaczać, nie czekając na skruchę krzywdzicieli, umiając prosić o przebaczenie, pamiętający o tych, których skrzywdził, i umiający zadośćuczynić, co nie zawsze jest możliwe. Stąd konieczność uciekania się do Boga z prośbą, by dopełnił to, czego sami już nie jesteśmy w stanie dokonać. Naród mądry po chrześcijańsku pamięta, że obywatel dokonujący wyboru władzy bierze odpowiedzialność za jej poczynania, przede wszystkim złe. Wybierając, ale i nie wybierając, podejmujemy działania polityczne, ale decydujące o życiu i o śmierci, i to milionów. Naród mądry, jak mądry człowiek, zna swoje grzechy.

Dlatego w odniesieniu do obecnej sytuacji w naszym kraju bp Jan Kopiec mówi: „Zadaniem Kościoła jest zawsze towarzyszenie ludziom w ich trudnej sytuacji (...) Zawsze jesteśmy przy ludziach, szczególnie tych najbardziej poszkodowanych. (...) Natomiast zaniedbaniem z naszej strony jest zbyt duże pobłażanie dla procesu »upartyjniania« państwa przez jedną opcję. Reforma państwa, która zawsze jest potrzebna, tego nie wymaga. To jest grzech, który popełniamy. Zdarza się popieranie określonej partii przez poszczególnych duchownych czy biskupów. A to nie powinno mieć miejsca. Trudno powiedzieć, żeby Kościół jako całość stawał po stronie jednej partii. Ale robią to niektórzy ludzie Kościoła, którzy sprawiają wrażenie, że wypowiadają się w jego imieniu. Tak być nie powinno”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Czemu zwątpiłeś?

Prawda,
która jest od początku,
została posiana
wszędzie.
Wielu widzi ją
zasianą,
niewielu – zebraną.

EWANGELIA FILIPA



Bóg jest jeden.
Mędrcy nazywają Go
wieloma imionami.

RIGWEDA



„PANIE, ZBAW MNIE!” – krzyczy do Jezusa przerażony Piotr na środku Jeziora Galilejskiego. Przed kilkoma sekundami szedł po falach ku Panu – w zafaniu Jego słowu, które zdolne jest uczynić wzburzoną wodę twardym gruntem. Ale teraz zakrzepłe jeszcze przed momentem wody rozstały się przed nim, stając się na powrót rozhułkanym, śmiercionośnym żywiołem. Wierem, który ciągnie go na dno. Więc krzyczy: „Panie, zbaw mnie!”. A Pan natychmiast wyciąga ku niemu rękę.

Więcej niż rękę – zaraz za nią dosięga ucznia Jezusowe słowo, objaśniające przyczynę dramatu: „Małej wiary, dlaczego zwątpiłeś?”.

To ważne. Śmierć zagroziła Piotrowi nie dlatego, że znalazł się pośrodku rozszalałych fal. Zagroziła mu dlatego, że zwątpił. Jeszcze chwila i by zginął. Zabity nie przez jezioro i burzę, lecz przez zwątpienie obnażające jego „małą wiarę”. Przyznam, że ta diagnoza wstrząsnęła mną na tyle, że postanowiłem przyjrzeć się jej uważniej, sięgając do greckiego zapisu Mateusza.

Otóż Piotrowe „zwątpienie” zostało w nim opisane słowem *distazo* (*eis ti edistasas?*). Greckie *distazo* znaczy dosłownie tyle, co „podwoić” (od *dis*, czyli „dwukrotnie”).

Problemem Piotra nie jest jedynie to, że naraz osłabła jego wiara w moc Jezusowego słowa. Rzeczywistym problemem jest „podwojenie”. Tak naprawdę problemem jest to, że naprzeciw Jezusa stoi nie jeden, lecz dwóch „Piotrów”: jeden to uczeń zapatrzony w Jezusa – zafascynowany Jego Osobą, działaniem i nauczaniem; pełen wiary i zaufa-

nia do Mistrza; oraz drugi – który odwrócił wzrok od Pana, a skupił go na czymś innym: silnym wietrze. „Zwątpienie” w Jezusa narasta w nim w miarę tego, jak jego uwagę przyciąga „wiatr”.

Znacie takie momenty?

Kto z nas ich nie zna.

Kiedy doświadczamy w sobie dramatycznego rozdwojenia: z jednej strony chcielibyśmy całkowicie należeć do Jezusa, i fascynuje nas to, co przeżywamy w komunii z Nim (chodzenie po wodzie); z drugiej jednak pociąga nas grzech; odkrywamy w sobie fascynację tym, co jest z Jezusem niepojedynwalne.

Pamiętacie ten fragment „Wyznań”, w którym Augustyn wspomina: „zmagaly się we mnie dwie wole: dobra i zła; i ja w tej walce byłem po obydwu stronach”?

Zamiast wiary „na całość” prowadzimy „podwójne” życie; „rozjeżdżamy się” wewnętrznie, stajemy w rozdarciu. I taki właśnie stan – przedłużany, osławiany, bagatelizowany albo po prostu trwający z powodu braku naszej decyzji – jest czymś, co nas może zabić.

Piotr woła: „ratuj (dosłownie zbaw) mnie!”, to znaczy: „scal mnie”; „zjednocz mnie”; „odbuduj moją wewnętrzną jedność”; „pojednaj mnie wewnętrznie”; „ulecz moje rozdarcie”. Nie chcę być rozdwojony; chcę być prawdziwy; nie chcę kochać Cię jedynie połową siebie; nie wytrzymam dłużej tego napięcia i tej nieprawdy. Skup mnie na sobie i nie daj mi szukać szczęścia poza Tobą – tym bardziej wbrew Tobie.

Jezus go pochwycił – przyciągnął ku sobie. Tego właśnie Piotr potrzebował: nie ustania burzy na jeziorze, lecz odbudowania bliskiej relacji z Panem. Z nią przychodzi zbawienie.©

CZYTANIA LITURGICZNE (19 – 26 VIII)

20. niedziela zwykła: Prz 9,1-6;

Ps 34; Ef 5,15-20; J 6, 51-58.

Poniedziałek: Ez 24,15-2;

Pwt 32,18-19. 20. 21; Mt 19, 16-22;

Wtorek: Ez 28,1-10;

Pwt 32, 26-27. 27-28. 30. 35-36; Mt 19, 23-30;

Środa: Iz 9,1-3. 5-6; Ps 113,1-8; Łk 1, 26-38;

Czwartek: Ez 36, 23-28; Ps 51; Mt 22, 1-14;

Piątek: Ap 21, 9b-14; Ps 145; J 1, 45-51;

Sobota: Ez 43, 1-7a; Ps 85; Mt 23, 1-12;

21. niedziela zwykła: Prz 8, 22-35;

Ps 48; Ga 4, 4-7; J 2, 1-11.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

PO KIEGO GRZYBA

JANUSZ PIECHOCIŃSKI,

BYŁY WICEPREMIER I MINISTER GOSPODARKI:

Bogu i wyborcom dziękuję, że nie jestem w Sejmie. PiS ma szczęście, że trafił na szczyt koniunktury, ale problemy zaczną się wtedy, gdy gospodarka spowolni.

RAFAŁ ZYCHAŁ: Jak się czyta Pańskie wpisy na Twitterze, to jedno jest pewne: sezon grzybiarski rozpoczęty na dobre!

JANUSZ PIECHOCIŃSKI: Muszę przyznać, że ten rok jest nietypowy, a pogodowe anomalie potwierdza jeden fakt – 6 i 7 stycznia pod Bielskiem Podlaskim znalazłem łubiankę kurek! Ale w poprzednim roku w moim rejonie, czyli pod Warszawą, sytuacja była wręcz katastrofalna.

Z Pańskiego profilu na Twitterze dowiedziałem się też, kiedy obchodzimy Światowy Dzień Sernika, i mnóstwa innych ciekawostek.

Twitter jest dla mnie narzędziem – z jednej strony komunikatorem, ale także informatorem. Zresztą kiedyś równolegle prowadziłem bloga, dziś można mnie też znaleźć w serwisie LinkedIn. To z kolei jest bardzo pomocne narzędzie, gdy trzeba dotrzeć do menedżerów. Prosty przykład – dostaję sygnał, że przyjeżdża potencjalny klient z jakiegoś kraju i w ciągu kilku dni trzeba wykorzystać szansę i zebrać przed-

*Janusz Piechociński,
wrzesień 2013 r.*

stawicieli firm, którzy mogą na tym zarobić. Nie zgania się więc przypadkowych ludzi, ale właśnie takimi drogami kieruje się odpowiedni przekaz do zainteresowanych.

Teraz szykujemy spotkanie polskiego i białoruskiego biznesu. Nie od dziś wiadomo, że na naszych budowach na masową skalę brakuje wykwalifikowanych pracowników. Przykład z ostatnich dni – Włosi z Astaldi między innymi dlatego wycofali się z kontraktu na budowę tunelu w Świnoujściu. I tutaj otwiera się pole do współpracy. Sporo państwowych i prywatnych firm z Białorusi jest zainteresowanych. Wkrótce, jak tylko zakończą budowę elektrowni jądrowej, będą mieli wolne moce przerobowe i mogą wejść na nasz rynek jako podwykonawcy. A potrzeby są gigantyczne.

Kultowe wśród Pańskich fanów na Twitterze są też wpisy z danymi i statystykami.

Wielka polityka i wielka ekonomia składają się z tysięcy drobnych rzeczy i one czasami umykają. Warto je więc czasem, tak przy okazji, pokazać. Bo jak mamy ciekawą informację do sprzedania, to robimy to. Choć niektórzy twierdzili, że moje wpisy na Twitterze wynikają z tego, że się wynudziłem poza polityką.

A tak nie jest?

Nie. Co więcej, chcę też w ten sposób pokazać, na czym dziś polega patriotyzm gospodarczy – nie krzyki i awantury, ale kontakty oraz współpraca. Mówmy dobrze o naszych firmach, produktach, chwalmy się nimi. Nie krzyczymy tylko „bij obcego!”, ale nauczymy się języka wroga i przyjaciela, także w biznesie. A potem każdą rozmowę zaczynamy od prostego pytania: co możemy wspólnie zrobić? Biznes nie znosi krzyku. Można czegoś nie kupić, to jasne. Ale to nie znaczy, że na samym początku rozmowy trzeba się pogniewać i pokłócić.

To pięknie brzmi, ale prawda jest taka, że w internecie coraz trudniej o rzeczową dyskusję.

Pamiętajmy o jednym – po 2011 r. PR-owe zaplecze PiS przesłodziło dokonania Tea Party w Stanach Zjednoczonych i nauczyło się, że pozytywnym programem nie wygrywa się wyborów. Skuteczniej jest rywala konsekwentnie nękać, uruchamiając nieprawdę. No i jak tu w 280 znakach rzeczowo dyskutować?

Łatwo nie jest, to prawda.

W całym tym wrzasku znika prosty fakt – z każdym rokiem rośnie import żywności do Polski, choćby wieprzowiny. A mówimy o kraju, w którym z jednej strony jest w ostatnich latach rekordowa liczba świniaków, ale z drugiej cena sprzedaży jest już praktycznie poniżej kosztów. I w tym samym czasie jedna czy druga z zagranicznych sieci handlowych organizuje tydzień z żywnością hiszpańską. Ale z obozu władzy nie płyną zbyt mocne dociekania, czy w innych krajach ta sama sieć organizuje tydzień polski. Bo tego nie robi. Ten świat nacjonalizmów, protekcjonizmów czy patriotyzmów gospodarczych jest dziś rozpisany na zupełnie inne metody niż dawniej. A nas wciąż tylko stać na zapowiedzi pod hasłem „kosy na sztorc”.

I jak widać, to średnio skuteczna metoda.

Z jednej strony mamy szumne deklaracje, a z drugiej twarde dane – Gazprom w tym roku sprzedaje nam dużo więcej gazu niż poprzednio. Dlaczego? Bo jest najtańszy z importowanych. Co robią dziś ci, którzy przed laty atakowali nas przy okazji protestów górniczych, krzycząc „wyhamujcie import węgla”? Sami po cichu godzą się na jego rekordowy import. I znów: bo jest on tańszy aż o 25 proc. Ale tego oczywiście głośno nie mówimy. Wracając do Twittera, krótkie formy są kapitalne, bo można je nasycić niechęcią do rywala. A kłamstwo powtarzane ileś tam razy dla części ludzi w końcu stanie się prawdą. I to jest potężny problem, bo jak tu z nim skutecznie walczyć?

A próbował Pan?

Kiedyś napisałem, że w Polsce zarejestrowano 600 nowych samochodów elektrycznych i zaraz jakiś „dobroziemny” mi odpowiedział „ale wy okradaliście kraj!”. I jak tu dyskutować? Za moich czasów były w Polsce trzy ogniska afrykańskiego pomoru świń, dziś przekroczyliśmy 180. Ale po ogłoszeniu każdego kolejnego opozycja nie kieruje wniosku do prokuratury, że to вина ministra. A kiedyś tak się działo w stosunku do nas.

Kultura stosowania narzędzi politycznych stacza się na dno. Liczy się już tylko skuteczność. Za tym radykalizmem, agresją, nienawistnym pluciem do siebie idą socjotechniczne metody. Prawo i Sprawiedliwość w tym wyścigu przoduje i umiejętnie z tych metod korzysta. Ale dziś inni

też się już tego nauczyli i okazuje się, że żyjemy w kraju, w którym nie ma dialogu.

Jak widzę, do takiej polityki raczej Panu nie jest tęskno.

Bogu i podwarszawskim wyborcom dziękuję, że nie mam trzech lat zmarnowanych w polityce! Jestem człowiekiem pracy i pokoju, a nie plucia i kopania się poniżej pasa.

Comebacku nie będzie?

Dla mnie jest nie do przyjęcia, że dziś obywatel rozsiada się na stadionie, a przed nim jest ring polityczny. I nasz polityczny Pudzian ma teraz zdeptać ich politycznego Materlę, a wszystkie chwytły są dozwolone. Jeśli nie poleje się krew, to ludzie wychodzą z tego stadionu niezadowoleni. Widzę, że z każdym rokiem coraz bardziej wchodzimy w proces deprawacji polityki i polityków. Niestety, przy niezrozumieniu tego procesu przez wyborców. Bo przecież oni i tak zapłacą za to dramatyczną cenę. Jakość, także w polityce, kosztuje.

Kosztuje, to znaczy trzeba im płacić?

PiS już dziś wie, że krzycząc „wystarczy nie kraść!” było łatwo. Wyobraźmy sobie, że mamy świetnego przedsiębiorcę, burmistrza, lekarza czy dyrektora szpitala. I niech teraz pan pójdzie i spróbuje takie osoby namówić, żeby zostały radnym czy posłem. Tracimy wielką grupę solidnych ludzi, którzy mówią: chłopie, ja wystartuję z twojej listy, a za chwilę ta banda będzie nasyłać kontrole na moją firmę. Bo przecież wszystkie chwytły dozwolone, a zwycięzców nikt nie sądzi. Ta spirala się nakręca i zniechęca do polityki dobrych ludzi. W to miejsce wchodzi pyskacze i osoby, które zagłosują za każdym pomysłem każdego prezesa.

I potem obserwujemy sytuację, w której najpierw ci ludzie głosują za obniżeniem sobie uposażenia, by po chwili rozliczyć kilkadziesiąt tysięcy kilometrów przejechanych samochodem, którego nawet nie mają. Skoro jeszcze przed wyborami ktoś może być szanowanym obywatelem z dorobkiem, a tuż po nich nagle staje się złodziejem i nieudacznikiem, który żyje z moich podatków, to proszę się nie dziwić, że zły pieniądz wypiera dobry.

Na wsi na nowego gracza próbuje się wykreować Michał Kołodziejczak. Czy ten młody rolnik może być realnym zagrożeniem dla PiS i PSL,



→ czyli partii, które do tej pory głównie walczyły o głosy wyborców na wsi?

Jeszcze w 2015 roku pan Kołodziejczak był radnym i najgorliwszym wyznawcą PiS. Jak rozumiem, teraz, już jako symetrysta, uderza we wszystkich, bo przy dekonstrukcji, która jest zasługą jego wybrańców, i zaciągniętych kredytach, ma problemy. PiS gra na pełną polaryzację sceny politycznej, a o wsi przypomina sobie, gdy idą wybory. Do tego premier Mateusz Morawiecki jest, delikatnie mówiąc, mało kompetentny w sprawach wsi. Ostatnio wraz z nowym ministrem rolnictwa błysnęli podczas spotkania z rolnikami tezę, że ziola i konie mogą być kolejnym fundamentem polskiego rolnictwa. Gdzie premier nie pojedzie, tam ogłasza kolejny fundament.

Mimo to PiS utrzymuje poparcie na wsi.

Wybory rozgrywają się na wielu płaszczyznach, a władzę ma ten, kto zdobędzie głosy za wielkim miastem. PiS podbił tereny wiejskie z kilku powodów. Z jednej strony, dzięki poparciu Kościoła ludowego czy Radia Maryja i Telewizji Trwam, ale także po części dlatego, że Platforma pod koniec kadencji skrzyła w stronę socjaldemokratyczną. Ale ich sukces to po części zasługa zbiegu okoliczności.

Dlaczego?

Choćby za sprawą rosyjskiego embarga, które podcięło tysiące gospodarstw. Mimo że ostatecznie wygraliśmy to starcie, choćby zdobywając nowe rynki dla polskich jabłek, to jednak rok 2015 nie był rokiem sukcesu i rentowności. A PiS obiecał wszystko, co się dało. Rolnik miał tylko siał, zbierać i głosować na PiS. Ale po wyborach szybko o tym rolniku zapomniano. Dziś mamy ucieczkę do przodu, wymianę ministra, ale i u niego już widać pierwsze oznaki rozgoryczenia.

Rolnicy mogą wyjść na ulice jak przed laty?

Rolnicy wychodzą na drogi czy przyjeżdżają do Warszawy w ostateczności. Teraz jeszcze mamy żniwa, więc oni mają co innego na głowie. Ale problemy są, dochodzą kolejne. Odcięto dopływ tańszej siły roboczej, co automatycznie podniosło koszty. Polscy rolnicy z tymi obciążeniami muszą konkurować na europejskim rynku. Mamy też wiele mechanizmów wsparcia dla Ukrainy, co jest zrozumi-

@PIECHOCINSKI



Polacy wydają na pizzę i pierogi
1 mld zł rocznie
14:14 – 18 września 2016



Amerikanin poprawił polski rekord
Guinnessa w koszeniu na czas
9:09 – 25 lipca 2018



Ceny kawy na świecie spadają od
kilkunastu miesięcy i są już o połowę
niższe niż siedem lat temu. Tymczasem
Polacy płacą za kawę w sklepach
najwięcej w historii. W kawiarniach
cena filiżanki kawy nawet 100-krotnie
przekracza wartość użytych do jej
przygotowania ziaren
11:55 – 25 lipca 2018



Krowy mleczne w sytuacji, w której
temperatura przekracza 30 stopni
Celsjusza, mogą pobierać nawet o 1,5 kg
suchej masy paszy mniej na dobę,
co skutkuje niższą wydajnością mleczną,
nawet o 4-6 litrów
23:00 – 1 sierpnia 2018



O 9 Smółdzino, po 12.30 pod Toruniem,
o 17 w Warszawie, 18.50 w krzaczkach
pod Piasecznem, wynik:
103 szare kozłarze
11:51 – 1 sierpnia 2018



Wódka idzie drogą piwa. Producenci
chcą budować rynek trunków
rzemieślniczych
12:50 – 6 sierpnia 2018

miałe, nie tylko z powodów politycznych, ale w praktyce dla wielu naszych producentów one są niszczące. Tak jest choćby w przypadku owoców miękkich. I pan prezes Obajtek może sobie opowiadać, że 600 placówek Orlenu poza granicami Polski będzie sprzedawać nasze soki, ale to nie rozwiąże problemu. O tym trzeba myśleć zawczasu.

Nie tak dawno rząd ogłaszał jako swój sukces to, że będzie jeszcze skrupulatniej kontrolował importowaną żywność. Oczywiście była to deklaracja w kontekście klęski skupu owoców miękkich. Teraz? A w samym czerwcu takich kontroli było ledwie 280. Dziś mówimy, że zaostreżymy kontrole na granicach, ale nie zauważyliśmy, jak w końcu ubiegłego roku zaczął wpływać na nasz rynek koncentrat jabłkowy?

Tylko na ile to jest problem wąskiej grupy producentów, a na ile realny problem, który odczują wszyscy?

Odczują, bo ceny żywności rosną. Za chwilę każdy bochenek chleba będzie musiał zdrożeć od 8 do 15 groszy. Zapomina się też o tym, że mała i średnia przedsiębiorczość to nie tylko wielkie miasta. To także wieś. I ona, mimo solidnego wzrostu PKB, nie odnajduje optymizmu i rentowności na rynku.

Dlaczego?

Obłożono ją daninami, opłatami, podatkami. Rosną koszty energii czy decyzji administracyjnych. Cała Polska ustawia się w kolejkach o podwyżki do swoich pracodawców i mówi: „Szeffie, o siedem procent wzrosły płace w kraju, a kiedy u nas?”. A ten szef przychodzi do byłego ministra gospodarki i mówi: „Janusz, nie masz kogoś, komu mógłbym sprzedać ten biznes? Robię coraz więcej, a zostaje mi coraz mniej. Za chwilę będę musiał dokładać”.

Wystarczy popatrzeć na badania – płynie z nich dramatyczny obraz zniechęcenia, braku inwestycji. A to przecież odbija się na konkurencyjności tych firm. I dokładnie te same problemy mają firmy na wsi, wystarczy popatrzeć na upadki grup producenckich.

Ale w tym przypadku rząd już obiecuje pomoc. Ba, kreśli nawet wizję państwowych holdingów, które pomogą rolnikom.

Zawsze hołdowałem zasadzie, żeby w pierwszej kolejności jednak dawać

wędkę, a rybę w ostateczności. Upaństwo-wienie, powoływanie holdingów, co zapowiada minister Ardanowski, nie jest cudownym środkiem na problemy rolników. PiS i tak ma szczęście, że trafił na szczyt koniunktury. Problemy się zaczną wtedy, gdy gospodarka spowolni.

Dobrze, że w grzybach drgnęło.

Ostatnio po kilku ulewach na południu Lasów Chojnowskich pojawiły się pierwsze piękne prawdziwki, ale z bólem muszę przyznać, że jeszcze nie miałem czasu jechać. Wiem, bo moi znajomi wysyłają mi swoje produkty i w ten sposób mnie drażnią. Ale tydzień temu, przed krótkim urlopem nad morzem, zebrałem ponad 200 sztuk czerwonych i szarych kozaków. Przedwcześniej – 70 kolejnych.

I co najchętniej Pan z nimi robi?

Mam cały rytuał. Pierwszy zbiór musi być najpierw własnoręcznie obrany bez rękawiczek, a potem – rozdany. Już trafił do mojej siostry. Drugi zbiór natomiast już spożyliśmy wczoraj w domowym gronie. Były łazanki i sos grzybowy z mieszanymi pieprzami.

Kiedy kolejny zbiór?

Jeszcze dziś się wybieram. Mam nadzieję, że wcześniej będzie burza. Liczę na jakieś 50 sztuk, choć to i tak będzie mniej niż przedwcześniej. Ja po prostu wpadam, wiem, w której kępie brzoź i od której strony są grzyby, i zbieram. Ale poważne

Czekam na wiadomość od starosty lubaczowskiego, bo tam w Nadleśnictwie

Oleszycy zawsze są przepiękne, białe prawdziweczki w niesamowicie klimatycznych lasach dębowych.

grzybobrania jeszcze przede mną. Czekam na sygnał i dwa, trzy dni wolnego. Może w drodze na Forum w Krynicy znajdę już rydze w okolicach Starego Sącza? Czekam też na wiadomość od starosty lubaczowskiego, bo tam w Nadleśnictwie Oleszycy zawsze są przepiękne, białe prawdziweczki w niesamowicie klimatycznych lasach dębowych.

Gdzie jeszcze Pan jeździ zbierać?

Mam już zaproszenia w różne miejsca na Podlasiu, byłem też niedawno w Smółdzinie...

Jak wiadomo z Pańskiego Twittera, tam są najpiękniejsze plaże w Polsce!

Zgadza się. Ale wszyscy też twierdzą, że jak przejdą deszcze, to właśnie tam, na obrzeżach Słowińskiego Parku Narodowego, pojawią się rekordowe prawdziwki. Zresztą podobnie było w zeszłym roku. Niestety, kiedy był ten urodzaj, miałem lawinę spotkań i wyjazdów, więc tamten sezon był dla mnie trochę spalony. Ale za to pojawiłem się na nieformalnych mistrzostwach Polski grzybiarzy w gminie Długosiodło, u wójta Staszka Jastrzębskiego; zresztą sam te mistrzostwa ogłosiłem!

I jak poszło?

Lasy Państwowe organizują tam taki drużynowy turniej i zwykle wraz z moją rodzinną drużyną meldujemy się na podium.

Jaki jest Wasz rekord?

Kilka lat temu w ciągu niecałych trzech godzin zebraliśmy 64 kilogramy, głównie podgrzybków. Ale i tak po drodze do domu rozdałem 55 kilogramów. Zatrzymywałem się, brałem wiadro albo dwa, zostawiałem u znajomych i wędrowałem dalej.

© Rozmawiał RAFAŁ ZYCHAL

JANUSZ PIECHOCIŃSKI w Sejmie spędził niemal 20 lat. Był wicepremierem, ministrem gospodarki i szefem PSL. Dziś już poza polityką. Facebookowy profil „Mądrości z Twittera Janusza Piechocińskiego” obserwuje prawie 36 tysięcy osób. Blisko dwa razy tyle czyta jego wpisy na samym Twitterze.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Audiodelic

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Ściągnij aplikację **Audio**delic



lub



i weź, słuchaj!

najważniejszych, nagradzanych, kanonicznych tekstów i wywiadów z historii „Tygodnika Powszechnego” czytanych przez profesjonalnych lektorów.

Wśród autorów tekstów:

ks. Adam Boniecki, Andrzej Stasiuk, Anna Goc, abp Józef Życiński, Łukasz Lamża, Czesław Miłosz, Dorota Kosińska, abp Grzegorz Ryś, Jerzy Pilch, Jerzy Turowicz, ks. Józef Tischner, ks. Michał Heller, Łukasz Kwiatek, Leszek Kołakowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, o. Ludwik Wiśniewski, Paweł Reszka, Sławomir Mrozek, Stanisław Barańczak, Stanisław Lem, Stefan Kisielewski, Tadeusz Ślawek, Wisława Szymborska, Wojciech Nowicki, Wojciech Bonowicz.



Stan napięcia

MAREK RABIJ

Polityka energetyczna obecnej władzy ma więcej sensu, niż władza sama gotowa jest przyznać przed swym najtwardszym elektoratem. Ale to wciąż za mało, by uchronić nas przed co najmniej dekadą bardzo drogiego prądu.

ENCYKLOPEDYCZNA DEFINICJA ENERGII Elektrycznej nie wspomina słowem o jej właściwościach politycznych. W czasach, gdy duża awaria zasilania grozi zatarciem niemal wszystkich mechanizmów codzienności – od oświetlenia klatki schodowej, przez sygnalizację drogową, a kończąc na systemach bankowych i wojskowych instalacjach wywiadowczych – żadne państwo nie może pozwolić sobie na oddanie kontroli nad prądem wolnorynkowym harcownikom. W polskiej polityce energetycznej od lat chodzi rzecz jasna o to samo, lecz, niestety, nie tylko o to. I właśnie owa reszta jest dziś jej największym problemem.

Elektrosuweren

Jednym z najważniejszych celów politycznych każdego rządu jest suwerenność energetyczna, a mniej koturnowo – zdolność do zaopatrzenia Polski wyłącznie w prąd z krajowych źródeł. Bez względu na ideologiczne i partyjne korzenie poli-

ticy mówią o tym w każdej kampanii od 1989 r., a zwycięski szef rządu niemal już rytualnie poświęca jej oddzielny ustęp w *exposé*. Nic dziwnego, że i rząd PiS, który na punkcie suwerenności jest przewrażliwiony, do wyborów stawał z gotową strategią przemebrowania polskiej energetyki w taki sposób, by uwolnić ją od nadmiernej zależności od rosyjskich surowców kopalnych. Wprawdzie mile to brzmiało dla ucha konserwatywnego wyborcy, ale nie miało wiele wspólnego z rzeczywistością, ropa i gaz nie są bowiem głównymi paliwami polskich elektrowni. Na drugim planie tej strategii widać było już więcej konkretnych, na czele z ponowną centralizacją polskiej Energii (powstanie Ministerstwa Energetyki), otwarciem parasola ochronnego nad państwowymi firmami o strategicznym znaczeniu dla rynku energii i połączeniem ich z nierentownymi kopalniami, a przede wszystkim – wyhamowaniem wszystkich projektów, które mogłyby zaowocować zmniejszeniem

znaczenia węgla w produkcji i dystrybucji prądu.

Gdy mowa o produkcji energii elektrycznej, specjaliści zwykle posługują się terminem miks energetyczny. W uproszczeniu, to struktura produkcji i konsumpcji energii według jej nośników. Dziś dominuje w niej (80 proc.) węgiel kamienny i brunatny, główne paliwo polskich elektrowni, używających go do produkcji pary wodnej, która następnie obraca turbinami wytwarzającymi prąd. Rząd PiS od początku kadencji zapowiada też, że będzie bronić węgla w polskiej energetyce, choćby Bruksela miała go za to ciągać po unijnych trybunałach i wysłuchaniach. W gruncie rzeczy nie jest to nowa postawa w polskiej polityce. Poprzednie ekipy, z obawy przed gwałtownymi protestami społecznymi, też nie pozwalały ruszyć nieformalnego węglowego parytetu w energetyce i jedynie staranniej tę niemoc maskowały.

Doha z cicha

To, co dzisiaj ukrywa przed swymi wyborcami PiS, to jednak nie kapitulacja przed górnikami, lecz przyznanie, że Polska nie może iść w pojedynkę pod prąd globalnym trendom energetycznym, tak jak przez lata czyniły np. Indie, Chiny czy Brazylia, lekceważąc międzynarodowe porozumienia klimatyczne. Spójność narracji o energetycznej suwerenności wyklucza jakiegokolwiek wyjątki, zwłaszcza te, które potwierdzałyby, że w zglobalizowanej gospodarce nie wszystko mieści się w sferze kontroli władz niedużego państwa.



Owszem, to truizm. Ale politycznie bardzo niewygodny.

Dlatego pod koniec marca Andrzej Duda podpisał – zupełnie się tym nie chwając – ustawę, która pozwoli mu przyjąć w końcu tzw. poprawkę dauhańską (uchwaloną w Dosze) w sprawie redukcji emisji dwutlenku węgla. W 2015 r., tuż po zaprzysiężeniu, prezydent odmówił ratyfikacji tego dokumentu, przekonując głośno, że nie może na to przystać, nie znając potencjalnych konsekwencji ratyfikacji dla polskiej gospodarki. W ten sposób Polska zablokowała też proces przyjęcia tego ważnego dokumentu przez Unię. Dziś rząd już bez rozterek kwituje ustalenia, które nakładają na Polskę obowiązek dalszej redukcji emisji CO₂, mimo że gospodarczy kontekst tej decyzji jest właściwie taki sam, jak przed trzema laty. Nie słychać też, by protesty strony rządowej budziły unijne propozycje nowego miksu energetycznego dla Polski, z których wynika, że do 2050 r. Polska będzie musiała ograniczyć udział węgla w produkcji energii nawet do 50 proc. Na spotkaniach z górnikami i związkowcami szef resortu energii Krzysztof Tchórzewski chętnie podkreśla natomiast, że informacje, jakoby Bruksela wyznaczyła Warszawie nieprzekraczalny termin porzucenia węgla w produkcji prądu, są wysane z palca.

Już nie w zielone gramy

I choć na pierwszy rzut oka wygląda to na kapitulację Warszawy przed proekologicznym frontem Brukseli, w rzeczywistości jest raczej próbą slalomu pomiędzy tym, czego od Polski oczekuje się w ramach wspólnotowej polityki klimatycznej, tym, w co próbują „ubrać” przy tej okazji Polskę unijni partnerzy, a tym, czego w danym momencie wymaga sytuacja rodzimej gospodarki.

Polska energetyka jest bowiem nadal w stanie przedzawałowym, a zapaść może nastąpić praktycznie w każdej chwili, bo produkujemy już mniej energii, niż zużywamy. Sytuację ratuje jedynie import prądu z krajów ościennych.

W 2017 r. produkcja energii elektrycznej w Polsce wyniosła 165 852 gigawatogodzin (GWh) i była większa niż w 2016 r. o 1,98 proc., a jej zużycie wyniosło 168 139 GWh i podskoczyło rok do roku o 2,13 proc. – wynika z danych opublikowanych przez firmę Polskie Sieci Elektroenergetyczne, państwowego monopolistę zajmującego się przesyłem całej wytworzonej w Polsce energii. Udział źródeł odnawialnych w tym bilansie

roś w ostatnich latach w tempie dwucyfrowym, ale wciąż jest relatywnie zbyt niski, by zielona energia mogła teraz wziąć na siebie ciężar transformacji. Przykładowo, elektrownie wiatrowe, odpowiadające za blisko połowę „zielonych” mocy wytwórczych polskiego sektora energetycznego, zanotowały wzrost produkcji o 19,2 proc. w porównaniu z 2016 r., ale ich udział w krajowej produkcji energii elektrycznej ogółem sięgnął ledwie 8,4 proc. Zresztą w 2017 r. po raz pierwszy od 13 lat produkcja „zielonej” energii w Polsce była niższa niż rok wcześniej.

PiS zabił wszystkie duże programy rozwoju energetyki alternatywnej, od wiatrowej po słoneczną, jako tako trzyma się jedynie produkcja biopaliw dla rolnictwa – to głos, którym wspólnie mówią wszyscy przedstawiciele tej branży. Powód? Wyjaśnienia padają rozmaite. Od ideologicznego zaciętrzewienia, przez strach przed górnikami, aż po anachroniczną wizję energetyki opartej na wielkich państwowych dostawcach, z którą nie umie się rozstać pewien szeregowy poseł.

Nasza droga emisja

W wizji bezpieczeństwa energetycznego, jaką prezentuje dziś obóz władzy, na pewno nie ma wiele miejsca na partnerstwo publiczno-prywatne. Nie wolno jednak zapominać, że PiS odziedziczył po poprzednich ekipach sektor energetyczny w stanie nadal dużego niedoinwestowania. Eksperti od lat powtarzali politykom, że dla uniknięcia niemal pewnych black-outów, czyli zawałów przeciążonej sieci energetycznej, polskie elektrownie trzeba zmodernizować kosztem 40-50 mld zł lub dobudować do nich jeszcze jedną, atomową, za jakieś 75-100 mld zł. Rzecz jasna wszystkie te projekty odkładano następnie *ad Kalendas Graecas*, w obawie przed reakcją wyborców na nieuniknione podwyżki cen energii elektrycznej.

W efekcie dotarliśmy do ściany. Zużycie energii elektrycznej rośnie szybciej od wzrostu mocy produkcyjnych. Do 2030 r. konsumpcja prądu w Polsce wzrośnie zapewne o ponad 25 proc., a przez te lata trzeba będzie wyłączyć kilka bloków energetycznych o mocy między 12 a 15 GW, niedostosowanych technologicznie do regulacji środowiskowych Unii Europejskiej. Ponad 60 proc. instalacji prądotwórczych liczy ponad 30 lat i ich awarie są tylko kwe-

stią czasu. Całe szczęście, że udało się wyremontować bloki w należących do PGE elektrowniach Turów i Bełchatów.

Sytuacja, z jaką zmagają się dziś rząd w energetyce, przypomina więc trochę położenie chirurga wojennego, który ratuje życie kosztem wszystkiego, co pacjenta nie zabije. Za racjonalną w tych warunkach decyzję o podtrzymywaniu znaczenia węgla w produkcji prądu przyjdzie nam jednak srogo zapłacić. Nie tylko wysokie koszty środowiskowe.

Uprawnienia do emisji CO₂ są dziś droższe od siedmiu lat i wciąż drożeją – to w głównej mierze efekt niedawnej decyzji UE, by zwiększyć górne limity emisji, co miało pomóc europejskiej gospodarce, ale przy okazji znacznie ożywiło popyt na certyfikaty. Swoje robi też niepewność co do przyszłości systemu uprawnień po brexicie. Jeśli dodać do tego coraz wyższe ceny węgla, wzrost cen energii elektrycznej w najbliższych latach wydaje się przesądzony. Rządowi i pozarządowi eksperci zgadzają się, że do 2030 r. podwyżki cen sięgną ok. 20-30 proc. Łączna wartość wsparcia z budżetu, jakie w tym czasie trafi do kopalń połączonych z producentami energii oraz rozmaitych rent monopolowych, na które zrzucą się górnictwu klienci elektrowni, sięgnie w tym czasie średnio 11 mld zł rocznie. Te pieniądze moglibyśmy zainwestować mądrzej niż w górnictwo.

Dla pełnego obrazu trzeba jednak wspomnieć, że osłabienie zainteresowania „zieloną” energią notuje ostatnio nie tylko Polska. Na projekty związane z energią odnawialną pięć największych firm wydobywczych świata przeznaczyło w ubiegłym roku zaledwie 3 proc. swych budżetów badawczo-rozwojowych – najmniej od ponad dekady. BP, Chevron, Exxon Mobil, Royal Dutch Shell i Total wolą inwestować w rozwój bardziej ekologicznych technologii związanych z wierceniami oraz przetwarzaniem ropy i gazu, najwyraźniej obstawiając, że ten kierunek rozwoju branży energetycznej będzie dominować w kolejnych latach.

Czy polskie „tak” dla prądu z węgla to również projekt na dłużej niż perspektywa kolejnych wyborów parlamentarnych? Pewne jest niestety tylko jedno: zasobów węgla, które opłaca się dziś wydobywać, wystarczy Polsce na jakieś 29 lat. W życiu gospodarczym kraju to tyle, co mrugnienie okiem. Ale w polityce 29 lat to wieczność.

©P

PROMILE W EMOCJACH

W przypadku mężczyzny uzależnienie to diagnoza,
w przypadku kobiety – ocena moralna.

TEKST **KATARZYNA KUBISIOWSKA**

ILUSTRACJE **JOANNA RUSINEK**

PROBLEM BYŁ IGNOROWANY. JESZCZE w latach 60. XX w. Elvin Morton Jelinek, lekarz czeskiego pochodzenia, w „Koncepcji alkoholizmu jako choroby”, publikacji kanonicznej dla tego tematu, skupił się prawie wyłącznie na mężczyźnie.

Dziś jest już jasne, że na chorobę alkoholową zapadają także kobiety. Statystyki wskazują, że w Polsce co dziesiąta z nich pije destrukcyjnie. Niektóre robią to otwarcie, w towarzystwie, w pubach, do utraty przytomności. Zazwyczaj są to pracowniczki korporacji między trzydziestką a czterdziestką, wypalone pościgiem za sukcesem. Coraz liczniej dołączają do nich te młodsze – między 18. a 30. rokiem życia – zaczynające karierę, wychodzące za mąż, rodzące dzieci. To czas zmiany ról, któremu towarzyszą konflikty, załamania, pytania o cel i sens. Kryzysowy moment wraca w okolicach sześćdziesiątki, gdy kobieta się starzeje i przechodzi na emeryturę.

Pokłosie

– Współczesna kobieta jest przekonana, że powinna się sprawdzać w każdej roli. Nie zawieść otoczenia. Rzecz nie do zrobienia dla nikogo – mówi Lucyna Świątek, psycholog kliniczny, specjalista psychoterapii

uzależnień, pracująca w Szpitalu Klinicznym im. dr. J. Babińskiego w Krakowie. – Fakt, że nie daje rady, obraca przeciwko sobie. Myśli: „Jestem nie w porządku”, a otoczenie skwapliwie jej w tym przytakuje. Po alkohol sięga z powodu zagubienia, frustracji i chronicznego zmęczenia. Skutki picia tuszuje perfumami i innymi zabiegami higienicznymi. Uzależnieniem usiłuje uporać się z beznadziejnością, lękiem i narastającą dezorientacją w świecie.

Dawniej rola kobiety sprowadzała się do pielęgnacji ogniska domowego. Inne potrzeby się nie liczyły, pragnienia były postrzegane jako fanaberia. Kobieta słyszała: „Nie kochasz dzieci? Taką jesteś złą matką i żoną?”. Emancypacja pozwoliła na to, by tego rodzaju głosy przestały być wszechobecne. Tyle że model kulturowy się nie zmienił, nadal postrzega się kobietę przede wszystkim jako tę, która ma dbać o dom i dzieci. Teraz jeszcze być sexy. W reklamach słyszy: „Jesteś tego warta, kup sobie odmładzający krem. Naucz się języków i chodź na fitness”. Trudno jest znaleźć dobre rozwiązania – z każdej strony presja.

W tę pułapkę wpada zwłaszcza kobieta z małego miasteczka – wychowana w modelu tradycyjnym, z pragnieniem założenia rodziny. Wyjeżdża edukować się do dużego miasta i okazuje się, że to, do

czego aspiruje, w jej towarzystwie uchodzi za śmieszne. Trudno jej się przyznać przed koleżankami z korporacji – skupionymi na karierze singielkami – że tak naprawdę chce mieć dom, męża, dzieci, bo wtedy może usłyszeć, że jest zaściankowa. Te z korporacji też często pragną domu, dzieci i męża, ale nie przyznają się do tego, nawet samym sobie. Starają się czuć zawsze wyzwolone i niezależne, a pod tym pozorem jest pustka, samotność i lęk.

Sporo kobiet nie radzi sobie właśnie z tą zmianą tożsamościową. Ów rozłam często jest podłożem rozwoju uzależnienia.

Ślubowanie

Alicja ma 27 lat, gdy rodzi Adasia. Bierze urlop macierzyński i wychowawczy. Początkowo rozpiera ją radość, po roku zaczyna jej czegoś brakować. Przypomina sobie, że jest alkohol, którego używa na imprezach od czasów gimnazjalnych.

Gdy mały śpi, w południe, w kuchni, wypija piwo, wieczorem, w salonie, wino. Pomaleńku, coraz częściej, coraz więcej. Piwo na porannego kaca. Czasem nie płaci rachunku, pieniądze idą na alkohol... Czuje się bezpieczna – wie, że punkt szesnasta tata Adasia wróci z pracy. Gdy ona przeholuje, on przejmie opiekę nad synkiem.





→ Ale też wie, że dzieje się z nią coś złego. Myśli, że na pewno brakuje jej pracy – jest przedstawicielem handlowym. Zaczyna chodzić do psychologa, opowiada o przeszłości, słowem nie wspomina o alkoholu.

Alicja wraca do pracy, gdy Adaś ma dwa lata. Rzuca ją, gdy synek kończy trzy. Jedynym jej obowiązkiem staje się zaprowadzanie go do przedszkola; po południu odbiera go tata. Partner widzi ją coraz częściej pijaną – mówi, żeby przestała, że to kwestia silnej woli, że wszystko jest w jej rękach.

Nie wszystko.

Alicja, kiedyś smakoszka czerwonego wina, sięga teraz wyłącznie po wódkę, najchętniej po „małpki”, małe i poręczne flaszeczki, „dwusetki”, bo szybciej i łatwiej jest je wypić. Oszukuje się, gdy idzie do sklepu tylko po jedną. Potem wraca po trzecią, czwartą.

We wrześniu Adaś ma pasowanie na przedszkolaka. Impreza zaczyna się o szesnastej. Synka do przedszkola prowadzi na potężnym kacu, boi się, że nie dotrwa do popołudnia. Dla poprawy samopoczucia kupi jednego „szczeniaczka” – setkę wódki. I polegnie na całej linii – nie jest w stanie ruszyć się z łóżka. Na ślubowaniu obecny jest tylko tata. Adaś wieczorem powie: „Szkoda, mam, że cię nie było. Ale rozumiem, że się źle czułaś”.

To ją dobije: trzyletni chłopiec usprawiedliwia trzydziestoletnią kobietę. Wy rzuty sumienia, że zawiodła syna, nie dają jej spokoju. Leży na kacu i szepcze: „Boże, żebym dziś tylko nie piła”.

Pije.

Ale potrafi też nie pić. Jedzie autem na imprezę, gdzie nie tknie alkoholu. Nie chce, by coś się jej wymknęło spod kontroli i ktoś ze znajomych się zorientował. No i krzepi ją świadomość, że po powrocie czeka w domu butelka wódki.

Trzy dni po 30. urodzinach przyzna się terapeutce do alkoholu. A po sesji natychmiast kupi flaszkę. I już wie, że sobie sama z tym nie poradzi...

Prywatną, miesięczną, zamkniętą terapię sfinansują jej rodzice. Trzeźwieje. Nie pije trzy lata i jedenaście miesięcy. Przez ten czas próbuje ratować swój związek. Nie uda się, partner nie jest w stanie odzyskać do niej zaufania.

Ale zaczyna nową pracę, jest coraz silniejsza. Pierwsze wakacje bez kropli alkoholu przepełniają Alicję euforią – celebrowa każdą minutę dnia. Po odwyku decyduje się na terapię uzależnień oraz

spotkania Anonimowych Alkoholików. Z tych drugich w pewnym momencie zrezygnuje.

Jest listopadowy dzień. Alicja wraca z pracy, na witrynie Żabki czyta napis: „Gorzka żołądkowa – 9, 99”. Kupi. Nie dojdzie nawet do domu, wypije duszkiem za rogiem. Adasia oddaje pod opiekę rodziców. Przez trzy tygodnie pije dzień w dzień. Wraca do punktu wyjścia sprzed trzech lat i jedenastu miesięcy. Przerazi się, że znowu zawodzi syna.

Ponownie podejmuje terapię i chodzi na mityngi AA.

Alicja dziś ma 36 lat. 23 lipca minął pierwszy rok jej trzeźwości.

Mówi: – Na mityngach AA staram się być trzy razy w tygodniu, tyle sugeruje wspomagający trzeźwienie program dwunastu kroków. W AA uczę się siebie. Dawniej, gdy było mi ciężko, wkładałam mnóstwo wysiłku, by otoczenie niczego się nie domyśliło, staranniej się malowałam i szerzej uśmiechałam. Nie pozwalałam sobie na słabość. Dziś umiem przyznać się do własnej bezradności. O pomoc proszę inne kobiety ze wspólnoty AA.

Zła

Lucyna Świątek: – Na alkoholizm mężczyzny istnieje społeczne przyzwolenie, na kobiety nie. Sami alkoholicy oceniają ją bardziej surowo. Jeśli podejmuje próbę leczenia, rzadziej znajduje wsparcie w bliskich. Niektórym mężom wygodniej jest mieć w domu alkoholikę. Kiedy pije, można ją manipulować, gdy zaczyna się leczyć, przestaje być potulna i wyraża swoje zdanie. Na dziesięciu pijących mężczyzn z powodu ich nałogu opuszczonych zostanie dwóch, gdy kobieta ma problem, odejdzie ośmiu na dziesięciu. Mężczyzna pojawiający się na konsultacji zazwyczaj otoczony jest wianuszkami kobiet. A kobieta jest sama, czasem towarzyszy jej matka, siostra, przyjaciółka.

– W placówkach medycznych kobieta uzależniona często jest traktowana gorzej. Dlaczego? Bo to zła matka i zła żona. Bywa, że zachowuje się agresywnie, np. upomina się o lepsze traktowanie, domaga się tego, by do niej nie mówić po imieniu. Mężczyzna pijący, który przejawia na oddziale zachowania niepożądane dla personelu, budzi lęk, kobieta złość i pogardę.

– Gdy pije książkę, to ktoś z parafii przywozi go na odwyk. Jeśli pije siostra, to jest przenoszona do klasztoru w innym mieście, byle nikt się o tym nie do-

wiedział. Nadal łatwiej jest powiedzieć o mężczyźnie „biedny gość”, gdy się zwierzy z tego, że rzuciła go żona i dlatego pije. Gdy kobieta jest w takiej samej sytuacji, to znaczy, że sobie na nią zasłużyła. Mężczyzna wybierający się na mityng AA od żony dostaje „błogosławieństwo”. A do żony mąż powie: „Tam są głównie faceci. Może wcale nie chodzisz, by się leczyć, tylko mnie zdradzasz? Po co ci to? Przecież byłeś już na terapii. Jak długo będę się musiał zajmować nie swoimi sprawami?”.

Worek

Teresa wdowiec, gdy ma 27 lat, jej mąż umiera nagle, zostaje sama z córkami – trzyletnią Olą i siedmioletką Zużą. Czuje, że oszaleje. Lekarza prosi, by przepisał jej coś na sen. Słyszy: „Co ja będę pani przepisywał? Niech sobie pani przed snem strzeli kielicha”.

Posłucha, posmakuje, pokocha. Jeden kielich nie wystarcza. Potem nie wystarcza jedna butelka. Sięga wyłącznie po mocne alkohole.

Jest przełom lat 80. i 90. Teresa pracuje w zaopatrzeniu, jeździ na targi do Poznania. W każdym boksie się pije, jest do tego przygotowana; w teczce ma gotowe umowy, podsuwa je tylko do podpisania. A potem „setka” – pierwsza, druga, trzecia... Ludzie ją lubią, wiedzą, że jest rozrywkowa – tu opowie kawał, tam zatańczy. Film urywa się jej bez przerwy, nieraz budzi się w obcym mieszkaniu. Panikuje: „Rany boskie, co ja tu robię? Co się dzieło w nocy?”. Wstydi się zapytać, woli się napić i wyrzut sumienia znika. Wynajduje sobie towarzystwo dotrzymujące jej kroku w picu. Nudzą ją ludzie, którzy nie piją wcale lub odrobinę.

Córki są przerażone. Wstają rano – mama śpi. Wracają ze szkoły – mama śpi. Kładą się do łóżka – mama śpi. Czasem nie wiedzą, czy jeszcze żyje. Czasem ona rzuci: „Tam są pieniądze, idźcie sobie coś kupić”. Sprzątają po niej. Teresa zawsze im obiecuje, że to ostatni raz.

Jej rodzice mieszkają w sąsiedztwie, pomagają w opiece nad wnuczkami. Bo ona wciąż w służbowych rozjazdach. I wciąż nietrzeźwa.

Lub trzeźwiejąca. Mama nie ma odwagi jej powiedzieć, by się otrząsnęła. Robi tyle, na ile ją stać: modli się za Teresę. A ona pozwoli odcina się od świata. Najlepiej czuje się w samotności. Byle nikt jej nie widział i o nic nie pytał. Między mąką a octem

stoi pełno butelek – gromadzi je jak wie-
wiórka. Wpada w ciągi, pije dzień i noc.
Potem kilka tygodni przerwy. I znowu to
samo.

Kończy pracę w zaopatrzeniu, zaczyna
w nieruchomościach. Zawala, zapomina
czegoś zaksięgować. Dyrektorka jest prze-
rażona, spodziewa się kontroli finanso-
wej. Zaproponuje rozwiązanie umowy
za porozumieniem stron. Teresa pomyśli:
„Jak porozumienie stron, to przecież mnie
nie wywalili. Jest dobrze”.

Dostaje rentę na dziecko szczególnej
troski. Siostrze zmarłego męża, też alko-
holiczce, chcą zabrać syna i oddać go do
domu dziecka. Teresa w sądzie pojawia się
elegancka i wyperfumowana, bo szwa-
gierka akurat jest w ciąży. Sąd przyzna
Teresie prawo do opieki, uzna ją za lepszą
matkę.

Kiedyś zgłasza się do psychiatry, by wy-
pisał jej zwolnienie z pracy. Psychiatra:
„Pani ma problem z alkoholem?”. Te-
resa: „Ależ skąd!”. Ale sama wie, że pro-
blem ma. Połowa lat 90. to już same
ciągi – jeden po drugim, piąty po
czwartym. Zadręcza się: „Jestem
psychicznie chora”. Nie może wię-
cej pić i nie może pić przestać.

Jest rok 1996. W gazecie Te-
resa przeczyta o przychodni
dla uzależnionych, przy któ-
rej działa grupa Anonimo-
wych Alkoholików. Dwa
słowa ją zaintrygują: „ano-
nimowi” i „alkoholicy”.
Pomyśli: „Coś dla mnie”.
Odważy się, pójdzie.
Usłyszy: „Dobrze, że je-
steś”. Ludzie opowiadają
swoje życia, a ona ma
wrażenie, że to o niej.
Rozpocznie terapię uza-
leżnień. Psycholog za-
chęca ją, by nie rezygno-
wała z mityngów AA, bo
tam spotka takich samych
jak ona. Tłumaczy: „Gdy je-
den nie ma nogi, drugi może
mu współczuć. Lecz gdy dwie
osoby nie mają nogi, to mogą so-
bie o tym porozmawiać”.

Teresa odzyskuje tożsamość, czuje ulgę.
W Wielkiej Księdze – biblii AA – prze-
czyta, że alkoholik zachowuje się jak sza-
lenieć, który przebiega na czerwonym
świecie, zostaje potrącony przez auto, ale
na to nie zważa, powtarza to raz, drugi,
trzeci, czwarty...

Na dziesięciu
pijących mężczyzn
z powodu nałogu
opuszczonych przez żony
jest dwóch. Gdy kobieta
ma problem – odejdzie
ośmiu na dziesięciu.

Ale to jeszcze nie koniec: zapije. Trafia
do szpitala w Kobierzynie. Oddział de-
toksu jest połączony z oddziałem dla cho-
rych psychicznie. Pielęgniarka wskazuje
sześć osób, mówi, że cierpią na demencję,
przebywają zwykle w zamkniętym zakła-
dzie, przywożeni są tu na podleczenie. Te-
resa: „Naprawdę?”. Pielęgniarka: „No tak”.
Teresa: „Co oni takiego pili?”. Dziwi się.
Jeszcze karmi się złudzeniem, że jest ule-
piona z innej gliny.

Kroplówki stawiają ją na nogi. Nic nie
męczy, nic nie boli, nie suszy. Kalkuluje:
odwyk na pewno nie jest jej potrzebny,
sama sobie da radę.

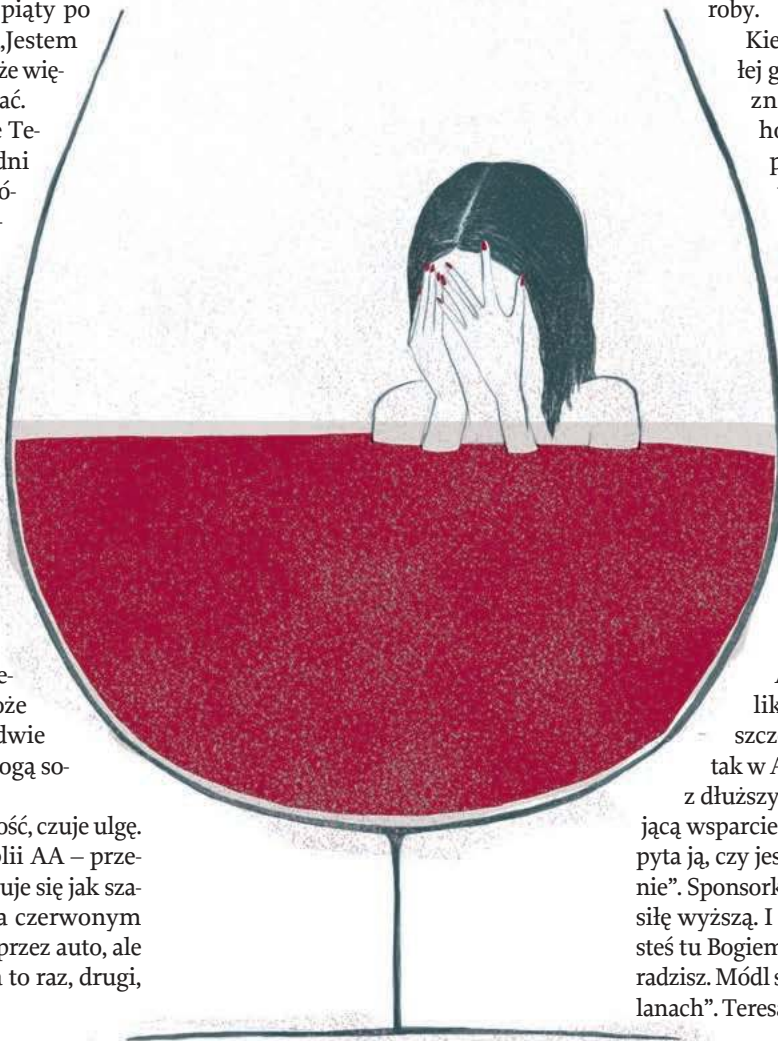
Zdarzy się coś, co przerwie tę spiralę sa-
mookłamywania się. Na korytarzu leży
alkoholik. W delirium. Teresa przynosi
mu papierosy, to jedyna jej bratnia dusza
na oddziale. Umrze. Widzi, jak jego ciało
pakuje do worka. Przerazi się, zrozumie,
że nie ma żartów. Zdecyduje się na za-
mknięty odwyk – sześć tygodni terapii.

Uczestniczy w zajęciach, dowiadyuje się,
na czym polega mechanizm jej cho-
roby.

Kiedyś terapeuta pokazuje ca-
łej grupie wykres Jelinka z za-
znaczonymi fazami alko-
holizmu – od towarzyskiej
po grób. Pyta, czy wiedzą,
w której oni są fazie. Nie-
mal chórem odpowiadają:
„W towarzyskiej”. Tera-
peuta się śmieje: „Ja wam
dam towarzyską!”.

Teresa nie potrafi
otworzyć się na spo-
tkaniach terapeutycz-
nej grupy, w której jest
dziesięciu mężczyzn
i dwie kobiety. Jak na
takim forum wyznać,
że po pijaku poszło się
z kimś obcym do łóżka?

Teresa zacznie mówić
dopiero na mityngach
Anonimowych Alko-
holiczów. Ale do szpiku kości
szczerza jest przed sponsorką –
tak w AA nazywa się alkoholickę
z dłuższym stażem trzeźwienia, da-
jącą wsparcie tej z krótszym. Sponsorka
pyta ją, czy jest wierząca. Teresa: „Raczej
nie”. Sponsorka: „To dobrze, znajdź sobie
siłę wyższą. I zaakceptuj, że to nie ty je-
steś tu Bogiem. Sama sobie z tym nie po-
radzisz. Módl się rano i wieczorem, na ko-
lanach”. Teresa: „Dlaczego na kolanach?”. ➔



→ Sponsorka: „Musisz działać. I nie zastanawiaj się, komu to potrzebne. Bogu na pewno nie. Tylko tobie”.

Teresa ma 62 lata, 25 sierpnia obchodzi 22. rocznicę trzeźwości.

Mówi: – Siedem lat temu dowiedziałam się, że mam raka. Onkolodzy załamywali ręce. Gdy po leczeniu odbierałam wyniki, ordynator powiedział: „Ma pani niesamowite znajomości na górze. Musi mieć pani jeszcze coś do zrobienia”. Moje córki ułożyły sobie życie, to nagroda od losu i żadna moja zasługa. A ja dziesięć lat temu po wtórnie wysłałam za mąż.

W AA dostałam nadzieję, że mogę żyć bez alkoholu. Później przyszedł moment, że zaczęłam pomagać innym alkoholikom. Tu znalazłam receptę na swoje życie. Czyli spokój. Wyzyłam się strachu. Nauczyłam się rozmawiać spokojnie, a nie wkurzać o byle drobiazgi. Czuję się lekka, gdyż nie nękają mnie wyrzuty sumienia. Satysfakcję dostarcza mi fakt, że stałam się dla ludzi kimś wiarygodnym.

Detoks

Lucyna Świątek: – W żadnym polskim szpitalu nie istnieje detoks dla kobiet. Osobny jest dla mężczyzn, a kobiety przebywają na oddziale wspólnie z chorymi psychicznie. W Szpitalu Babińskiego przez moment działał oddział koedukacyjny – na jednej sali, przedzielonej parawanami, leżeli w majaczeniach panie i panowie. A majaczenie to stan, w którym człowiek jest pozbawiony kontroli. Narząło to pacjentów obojga płci na brak intymności i godności. Z koedukacyjnego oddziału trzeba było zrezygnować. Natomiast NFZ odmówił utworzenia oddzielnego oddziału dla kobiet, swoją decyzję uzasadnił tym, że to się nie kalkuluje, gdyż alkoholicek nie ma zbyt wielu. Decydenci nie chcą widzieć problemu.

Gdy kobiety przychodzą na leczenie ze skierowaniem od lekarza, rzadko zdarza się, by było tam napisane: „uzależnienie”. Dlatego samej kobiecie ciężko rozpoznać swój alkoholizm. Diagnozuje się ją, kiedy jest już na etapie degradacji – nie pracuje, mąż odszedł, na twarzy popękały jej naczynia krwionośne. A gdy pojawia się kobieta wykształcona, elegancka i elokwentna, to większa jest tendencja do roz-

poznania u niej np. depresji, natomiast alkohol traktowany jest objawowo.

Techniki i tematy w terapii w pewnych obszarach muszą się różnić od tej prowadzonej z mężczyzną. Jeśli jednym z elementów picia u kobiety jest wykorzystanie seksualne, jak o tym powiedzieć na forum, które tworzą głównie mężczyźni opowiadający o swoich zachowaniach przemocowych?

Nie bez powodu mówi się, że płęć jest w mózgu. Kobieta ma ogromną potrzebę akceptacji – budują ją relacje z ludźmi, nastawiona jest na zaspokajanie potrzeb innych. Mężczyźni nastawieni są na rywalizację, kobiety na współpracę. Gdy prowadzę grupę kobiet i mężczyzn, to natychmiast widzę tę różnicę. Z kobietami trudno pracować konfrontacyjnie, bo odbierają to jako atak i natychmiast się wycofują. Jednocześnie mają ogromną potrzebę zależności, więc częściej się podporządkowują. Kobieta w czasie terapii przytakuje: „Tak, zgadzam się z panią”. Facet prędzej tupnie nogą, zakwestionuje sprawę.

Czy cykl menstruacyjny przyczynia się do rozwoju nałogu? Robimy z niego demona, napięcie przedmiesiączkowe nie jest najistotniejszym elementem związanym z nadużywaniem alkoholu. Trudniejsze dla kobiety jest to, gdy po urodzeniu dziecka słabnie jej zawodowa ścieżka i pozostaje w permanentnym konflikcie między nakazem roli a innymi swoimi potrzebami. Większość z tym właśnie sobie nie radzi. Bo jak poświęci się dzieciom, to ma poczucie, że coś traci. Gdy z kolei dzieci, którym bez reszty poświęciła czas, uwagę i energię, wchodzą w dorosłość i opuszczają rodzinne gniazdo, to zostaje z niczym. Nie miała czasu i gotowości na to, by uruchomić własną ścieżkę rozwoju. I picie zaczyna się często jako próba zatrzymania. Dorosłe dzieci nie mogą odejść od matki, przecież nie zostawia jej w takim stanie. Pić zaczynają też kobiety, które nie radzą sobie ze zdradą partnera. Czują się zranione, a nie są w stanie odejść z przyczyn ekonomicznych – nie mają środków, by wynająć mieszkanie, przecież nie wrócą do mamusi z czworką dzieci. Albo rozwódki. Mężczyzna, gdy wychodzi ze związku, zostaje sam – dziećmi zaj-



muje się raz w tygodniu. I szybko sobie kogoś znajdzie. Kobieta pragnie tego samego, tyle że ona dźwiga cały bagaż rodziny. Jak w tej sytuacji wprowadzić do domu kogoś, kto dzieci może skrzywdzić? Lub inny scenariusz: kobieta odchowuje dzieci, udaje się wrócić do pracy, ale rodzice są już bardzo starzy i trzeba się nimi zaopiekować.

My, kobiety, całe życie stoimy wobec właśnie takich dylematów. Jeśli nie umiemy ich rozwiązać, często to one są przyczyną picia.

Urodziny

Magdalena w liceum uczy matematyki. Wysoka, zgrabna, zielonooka. Zawsze w szpilkach. Z mężem grają w brydża, mają do tego stałe towarzystwo. Takie spotkania są zawsze suto zakrapiane. To jest jej oficjalne picie. Nieoficjalne wygląda w ten sposób, że sąsiadka znajduje na działce butelki po wódce wyrzucone przez okno sypialni. Magdalena wpada w ciąg: tydzień picia i trzy, cztery, pięć miesięcy abstynencji.

Po alkohol sięga, jeszcze zanim urodzi Małgosię, potem Michała. Już wtedy jest wewnętrznie poraniona; jej młodość naczynają dwie traumy – jako nastolatka pochowała mamę, jako dwudziestolatka – ukochanego. Nigdy się z tym nie upora. Jest zamknięta w sobie, introwertyczna, małomówna. Wszystko się zmienia, gdy wypije kilka drinków, wtedy rozwiązuje się jej język. Dzwoni do córki studiującej w Warszawie. Przeprowadzają szczerą rozmowę. Kiedyś zwierza się Małgosi, że zazdrości ludziom, którzy wierzą. Bo ona jest ateistką. I brakuje jej nadziei.

Rodzina widzi problem, posyła ją na zamknięty odwyk. Magdalena wraca odmieniona, ale tylko na kwartał. Coraz częściej sięga po alkohol, także w pracy. Rok przed emeryturą dyrektor szkoły sugeruje jej urlop na podratowanie zdrowia. Mówi, że to dla niej ostatnia szansa. Choć wcześniej łączy ich przyjaźń, od tego momentu Magdalena zaczyna traktować go jak wroga.

Latem 2007 r. kładzie się wieczorem do łóżka. Umrze nad ranem, we śnie. Ma 54 lata.

– Mama odeszła 12 lipca, w dzień moich 29. urodzin – mówi Małgorzata. – O tej samej godzinie, o której przyszedł na świat. Od rana odbierałam telefony z życzeniami. W pewnym momencie na komórkę wyświetla się numer kuzynki, zdziwiłam się, bo już rano wysłała SMS-a ze „100 lat”. Pyta, jak się czuję. Ja na to, że

Niektórym mężom
wygodniej jest mieć w domu
alkoholiczkę. Kiedy pije,
można nią manipulować.
Gdy zaczyna się leczyć,
przestaje być potulna.

wspaniale. Wtedy zorientowała się, że jeszcze nie wiem.

– Ostatni raz rozmawiałam z mamą 26 maja, w Dzień Matki. Koło dziewiętnastej zadzwoniłam z życzeniami. Nakrzyczała na mnie, że ją obudziłam. Wkurzyłam się, rzuciłam słuchawką.

Siostra mamy powiedziała, że ona umarła przez nas, bo jej nie pomogliśmy. A to nieprawda. Jak ktoś nie chce sobie sam pomóc, to nic nie da się zrobić. Nic a nic.

Co dobrze wspominam? Rozmowy z nią, właśnie wtedy, gdy była pijana. Choć zawsze mało mówiła o sobie, w sumie mało o niej wiem. Na pewno była mądra. I szalenie wrażliwa – alkohol to był sposób na to, by tego świata nie pokazać. Mama była świadoma innych ludzi, a tak nieświadoma siebie... Całe życie przed sobą uciekała.

– Długo nie świętowałam urodzin. Tydzień wcześniej popadałam w głęboki smutek, nie miałam na to wpływu. Po śmierci mamy pierwsze urodziny zorganizowali dla mnie przyjaciele, gdy skończyłam 35 lat. W tym roku z moim mężem odwiedziłam tatę w 11. rocznicę mamy śmierci i w moje 40. urodziny. Położyliśmy się spać na łóżku, na którym ona umarła. Wtedy rozsypało się moje ciało,

zaczęło się dziać coś koszmarnego ze stawami i jelitami.

A tata? Tata mamy nigdy nie przestał kochać.

Ja? Nieustannie z nią rozmawiam.

Nadzieja

Wskutek choroby alkoholowej umiera czterokrotnie więcej kobiet niż mężczyzn. Powodem są różnice biologiczne. W kobiecym żołądku jest znacznie mniej enzymów odpowiedzialnych za metabolizowanie alkoholu i więcej estrogenów, które sprzyjają jego intensywniejszemu wchłanianiu. Po spożyciu takiej samej ilości alkoholu jego stężenie we krwi kobiety jest o 40 proc. większe niż u mężczyzny. Poważne kłopoty zdrowotne występują u kobiet średnio po 14 latach nadużywania alkoholu. Podobne zmiany pojawiają się u mężczyzn po dwóch dekadach.

Lucyna Świątek: – W terapii uzależnień pracuję od 1995 r. Wtedy na oddziale stacjonarnym nie było możliwości leczenia kobiet. Kiedy w 1997 r. postanowiliśmy zrobić tam dla nich miejsce, to kobiet było pięć, sześć, a średnia wieku 50 lat. W tej chwili na oddziale kobiet jest więcej, to samo dzieje się w poradniach, ujawniają się coraz młodsze. I to jest dobre. Gorzej jest z tym, że z leczeniem kobiety na oddziale stacjonarnym wiąże się kłopot. Przyczyna jest prozaiczna: mężczyzna pakuje walizkę i idzie zamknąć się na półtoramiesięczny odwyk. Kobieta, by to zrobić, musi wykonać logistyczną operację, w tym zorganizować opiekę nad dziećmi. A gdy już zdecyduje się na leczenie, w terapii utrzymuje się trudniej. Bo albo przytłacza ją nadmiar obowiązków, albo nie jest zainteresowana głębszymi zmianami, albo się zakocha, wchodzi w nowy związek i chce odciąć się od przeszłości.

Nie jest sukcesem wyłącznie to, gdy kobieta odstawia alkohol, zregeneruje się, uśmiechnie, zrobi nową fryzurę i ubierze kolorowe ciuchy. Gdy nie będzie wzmacniać się od środka, to gdy przyjdzie pierwszy szkwiał, w ułamkach sekund zmiecie całą fasadę. Kobieta musi dokopać się do tego, co nie działa w jej wnętrzu. Może przestać pić i pozostać szarą myszą, lecz z głębszym wglądem w siebie. Zacząć inaczej wychowywać dzieci, stawiać granice tym, którzy je brutalnie przekraczali. A to jest proces, czasem bardzo długi. Bo alkoholizm to choroba emocji.

© KATARZYNA KUBISIOWSKA

ANNA

Dziewit-Meller: Szubienica



FESTIWAL STOLICA JĘZYKA POLSKIEGO, ODBY-
wający się co roku w sierpniu w Szczecze-
rszynie, kojarzy mi się ze zdaniem, które po-
służyło jako tytuł reportażu Wojciecha
Tochmana o Piwnicy pod Baranami z jej
najlepszych czasów: „Mówię ci, tam była en-

klawa tajemna”. Co prawda w tym wypadku może nie tak do
końca tajemna, bo całkiem liczna publiczność co roku ciągnie
na Roztocze na spotkania z literaturą, teatrem i muzyką, ale en-
klawa na pewno. Dość powiedzieć, że gdy pewnego wieczora
patrzyłam na gwiazdy, siedząc wygodnie na leżaku tuż nad
brzegiem leniwie płynącego Wieprza, a z pobliskiej sceny do-
chodził mnie głos pani Anny Seniuk czytającej wiersze Her-
berta, myślałam sobie, że tak trzeba żyć i że wróć do domu
w formie. Bo odbyłam spa dla mózgu i duszy, jeśli ją oczywiście
mam.

Pewnego jednak wieczora pośród tej słonecznej, pachnącej
latem sielanki niespodziewanie zjawiał się między nami on.
No może nie do końca między nami, bo niespiesznie i dość de-
monstracyjnie minął nasz pisarski stolik i przeszedł do kolej-
nego oddalonego może ze dwadzieścia metrów. Usiadł przy
nim, zamówił, kelnerka przyniosła mu piwo. I choć byliśmy
zagadani, roześmiani i zajęci sobą, jego wejście oczywiście nie
pozostało niezauważone. Prawdopodobnie zresztą właśnie tak,
jak to sobie założył, przychodząc tego wieczora do hotelowej
restauracji.

Był niski i dość krępy, ogolony bardzo krótko, prawie przy
skórce. Kiedy obok nas siedł, spojrzeliśmy na siebie z Miko-
łajem Grynbergiem, pytając się niemo: „Widziałeś to co ja?”.
Z tyłu na czarnej bluzie, w którą był ubrany, widniały wielkie
sierp i młot na czerwono-pomarańczowym tle, powieszone na
stryczku. Rysunkowy powróż wyglądał na gruby i solidny, taki

jak trzeba. Facet na razie nie patrzył na nas, tylko pił szybko
piwo. Na tyle szybko, że zaraz musiał pójść do ubikacji, i żeby
tam dotrzeć, musiał znów przejść koło nas. Szedł więc w naszą
stronę, a my mogliśmy upewnić się, że na przedzie bluzy stoi
o tym, że na „drzewach zamiast liści będą wisieć komuniści”.
Kompatabilnie, Red is Bad, co wiemy od wielkiego admirałora
odzieży patriotycznej pana Andrzeja Dudy.

Możliwe jest oczywiście, że moi towarzysze (*nomen omen*)
wcale nie poculi tego, co czułam wtedy ja, a cała ta historia,
którą tu opisuję, jest wyłącznie wytworem mej bujnej wy-
obraźni i koleżka ów nie przyszedł do Perły Roztocza w celu in-
nym niż dajmy na to pięć piw, a przypadkową bluzę pożyczył
od kogoś na mieście, bo faktycznie zrobił się lekki ziąb pod wie-
czór. I cała ta dywersja – „wejdź na teren wroga i się tam okop,
niech się poczuje gorzej, bo się chyba czuje za dobrze” – tylko
mi się zdawała. Ale nie ma co kryć, że poczułam przez chwilę
wyraźny uwiąd w naszych wesołych dysputach, jakby krótko-
trwałe zmrożenie atmosfery, po którym to jednak postaraliśmy
się odbić i – czekając na jego powrót z toalety – zasłonić ten swój
mniej lub bardziej irracjonalny lęk przed nim i jego powrozem
żartami z odzieży patriotycznej oraz rozważaniem, kto najlepiej
z naszej dość wątłej fizycznie gromady nadawałby się choć trochę
do bitki. Jakby co.

Gdy wyszedł z łazienki, rozmowy znów na chwilę umilkły,
przeszedł – podniosły się jak zgnieciona buciorem trawa, i tak
jeszcze ze dwa razy. A potem sobie poszedł, a ja odetchnęłam.
Wyobraźnia, niewyobraźnia, jakże milej, gdy obok mnie nie
siedzi nikt, kto ma na brzuchu informację o tym, że warto wie-
szać.

W moim odczuciu odzież patriotyczna nie służy bowiem ni-
czemu innemu niż przemocy. Wzbudza lęk i niepewność, wy-
rażnie oddziela jednych od drugich, ustawia nowe hierarchie,
odbiera mi odwagę, a przydaje myśli o tym, że ktoś nie widzi
gdzieś dla mnie miejsca.

Owszem – można by rzec – a cóż tobie przeszkadza histo-
ryczny slogan i brzydka grafika, śmierć przyznana będzie tylko
wrogom ojczyzny, nie tobie, więc się opanuj i w imię wolności
słowa daj ludziom zakładać na grzbiety, co chcą. Całkiem to
możliwe, że żadna głębsza refleksja nie kryje się za łażeniem
wśród uczestników festiwalu w takim stroju, a ja doszukuję się
sensu tam, gdzie go nie ma. Niemniej to chyba jak z molestowa-
niem – gdy czujesz, że ktoś przekracza twoją granicę, to on ją po
prostu przekracza, choćby się potem zaklinał, że nie. Tylko ty
wiesz, gdzie tę granicę masz.

Cieszę się więc, że pani Hanna Gronkiewicz-Waltz rozwią-
zuje kolejne marsze narodowców w Warszawie, tak jak ten
ostatni – w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego – nie
baczając na dwuznaczne umizgi ministra Brudzińskiego do tych
ludzi. Ona w przeciwieństwie do mnie – co ze strachu przed
nimi po prostu milknie i kuli się w sobie – wciąż każe im ścia-
gać z grzbietu te bluzy z szubienicą, tak żebym ja się nie bała żyć
w moim mieście. Mam nadzieję, że za rok o tej porze ktoś nowy
na fotelu prezydenta Warszawy też tak uczyni. Co podsuwam
wszystkim pod rozwagę. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie,
w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 1417/16 toczy
się postępowanie z wniosku Banku Polskiej Kasy Opieki S.A.
w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Marianie
Piotrze Marcza, s. Jana i Małgorzaty, ostatnio zwykle przeby-
wającym w Warszawie przy ul. Świetlików 8/200, ur. 25 marca
1961 r. w Katowicach, zm. 28 czerwca 2015 r. w Katowicach.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie
3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia
zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż
w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu
o stwierdzeniu nabycia spadku.



JORGE ZAPATA / UNSPLASH

SMAKI

gotowanie jedzenie restauracje przepisy porady

Dołącz do nowej grupy dyskusyjnej „Tygodnika Powszechnego” na Facebooku

GRUPĘ MODERUJĄ:

PAWEŁ BRAVO – felietonista kulinarny „Tygodnika Powszechnego”, animator akcji gastrokulturalnych, współ-



twórca książki „Kuchnia Dantego”, z której autorami współprowadził warsztaty kuchni włoskiej. Prowadził też niszowe działania cateringowe związane z warszawską

Stacją Muranów, przez dwa lata był współwłaścicielem i menedżerem włoskiej knajpki Culi-in-aria, nadal jest wiernym jej gościem. Produkty kupuje na targach, szczególnie tych zwyczajnych, jak warszawski Wolumen, ale mnóstwo zawdzięcza panu Ziółko z warszawskiej Fortecy. Od pół roku eksploruje krakowski rynek spożywczy i restauracyjny. Przez kilka lat członek zespołu redakcyjnego „Magazynu Wino”, obecnie współpracuje z kwartalnikiem „Ferment”.

TU DZIELIMY SIĘ NAJCIĘKAWSZYMI PRZEPISAMI, ale także najlepszą publicystyką o jedzeniu, bo gotowanie i jedzenie jest jednym z najważniejszych fenomenów społecznych, wpływa na nasze relacje i odwrotnie – nasze relacje i stosunki społeczne wpływają na to, co i jak jemy. Dyskutujemy o wszystkim, co dotyczy jedzenia: jak je przyrządzać, gdzie zjeść na mieście, jak zadbać o jakość produktów, ale także na temat narzędzi takich jak patelnia czy nóż.

ZADAWAJCIE PYTANIA – WSPÓLNYMI SIŁAMI POSZUKAMY ODPOWIEDZI!

MICHAŁ KUŹMIŃSKI – w „Tygodniku Powszechnym” od 2001 roku, obecnie jest wicenaczelnym i kieruje działem internetowym,



wcześniej m.in. twórca i wieloletni kierownik działu naukowego. Smakuje mu szczególnie temat relacji między kuchnią a nauką oraz kuchnią

i kulturą; na łamach „Tygodnika” publikował na ten temat teksty i wywiady. Od 2012 roku – dotąd *incognito* – tworzy blog kulinarny „Facet z nożem” (facetznozem.blogspot.com). Fan zwłaszcza kuchni śródziemnomorskiej i bliskowschodniej, ale w fundamentalnym sporze „Włochy czy Francja” ostrożnie opowiada się za Francją. Poza tym współautor (z Małgorzatą Fugiel-Kuźmińską) powieści etnokryminalnych i tekściarz.

GRAZYNA MAKARA X2

W relacjach z członkiniami i członkami grupy moderatorzy są wspierani przez **MONIKĘ OCHĘDOWSKĄ** – autorkę bloga kulturalnego miszong.pl, znaną też z łamów „Dwutygodnika” i „Tygodnika Powszechnego”, oraz moderatorkę liczącej ponad 3,2 tys. członków i członków grupy dyskusyjnej „Tygodnika Powszechnego” o książkach Book’s not dead.

Dołącz do dyskusji, wejdź na powszech.net/smaki

OSTATNI DOGMAT

Formuła uznana za szczyt przedsoborowej mariologii dziś zyskuje nowe, bardziej uniwersalne znaczenie. Jakie były okoliczności ogłoszenia dogmatu o Wniebowzięciu Maryi?

EDWARD AUGUSTYN

WSTĄŻKA JEST ZIELONA I MIERZY NIE-spełna 90 cm długości. Utkano ją z delikatnej, koziej wełny i ozdobiono złotą nicią. Wieczorem, 15 sierpnia, biskup trzykrotnie podnosi ją w górę – najpierw wewnątrz katedry, potem na zewnątrz, wdrapując się na piętnastowieczną ambonę Donatella i Michelozza. Przepaska, którą Matka Boża zgubiła wstępując do nieba, jest najważniejszą relikwią w Prato, niedaleko Florencji.

Według legendy wstążkę Maryi złapał apostoł Tomasz, ten sam, który nie chciał uwierzyć w opowieści o zmartwychwstaniu Jezusa. Teraz miał szansę zrehabilitować się w gronie Dwunastu, jako jedyny świadek Wniebowzięcia.

To tylko jedna z wielu legend, jakimi obrosło obchodzone od starożytnych czasów święto. Najnowsze badania z zakresu archeologii, historii sztuki i egzegezy apokryficznych tekstów (M. Olejnik, 2017) dowodzą, że już w I wieku czczono je w jerozolimskiej gminie judeo-chrześcijańskiej, opiekującej się dwoma grobami: Jezusa nieopodal Golgoty i Maryi na zboczach Góry Oliwnej. Przypominało wiernym o czekającym ich życiu wiecznym. Prawdopodobnie było obchodzone w czasie żydowskiego święta namiotów, które również miało eschatologiczny wymiar.

Konflikty między „Kościołem obrzezanych” a „Kościołem pogan”, czyli tych, którzy z judaizmem nie mieli żadnych związków, oraz postępujący aż do V w. proces „dejudeizacji” chrześcijaństwa wyjaśniają milczenie Ojców Kościoła (z tego

okresu) na temat Wniebowzięcia. Gdy myśl teologiczna okrzepla, ujęta w kategorii filozofii greckiej, i przełamała uprzedzenia wobec judeochrześcijan, wielcy pisarze i teologowie Kościoła zaczęli zgłębiać tajemnicę śmierci Matki Jezusa, coraz chętniej wracając do starodawnych podań. W cesarstwie wschodnim święto Wniebowzięcia pojawiło się oficjalnie (często pod nazwą Zaśnięcia Maryi) w VI w., na Zachodzie – sto lat później.

W kolejnym tysiącleciu kult rozwinął się, okrzeplł i przyjął najrozmaitsze formy, jak wspomniane błogosławieństwo relikwią maryjnej przepaski czy urządzone już od XVII wieku w polskich sanktuariach-kalwariach „pogrzeby Maryi”, czyli procesje z figurą Matki Bożej śpiącej i wniebowziętej.

Galopująca mariologia

I stało się. Kiedy oddała ducha w ręce Boga, apostołowie położyli swoje dłonie na jej oczach. I usnęła snem prawdziwym w nocy, 20 stycznia, to jest rano 21 dnia miesiąca Tobie, w pokoju Boga. Amen.

(APOKRYF SAIDZKI O ZAŚNIĘCIU MARYI)

Jezuici Wilhelm Hentrich i Rudolf De Moos stanęli przed nie lada wyzwaniem. W 1942 r. Pius XII kazał im przygotować do druku petycję, jakie duchowieństwo i wierni od lat przysyłali do Watykanu, domagając się ogłoszenia dogmatu o Wniebowzięciu. Było ich, bagatela, ponad 8 mln (w tym prośba polskiego epi-

skopatu z 1936 r.). Większość stanowiły formularze z jednakową treścią, opatrzone dziesiątkami podpisów. Publikacja zajęła cztery lata, a powstałe dzieło liczyło ponad 2 tys. stron.

Niemal sto lat wcześniej, w 1854 r., Pius IX ogłosił jako prawdę wiary, że Maryja była jedynym człowiekiem bez grzechu pierworodnego. Bardzo szybko – już po czterech latach – ten dogmat uzyskał nadprzyrodzoną pieczęć: Matka Boża, ukazując się Bernadecie z Lourdes, nazwała się „Niepokalanym Poczęciem”. Czciociele Matki Bożej zaczęli więc domagać się kolejnego dogmatu, o Wniebowzięciu, przekonując, że wolne od wszelkiej skazy ciało Matki Bożej nie mogło ulec skażeniu śmiercią. Rozwinął się tzw. ruch asumpcjonistyczny, a jego przywódca, o. Giuseppe Vaccari, benedyktyn z Monte Cassino, zjeździł świat, głosząc kazania maryjne i zbierając podpisy pod prośbą do papieża.

Na początku XX w. asumpcjonisci stali się jeszcze bardziej aktywni. Prośby do Watykanu wysyłano masowo, organizowano światowe kongresy mariologiczne, pojawiły się pierwsze poważne, historyczno-dogmatyczne prace o Wniebowzięciu. Gwałtowny rozwój tej gałęzi teologii zaczął przybierać wręcz patologiczne rozmiary. Ojciec Yves Congar, dominikanin, późniejszy ekspert Soboru Watykańskiego II i kardynał, nazwał to zjawisko „galopującą mariologią”.

→

Obrzędy Zaśnięcia Matki Bożej, Kalwaria Pałacowska, sierpień 2004 r.



→ Dramatyczne przeżycia I wojny światowej skłaniały ludzi do szukania ratunku w maryjnej pobożności, dodatkowo rozpalonej objawieniami w Fatimie.

13 maja 1917 r., gdy Maryja po raz pierwszy ukazała się trzem pastuszkom, w watykańskiej Kaplicy Sykstyńskiej święcenia biskupie otrzymał 41-letni prałat, Eugenio Pacelli, przyszły papież Pius XII. Ta zbieżność będzie dla niego znakiem z nieba i wskazówką na dalsze życie.

Ostatni taki korektor

**Jesteś piękna i Twoje dziewicze ciało
jest święte (...) Niemożliwe,
by to naczynie godne Boga w proch się
rozsypało po śmierci.**

(ŚW. GERMAN, PATRIARCHA
KONSTANTYNOPOLA, VIII W.)

Pacelli został papieżem w marcu 1939 r. Był ostatnim rzymianinem, który zasiadł na Piotrowym tronie, ostatnim arystokratą (jego dziadek otrzymał tytuł wraz z majątkiem od Piusa IX, któremu pomagał podczas ucieczki do Gaety). Już w pierwszych wojennych latach pontyfikatu zyskał sympatię Rzymian, gdy z wyciągniętymi ku niebu ramionami stanął na gruzach zbombardowanej dzielnicy San Lorenzo. Mówiono, że przeniesie się na Lateran, by zapobiec kolejnym amerykańskim nalotom, nazwano go „papieżem przeciwlotniczym”.

Mimo ciągłych problemów zdrowotnych (całe życie był na specjalnej diecie, przez co nie ukończył w normalnym trybie seminarium, a do kapłaństwa przygotowywał się w rodzinnym domu), był tytanem pracy, obsesyjnie przejętym lękiem przed zmarnotrawieniem choćby jednej cennej chwili.

Szybko stał się uosobieniem dostojności i powagi Kościoła. Ale szacunek wzbudzał już wcześniej – jako biskup, nuncjusz w Niemczech, czy kardynał – sekretarz stanu. Sprzyjały temu jego warunki fizyczne: był wysoki (185 cm wzrostu) i szczupły, głowę nosił wysoko, a szlachetności dodawała mu skupiona twarz i rzymski, orli nos.

Jednak za tą hieratyczną sylwetką kryła się – jak twierdził kard. Siri – osoba nieśmiała, drżąca przed publicznymi wystąpieniami. Dlatego Pacelli zawsze staranie się do nich przygotowywał, a przemówień uczył się na pamięć. Każdy temat długo i dogłębnie studiował, otaczając się

książkami z własnej biblioteki i sprowadzanymi na zamówienie z całego świata, a także korzystając z rad najlepszych ekspertów. Uważał, że wypowiedź papieska – na każdy temat – musi być rzeczowa, precyzyjna i niepozostawiająca wątpliwości.

Godzinami poprawiał nie tylko swoje teksty. Codziennie wieczorem przynoszono mu wydruki próbne watykańskiego dziennika „L'Osservatore Romano”, którego korektę robił do późnej nocy.

Znał osiem języków. Podczas 19 lat pontyfikatu wygłosił blisko 1400 przemówień, z czego 300 na różnego rodzaju kongresach. Nawet w ostatnich latach życia, gdy podupadł na zdrowiu i wycofał się z aktywnego zarządzania Kościołem (co doprowadziło do stagnacji w kurii i było powodem oskarżeń), spotykał się z przedstawicielami różnych grup zawodowych i wygłaszał przemówienia na takie tematy, jak chirurgia oka, inżynieria wodno-kanalizacyjna, dietetyka czy projektowanie samochodowych karoserii...

Osobliwe referendum

**Ogłaszamy, oświadczamy i określamy
jako dogmat, prawdę przez Boga
objawioną, że Bogurodzica Maryja,
zawsze Dziewica, po zakończeniu życia
ziemskiego, z ciałem i duszą,
została wzięta do nieba.
(Z BULLI „MUNIFICENTISSIMUS DEUS”)**

W czerwcu 1948 r. Pius XII ogłosił zaskoczonym kardynałom, że rok 1950 będzie 25. rokiem jubileuszowym w historii Kościoła. Mało kto wierzył, że pomysł uda się zrealizować. Wydawało się, że zniszczony wojną Rzym nie jest gotów na przyjęcie pielgrzymów, a ludzie nie mają pieniędzy na dalekie podróże. A jednak papież miał rację.

W ceremonii otwarcia „drzwi jubileuszowych”, w wigilię Bożego Narodzenia 1949 r., uczestniczyło 10 tys. wiernych. W ciągu całego roku Watykan odwiedziło ponad 2 mln pielgrzymów, rozkręcając tym samym turystyczną koniunkturę w Wiecznym Mieście. Punktem kulminacyjnym jubileuszowych obchodów było ogłoszenie dogmatu o Wniebowzięciu Maryi.

To ostatni dogmat katolickiego Kościoła, w dodatku dość szczególny. Papież odszedł od odwiecznej zasady, że tego rodzaju aktów dokonują sobory i że ich celem jest obrona wiary przed herezjami. Teraz nikt



nie kwestionował Wniebowzięcia Maryi, niepotrzebna była żadna apologetyka.

Pominał też zwyczaj, że dogmat musi być mocno osadzony w Piśmie Świętym. A ponieważ w Biblii nie ma informacji o losach Maryi po Zesłaniu Ducha Świętego, oparł się na tzw. *sensus fidelium*, czyli zakorzenionym w tradycji i rozpowszechnionym w całym Kościele wierzeniu.

Sięgnął zresztą do sprawdzonego przed stu laty wzoru. Jego poprzednik i dobrodziej rodziny, Pius IX, przed ogłoszeniem dogmatu o Niepokalanym Poczęciu zapytał o zdanie biskupów. Papież Pacelli również wysłał – w 1946 r. – do episkopatów wszystkich krajów pytanie: „Czy sądzicie, Czcigodni Bracia, odznaczający się mądrością i roztropnością, że Wniebowzięcie cielesne Najświętszej Dziewicy może być ogłoszone za dogmat wiary i czy życzyście sobie tego Wy, duchowieństwo i lud?”. Otrzymał 1191 odpowiedzi, z czego tylko 22 głosy były przeciwne. Oponenci nie byli przekonani, że potrzebny jest akt tak wysokiej rangi, bali się też, że papież będzie próbował rozstrzygać stary spór, czy Maryja zmarła i została wskrzeszona, czy też została wzięta do nieba w ostatnich chwilach życia. Dogmat pozostawił tę kwestię otwartą.

Uroczyste odczytanie bulli ogłaszającej dogmat o Wniebowzięciu nastąpiło 1 listopada 1950 r. Papież zakończył ją słowami: „Niech więc nikt z ludzi nie waży się naruszać tekstu Naszego orzeczenia, ani też sprzeciwiać się mu i przeciwdziałać w niebaczonej zuchwałości. Gdyby jednak ktoś spróbował się na to odważyć, niech



JACEK BEDNARZYK / PAP

Kalwaria Zebrzydowska, sierpień 2015 r.

wie, że narazi się na gniew Wszechmogącego Boga i świętych Jego Apostołów Piotra i Pawła”.

Dwie kawy, proszę

W pewnym momencie, gdy podniosłem oczy znad kartek, które miałem w ręce, uderzyło mnie zjawisko, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Słońce, które jeszcze było dość wysoko, pojawiło się niczym zaciéniona, jasnożółta kula, całe otoczone świetlistym kręgiem. Poruszało się powoli, to wirując, to przesuwając z lewa do prawa i na odwrót.
(PIUS XII)

30 października 1950 r., dwa dni przed ogłoszeniem dogmatu, papież jak zwykle po obiedzie odpoczywał w watykańskich ogrodach. Gdy siedł alejką wzdłuż murów obronnych, niedaleko grotu Matki Bożej z Lourdes, zobaczył na niebie dziwne zjawisko. Zapisał w dzienniku: „To samo powtórzyło się następnego dnia, 31 października, i 1 listopada, w dzień ogłoszenia. Potem znów 8 listopada, w oktawę tej samej uroczystości. Potem już nigdy”.

Od razu zorientował się, że to jeden z cudów fatimskich. Jego powtarzanie się w dniach związanych z ogłoszeniem dogmatu uznał za dowód, że ta decyzja jest dla losów Kościoła i świata równie ważna, jak orędzie z Fatimy. Maryjnym objawieniem był od lat mocno przejęty. W 1942 r. upublicznił dwie tajemnice fatimskie i zgodnie z zawartą w nich prośbą powie-

rzył „opiece Niepokalanego Serca Maryi” najpierw świat, a potem Rosję (1952 r.).

O cudownych przeżyciach papieża wiedzieli wszyscy. W Watykanie opowiadano anegdotę, że gdy pewnego razu opiekująca się nim s. Pascalina (Pacelli sprowadził ją z Niemiec, gdzie zarządzała jego domem, gdy był nuncjuszem) zapukała do drzwi z pytaniem, czy życzy sobie kawy, zastąpiony w rozmowie z Jezusem papież odpowiedział: „Dwie, bardzo proszę”.

Zgadzał się na upublicznianie takich informacji. O „watykańskim cudzie słońca” opowiadał rok później w kazaniu jego legat na uroczystościach w Fatimie. A o tym, że Pan Jezus odwiedził chorego papieża i usiadł przy jego łóżku, napisał watykański dziennik „L'Osservatore Romano”, w odpowiedzi na wcześniejsze sensacyjne doniesienia prasy świeckiej.

Równocześnie ten sam papież był wielbicielem nauk ścisłych (zamiłowanie zrodziło się jeszcze w liceum, gdy jego wychowawcą był o. Giuseppe Lais – zakonnik, bibliotekarz i astronom, późniejszy dyrektor Obserwatorium watykańskiego). Otworzył drzwi Kościoła – może jeszcze nie na oścież – dla ewolucjonizmu i egzegezy biblijnej, zlecił prace archeologiczne w grotach watykańskich, które doprowadziły do odnalezienia grobu św. Piotra, i często powtarzał, że wiara i rozum to dwie siostry, które razem poszukują bożej prawdy.

Był miłośnikiem technicznych nowinek – lubił szybką jazdę samochodem, miał w apartamencie „mechanicznego konia”, dar od wiernych z Niemiec, który miał mu zastąpić ulubioną, a niedostępną papieżowi rozrywkę, hippikę, golił się elektryczną maszynką, sprezentowaną przez kard. Spellmana z USA. Jak wspominał dr Galeazzi-Lisi, „o wiele prędzej ogoliłby się zwykłą żyletką, ale słowo »elektryczny« zawsze kojarzyło mu się z szybkością i oszczędnością czasu”.

Sam dr Galeazzi-Lisi jest dobrym przykładem słabości Piusa XII do naukowych nowości. Został osobistym lekarzem papieża, bo oczarował go wizją oryginalnych terapii. Co prawda był okulistą, a papież cierpiał głównie na choroby układu pokarmowego, ale potrafił sprowadzić ze Szwajcarii twórcę „terapii komórkowej”, opartej na zastrzykach z komórek owiec, którymi próbowano – bezskutecznie – wyleczyć papieża z uporczywej czkawki. Słabość Piusa XII do nadwornego medyka była tak wielka, że gdy udowodniono mu

sprzedaż informacji o chorobach papieża, nie został zwolniony, a tylko na pewien czas odsunięty od obowiązków, co okazało się fatalne w skutkach.

Z duszą i ciałem

Nie potrzebuję pozostawiać duchowego testamentu – jak przykładowie czyni wielu pobożnych hierarchów – ponieważ ta niemata liczba aktów i przemówień, jakie przeze mnie, z konieczności sprawowanego urzędu, zostały wydane czy wygłoszone, pozwoli każdemu, kto przypadkiem tego zapragnie, poznać moją myśl na różne tematy religijne i moralne.
(TESTAMENT PIUSA XII)

„Mnie nie zajmują sprawy doktrynalne – zwierzył się kard. Siriemu papież Jan XXIII. – Pius XII zrobił już wszystko w tej kwestii. Napisał całą encyklopedię doktryny”.

Papież Pacelli stworzył co prawda kompendium „starej” teologii, która już wkrótce miała zostać zastąpiona nową wersją przez Sobór Watykański II, ale i tak jest najczęściej cytowanym papieżem w soborowych dokumentach i punktem odniesienia dla wielu współczesnych refleksji.

Tak samo jest z ostatnim dogmatem. Uznany za szczyt przedsoborowej mariologii, odczytywany jako akt wiary w osoby i wyjątkowy przywilej Maryi – wybranej na Matkę Boga, czego konsekwencją było uchronienie jej przed grzechem pierworodnym i zepsuciem świętego ciała po śmierci – dziś zyskuje nowe, bardziej uniwersalne znaczenie.

Współczesna mariologia interpretuje decyzję Piusa XII nie tylko w kluczu historycznym (stwierdzenie faktu Wniebowzięcia), ale też eklezjologicznym (Maryja jako przewodniczka Ludu Bożego), antropologicznym (ciało ludzkie jako dar Boży), feministycznym (uwielbienie kobiety nie tylko jako matki – *Cristo-fora*, niosącej Boga – ale też uczennicy, siostry i przyjaciółki). Pojawiają się również wyjaśnienia dogmatu oparte na psychologii (wraz z pierwotnej tęsknoty za matką w chwilach udręki i cierpienia, jakie przyniosła II wojna) czy naukach medycznych (odkryty przez genetyków chimeryzm płodowo-matczynny, czyli obecność komórek dziecka w układzie krążenia matki jako dowód, że ciało Maryi, zawierające →

→ komórki Jezusa, nie mogło ulec zniszczeniu).

A jak zakończyło się ziemskie życie ostatniego papieża przedsoborowych czasów?

Źle zdiagnozowana i nieumiejętnie leczona choroba, przejawiająca się uporczywą czkawką, która nie ustępowała miesiącami, uniemożliwiająca mówienie, spożywanie posiłków, spanie, zmieniając się w torsję – wyniszczyła fizycznie organizm. Ostatnie miesiące życia Pius XII spędził w Castel Gandolfo, kilka dni przed śmiercią zapadł w śpiączkę. Biskupi, którzy przyjeżdżali, by się z nim pożegnać, ocierali o ciało leżącego w agonii papieża różańce, nakładali na jego palce swoje pierścienie. Gdy już zmarł, 9 października 1958 r., i wszyscy rozbiegli się, by zgodnie z procedurami zabezpieczyć testament i pozostawione w apartamentach watykańskich dokumenty, dr Galeazzi-Lisi sfotografował leżące samotnie, w pustym pokoju ciało papieża, jeszcze w piżamie, i sprzedał zdjęcia prasie.

Na uroczystości żałobne Watykan zażądał od władz Rzymu karety zaprzężonej w białe konie, ale ostatecznie zgodzono się na samochód, nad którego dachem cztery putta rozpościerały jedwabny, biały baldachim ozdobiony tiarą. Towarzyszyła mu eskorta wojskowa, a od granic miasta do Watykanu także wielotysięczny kondukt utworzony z duchowieństwa, władz świeckich i wiernych.

Zgodnie z wcześniejszą decyzją samego papieża osobisty lekarz zabezpieczył zwłoki według autorskiej i nowatorskiej metody – obłożył je mieszanką ziół i owinał przeźroczystą folią. Otwarta trumna miała być wystawiona w bazylice przez dziewięć dni, ale ciało zaczęło się rozkładać już w pierwszej dobie. Szwajcarzy trzymający straż mdleli. Zwołano nową komisję lekarską, która zdecydowała o zdjęciu celofanu i zabezpieczeniu zwłok formaliną. Na twarz papieża nałożono woskową maskę. Po zakończeniu uroczystości doczesne szczątki Piusa XII złożono w podziemiach, nieopodal grobu św. Piotra. Doktor Galeazzi-Lisi został zwolniony z pracy przez Jana XXIII i skreślony z listy członków izby lekarskiej. © P EDWARD AUGUSTYN

Kopia bezpieczeństwa

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK, TEOLOG:

Kościół niechętnie ogłasza dogmaty. Ujęcie w słowa tego, co Bóg o sobie objawił, jest zawsze karkołomne. Przecież wierzę w Boga opisanego wyznaniem wiary, a nie w tekst wyznania.

MACIEJ MÜLLER: Jest Ksiądz dogmatykiem.

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK: Jestem.

Gdybym chciał Księdza obrazić, powiedziałbym, że jest Ksiądz dogmatyczny.

Dopiero gdyby pan sugerował, że jestem sztywny i nie potrafię czytać wydarzeń w ich kontekście, zacząłbym się obrażać.

W języku codziennym to mało szlachetny epitet.

Dogmat wyznacza nieprzekraczalną granicę, a współczesna kultura lubi granice przekraczać – chyba stąd się to bierze.

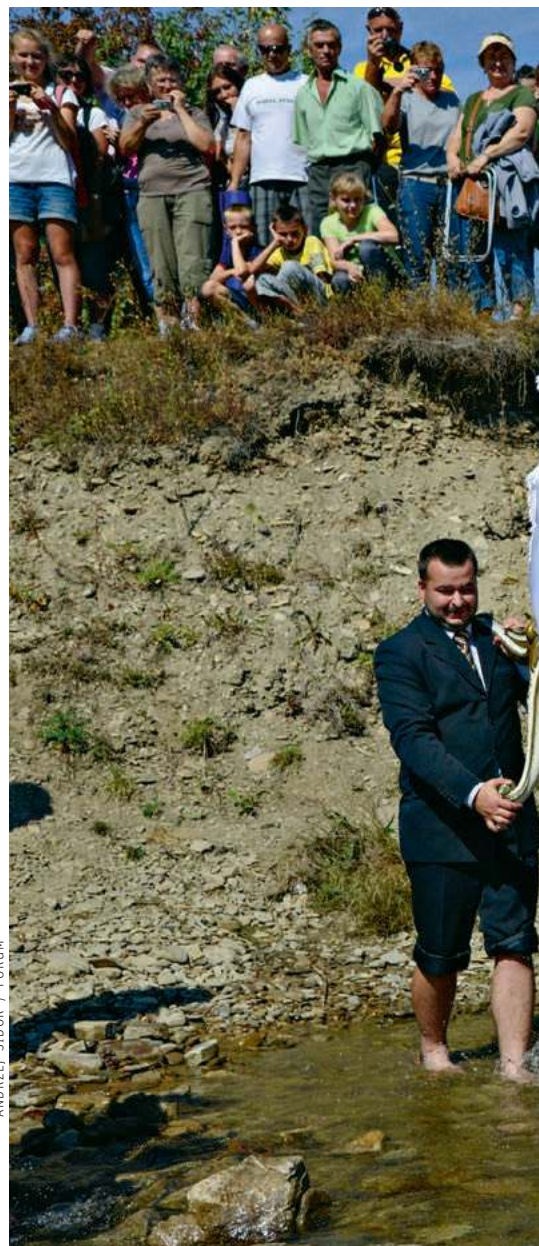
Było o Księdzu, teraz o mnie. Czy jeśli nie rozumiem dogmatu o transsubstancjacji, mogę przystępować do komunii?

No pewnie. Wiara orientuje się za pomocą dogmatów, ale nie sformułowania są istotą sprawy. Wystarczy na zasadzie zaufania Kościołowi wierzyć, że po spożyciu konsekrowanego chleba nastąpi zjednoczenie z Chrystusem. Nie musi pan wiedzieć, jak w technicznym języku teologicznym Kościół opisuje przemianę eucharystyczną. Dogmat jest bardziej potrzebny temu, kto w Kościele naucza – aby temu, który ufa, nie wskazać błędnej drogi.

A są warunki minimalne? Sam Ksiądz mawia, że gdyby z Polakami chwilę pogadać o Chrystusie, spora część okazałaby się monofizytami, wierzącymi, że Jezus był Bogiem chodzącym po ziemi.

Nieświadome wyobrażenie niezgodne z dogmatem nie jest herezją i nie stanowi

przeszkody dla zbawienia. Kłopoty zaczynają się na poziomie życia wspólnotowego, bo nieprecyzyjnie wyrażona wiara będzie niezdolna do weryfikacji praktyki życia kościelnego: chodzi o to, jak się będziemy modlić, postrzegać relacje między Bogiem a światem, rozumieć miejsce człowieka w świecie itd.



ANDRZEJ SIDOR / FORUM

*Wielki Odpust Wniebowzięcia NMP,
Kalwaria Pałacowska, sierpień 2013 r.*

Zalóżmy, że przekonuje mnie starożytna herezja Ariusza, według której Chrystus jest stworzeniem. Jestem jeszcze w Kościele?

Skoro Chrystus nie jest Bogiem, to pańskie życie nie zmierza do przebóstwienia, a Eucharystia nie jednoczy pana z Bogiem... Dogmat o dwóch naturach Chrystusa – boskiej i ludzkiej – chroni nas przed utratą właściwie całej soteriologii: czyli tego, co Kościół rozpoznał na temat zbawienia.

Natury Chrystusa są według dogmatu chalcedońskiego (451 r.) niezmiészane, nierozdzielne, nierozłączne... Trudna mowa. Na ile powinienem rozumieć ten dogmat?

Wystarczy wyznaczyć jednego Chrystusa w dwóch naturach jako prawdziwego Boga i prawdziwego człowieka. Dokładne

zrozumienie tego, co wyrazili Ojcowie soborowi, to sprawa drugorzędna. Oczywiście jeśli kogoś zalewa lawina pytań, to powinien szukać odpowiedzi, bo inaczej jego wiara może się załamać.

Jeśli relację człowieka z Bogiem porównać do ludzkiej, między małżonkami, to czym w małżeństwie byłyby dogmaty? Wiedzą o potrzebach żony, o tym, kim ona jest?

Dogmat to moment, w którym żona mówi: tak ma być i koniec. Dla męża kluczowe jest samo wypowiedzenie przez nią tej zasady – zrozumienie, dlaczego tak jest, może mieć charakter procesu. Prawdopodobnie im głębsze zaufanie w relacji, tym mniej to wyjaśnienie potrzebne... Gdyby żona stwierdziła np., że w uprawianiu seksu na coś się nie zgadza, mąż może dociekać, dlaczego,

a może uznać: OK, nie do końca rozumiem, ale ufam.

Czyli w podejściu do dogmatu potrzebna jest bezkrytyczność?

Tego nie powiedziałem. Sam mam tak, że jeśli w wierze nie rozumiem czegoś, co po ludzku jest do ogarnięcia, to nie mogę się normalnie modlić, a czasem nawet spać, dopóki tego nie pojmę – choćby w bardzo uproszczony sposób.

Ale przed chwilą Ksiądz powiedział, że dogmaty mamy przyjmować na wiarę.

To nie znaczy, że nie mamy dociekać ich treści. Niemniej w Kościele są ludzie, którym głębsze zrozumienie nie jest do niczego potrzebne. Można żyć na bardzo niskim poziomie świadomości dogmatycznej i zostać świętym. Są też tacy, którzy bez →



→ zrozumienia nie przeżyją. Żadna z tych dróg nie jest lepsza.

Dogmat wymaga wiary w jednym punkcie: że Kościół się nie pomylił, rozpoznając prawdę. Że np. Ojcowie z Chalcedonu, kiedy uchwalali dogmat o dwóch naturach, rozpoznali to, o co chodziło w objawieniu.

Trudno znaleźć listę dogmatów.

Bo czegoś takiego nie da się sporządzić. Jakie przyjąć kryteria liczenia? Weźmy wyznanie wiary: ile w nim jest dogmatów?

Chyba w każdej linijce po kilka...

No właśnie. Ich wyliczanie nie ma sensu. W starożytności nikt nie myślał w kategoriach biurokratycznego porządku, nieraz niełatwo rozstrzygnąć, co w danym tekście jest dogmatem, a co powiedziano przy okazji.

Na przykład?

Potocznie mówi się, że sobór efeski (431 r.) ogłosił dogmat o Bożym rodzicielstwie Maryi. Ale on nie ogłosił definicji, nie poдал wyznania wiary, tylko uznał za wyraz prawdziwej wiary listy pisane przez Cyryla Aleksandryjskiego do Nestoriusza. Nie uczynił z nich jednak tekstów dogmatycznych. Jak więc stwierdzić, co jest dogmatem? Trzeba zbadać, o co Ojcowie spierali się na soborze i co chcieli rozstrzygnąć. Tutaj chodziło głównie o kwestię: czy wolno używać wobec Maryi tytułu Bogurodzicy.

Inny przykład: sobór trydencki w XVI wieku zdogmatyzował liczbę sakramentów. Wiadomo, że Ojcom chodziło – wobec sporów z protestantami – o określenie, że jest ich nie mniej niż siedem. Ale w tekście czytamy: „nie mniej i nie więcej”. Badając przebieg sporów soborowych dochodzimy do wniosku, że dogmatem jest na pewno to pierwsze sformułowanie. Drugie pojawiło się na pewnym etapie redagowania dokumentu, nie było wprost przedmiotem ówczesnych sporów i dlatego prawdopodobnie należy je postrzegać jako wypowiedź niższej wagi.

Właściwie dopiero Ojcowie Soboru Watykańskiego I (1869–1870) posługują się na tyle precyzyjnymi kategoriami, że po samych sformułowaniach łatwo poznać, że np. nauczanie o nieomyślności papieża jest zdefiniowanym dogmatem, nauczanie o prymacie jurysdykcyjnym ma zaś niższą rangę.

Skoro nie istnieje zamknięty zbiór twierdzeń, które katolik powinien znać, to skąd ma wiedzieć, w co wierzyć?

To, że nie ma formalnego spisu, nie przeszkadza w tym, że biorąc dane twierdzenie możemy określić, z jaką dozą pewności Kościół je głosi. W podręcznikach neoscholastycznych wymieniano kolejne twierdzenia, przy każdym umieszczając kwalifikację teologiczną – czy chodzi o dogmat, czy o rangę *fidei proxima* – blisko dogmatu, ale bez wypowiedzi ostatecznej.

Co ma taką kategorię?

Zdaje się, że w zamyśle Jana Pawła II takim miało być „ostateczne rozstrzygnięcie” w sprawie tzw. kapłaństwa kobiet. W tej kategorii można też umieścić niektóre z rozstrzygnięć zawartych w konstytucjach dogmatycznych Soboru Watykańskiego II. Ojcowie, formułując np. nauczanie o jednym źródle objawienia (Piśmie i tradycji), nie chcieli ogłaszać dogmatu, ale wyrazić w sposób zobowiązujący wiarę Kościoła – wobec trwającego w tej kwestii sporu. Podobnie rzecz ma się z kolegialnością biskupów.

W Polsce można czasem odnieść wrażenie, że dogmatem jest post piątkowy.

Przez wieki Kościół gromadził wiele cennych przekonań i sposobów wyrazu wiary. Dzisiaj niekoniecznie te najcenniejsze leżą na wierzchu... Spieramy się często o rzeczy drugorzędne, a nie o rdzeń wiary. Można sobie np. przyjąć, że najważniejsze w liturgii jest zorientowanie kościoła, a w przyjmowaniu komunii postawa klęcząca. Dogmatyk jednak wzruszy ramionami i powie, że to wszystko nie ma znaczenia, bo nie wpływa na skutek sakramentu. Kłótnia bierze się stąd, że ktoś się przywiązuje do tezy płynącej z jego prywatnej wrażliwości i zaczyna ją głosić jako *quasi*-dogmat – wyklinając przy okazji myślących inaczej.

Dlaczego zarówno kwestia natury Chrystusa, jak i wniebowzięcia NMP mają rangę dogmatu? Ta druga sprawa jest chyba mniej istotna.

Jeśli jakaś prawda została ogłoszona dogmatem, nie oznacza to jeszcze, że jest kluczowa dla zbawienia. Dogmatyzacja mówi o stopniu pewności rozpoznania prawdziwości danego przekonania. Zwróćmy uwagę, że nie istnieje formalnie osobno

ogłoszony dogmat o faktycznym zmarłym Chrystusie, prawdzie dla naszej wiary centralnej. Ona nie wymaga ogłoszenia dogmatycznego. Bo po co?

Kościół w ogóle niechętnie ogłasza dogmaty. Gdyby nie intensywne zabiegi Konstantyna Wielkiego, nie doszłoby do ułożenia Credo nicejskiego (325 r.). Ujęcie w słowa tego, co Bóg o sobie objawił, jest zawsze karkołomne, bo zdani jesteśmy na nasz język i zdolności poznawcze. Tomasz z Akwinu powiedział, że akt wiary nie zatrzymuje się na tym, co jesteśmy w stanie wypowiedzieć, ale sięga do rzeczywistości ostatecznej. Wierzę w Boga opisanego wyznaniem wiary, a nie w tekst wyznania. Tomasz używa terminu *enuntiabile*: to, co jesteśmy w stanie powiedzieć. Cała dogmatyka to chodzenie wewnątrz *enuntiabile*. Bóg jest o krok dalej. Dogmat wskazuje drogę – nie jest punktem dojścia.

Jezus posługiwał się przypowieściami, nie precyzował prawd wiary.

A orzeczenia soborowe, sięgając po kategorie filozofii greckiej, precyzują i definiują. Dlaczego wtłoczyliśmy poezję w kanciastą prozę?

To naturalne, że wyrażamy prawdę objawioną, sięgając po język kultury, w której żyjemy. Stąd hellenistyczne tło pierwszych dogmatów. Ale w tym „wtłaczaniu” nie chodziło o zabawę pojęciową, tylko o rozstrzygnięcie tego, jak należy czytać ową poezję. A dokładniej jeszcze – kim jest jej autor. Wczesne dogmaty dotyczą właśnie tego. Jeśli przyjmujemy, że Chrystus nie jest Bogiem, będziemy zupełnie inaczej czytać cały Nowy Testament. Podobnie jeśli osłabimy realność Jego człowieczeństwa. Dogmatyzując, nie zastępujemy nauczania Chrystusa naszym, raczej chronimy się przed interpretacją Pisma niezgodną z wyjściowym doświadczeniem. Dogmat określa ramy interpretacyjne, ma hermeneutyczny charakter.

Cztery Ewangelie to cztery różne opowieści o Jezusie. Nie jest tak, że dogmat chce na siłę ujednolicić objawienie, które jest źródłowo pluralistyczne?

Przekaz objawienia na poziomie Ewangelii jest pluralistyczny, ale samo objawienie – nie. Pismo jest źródłem objawienia, ale samo nie jest objawieniem. Pozorne zunifikowanie przez dogmat jest potrzebne po to, żeby bezpiecznie czytać razem np. Ewangelie Jana i Marka. Bez dogmatu

o dwóch naturach Chrystusa możemy odnieść wrażenie, że opowiadają o zupełnie różnych Zbawicielach. Dzięki dogmatowi wiemy, w jakich granicach opowieści o Jezusie mogą się bezpiecznie różnić, i wiemy też, co je spaja. Nie cenzurujemy żadnego z tych tekstów, ale nadajemy im wspólny kanał interpretacyjny. Dogmat jest potrzebny, by bezpiecznie istniała różnorodność.

No dobrze, ale kiedy w dobrej wierze Ojcowie soborowi opisali Chrystusa słowem „współistotny” (*homoousios*), zaczęła się wielka awantura o to, że użyto wyrażenia filozoficznego, niebiblijnego.

Użyto go, bo posługiwał się nim Ariusz, według którego Jezus, jako pierwsze stworzenie, współistotny Ojcu nie był. Chrześcijaństwo przyjęło ogromne pokłady pozabiblijnej myśli greckiej, ale nie robiło tego ani szczególnie entuzjastycznie, ani – tym bardziej – bezkrytycznie. Wiele pojęć w tym procesie modyfikowano.

Czyli mieszkańców Afryki lub Azji Kościół ewangelizuje za pomocą dogmatów sformułowanych w kulturze greckiej?

Przekazanie wiary zdefiniowanej w kategoriach innej kultury to szalenie trudna rzecz. Trzeba szukać wewnątrz kultury docelowej takich kategorii, które będą w stanie wyrazić sens dogmatów.

W starożytności do Credo dopisywano kolejne elementy. Dlaczego dzisiaj nie wyznajemy co niedzielę wiary w nieomyślność papieża albo wniebowzięcie NMP?

Ponieważ sobór efeski (431 r.) zakazał modyfikowania Credo nicejskiego.

To dlaczego w średniowieczu dopisaliśmy do niego *filioque* (wyznanie, że Duch Święty pochodzi zarówno od Ojca, jak i Syna), wywołując wielką awanturę prowadzącą do schizmy wschodniej?

Bo autorzy dopisku chyba nie byli świadomi zakazu... Alkuin, który na dworze Karola Wielkiego prawdopodobnie rozpowszechniał tę zmodyfikowaną wersję Credo, nie znał pełnych tekstów starożytnych soborów. Z punktu widzenia kanonicznego popełnił błąd, ale w dobrej wierze.

Żyjąc na bardzo niskim poziomie świadomości dogmatycznej można zostać świętym. Są też tacy, którzy bez zrozumienia nie przeżyją.
Żadna z tych dróg nie jest lepsza.

Nie lepiej byłoby wykonać krok w tył?

Ta dyskusja już jest za nami. Jan Paweł II stwierdził, że Credo z Nicei jest wyznaniem Kościoła – i kiedy katolicy spotykają się z prawosławnymi, odmawiają je w tamtej formie. W Kościele zachodnim zachowujemy jednak wersję z *filioque*, bo ona ma ponad tysiącletnią tradycję. Kasowanie tego elementu byłoby czymś bezprecedensowym.

Czy żeby być ortodoksyjnym, trzeba przyjmować wszystkie dogmaty?

Na pewno nie można świadomie żadnemu zaprzeczać. Ale nie każdy musi być w centrum naszej duchowości. Np. dogmat o wniebowzięciu nie dotyczy istoty tego, co potrzebne do zbawienia.

To po co formułowano ten dogmat?

Bo papież miał nabożeństwo do Maryi?

Nie tylko papież – w doświadczeniu wiary Kościoła do przekonania dojrzało na tyle, by je zdefiniować, kładąc kres ewentualnym sporom i wątpliwościom. Trzeba też pamiętać, że pewne środowiska bardzo nalegały na zdefiniowanie innych jeszcze dogmatów – np. że Maryja jest wszechpośredniczką i współodkupicielką. W tym przypadku ważne jest też to, że czegoś nie ogłoszono...

Istnieje hierarchia dogmatów?

Tak, choć nie ma dokumentu, który by je porządkował. Kryterium jest to, jak dana prawda ma się do naszego zbawienia. Jeśli ktoś nie wie, że Chrystus jest Bogiem, to problem jest poważny. Jeżeli nie wie, że Maryja „po dopełnieniu życia ziemskiego z ciałem i duszą została wzięta do nieba” – niekoniecznie. Maryja jest jedną ze świętych, nie od niej zależy moje zbawienie. Można poprzez jej wstawiennictwo lub przykład trafić do Chrystusa, ale jeśli ży-

jemy inną pobożnością – nie szkodzimy swojemu zbawieniu.

Czy teologowie dalej zgłaszają postulaty dogmatów?

Tak – mój ulubiony zaproponował Heribert Mühlen odnośnie tożsamości Ducha Świętego. Dogmat trynitarny mówi, że w Bogu jest jedna natura i trzy osoby. Dogmat chrystologiczny – że w Chrystusie są dwie natury i jedna osoba. Można by więc sformułować pneumatologiczny – że Duch Święty to jedna osoba w wielu osobach. Mühlen wyłapuje fundamentalną sprawę, że Duch Święty się nie wciela, tylko „wosabia” – następuje specyficzny sposób połączenia między Nim a osobami, w których działa. Prywatnie jestem przekonany, że to dość trafne uchwycenie prawdy objawienia.

Ma to szanse przebicia?

Nie, bo dogmaty dotyczące rdzenia wiary Kościół formułuje tylko w sytuacji ostrego sporu. W przeciwnych wypadkach nie grzebiemy w tych kwestiach.

Dogmat to coś stwierdzonego raz na zawsze?

Ogłoszenie dogmatu to powiedzenie: tu jest granica rozumienia, tą drogą dalej iść nie można. Kiedy rozstrzygnięto w IV wieku kwestię boskości Chrystusa, zamknęło to część dyskusji, ale otworło kolejne pytania, dotyczące np. wewnętrznej „struktury” Zbawiciela. Po zdefiniowaniu tych kwestii wiemy więcej o objawieniu i zaczynamy widzieć w świetle tego inne prawdy wiary. I wykonujemy kolejny krok, i kolejny. Więc na zawsze, ale z otwarciem na nowe interpretacje.

Sięga się do starych dogmatów, żeby je ulepszyć?

W sensie wydobywania nowych aspektów albo wypowiedzenia ich na nowo w kategoriach językowych zrozumiałych dla współczesności – jak najbardziej. Na tym polega praca dogmatyka. Dogmatu Chalcedońskiego przytoczonego *in extenso* nikt nie zrozumie, bo nie żyjemy dziś w kulturze śródziemnomorskiej V w. Dogmaty czytane dzisiaj dosłownie prowadziłyby do herezji. Np. słowo „osoba” oznacza dzisiaj bardzo autonomiczną jednostkę. I kiedy powiemy, że Bóg jest w trzech osobach, stosując to znaczenie, popadamy w herezję tryteizmu, wiary w trzech autonomicznych wobec siebie Bogów.

→

→ Ale to nie wszystko. Dogmaty niosą długofalowe konsekwencje myślenia o całości wiary. Sobór chalcedoński stwierdził, że Chrystus jest współistotny Ojcu co do bóstwa, ale ludziom co do człowieczeństwa. Dzisiaj myślimy o człowieku w sposób bardzo zindywidualizowany. Tymczasem starożytny dogmat wymaga od nas korekty: przecież mamy dogmatycznie uchwaloną współistotność ludzi między sobą. Osoby boskie są współistotne i to jest fundament ich jedyności. To samo możemy powiedzieć o ludziach. W pewnym sensie człowiek jest jeden. To ma kluczowe znaczenie do zrozumienia tego, jak działa zbawienie. Jeden człowiek został nim dotknięty – i zostaliśmy zbawieni wszyscy. Ojcowie w IV wieku nie mogli wiedzieć, że ich sformułowania będą kiedyś ratowały chrześcijańską antropologię przed indywidualizmem. Na tym przykładzie widzimy, że dawne dogmaty mówią nam dziś rzeczy bardzo świeże.

Rahner pisał, że „myślenie wcześniejszych pokoleń nigdy nie jest miejscem odpoczynku dla myślenia późniejszych pokoleń”, i że „to, co jest tylko nagromadzone, tylko przekazane bez nowego, własnego wysiłku, psuje się jak manna”.

Podpisuję się pod tym obiema rękami. Dzięki dogmatom rozpoznajemy coś z objawienia i są to najważniejsze rzeczy, które możemy powiedzieć o rzeczywistości. Ale nie mamy tu do czynienia z zażytkami, czyli godnymi czci formułami, które wystarczy powtarzać. Nie, właśnie ze względu na szacowność tych formuł musimy w każdym pokoleniu starać się zrozumieć je na nowo.

A czy dogmatom nie zagraża rozwój nauki? Czy neurobiologia nie rozszadzi np. chrześcijańskiego myślenia o duszy?

Nie. Owszem, każe nam zreinterpretować pewne wyobrażenia antropologiczne o współistnieniu duszy i ciała – ale one nie są zdogmatyzowane. Żaden dogmat nie opisuje tego, w jaki sposób w człowieku współistnieją rzeczywistości duchowa i materialna w odniesieniu do biologii.

Ale jeśli świadomość byłaby jedynie funkcją materii, to kiedy umrę, nie będzie mnie.

I dlatego potrzebujemy wiary w duszę, czyli w to, że mimo iż ciało umiera, to po-

Maryja jest jedną ze świętych, nie od niej zależy moje zbawienie. Można poprzez jej przykład trafić do Chrystusa, ale jeśli żyjemy inną pobożnością – **nie szkodzimy swojemu zbawieniu.**

zostaje jakiś wymiar człowieka, który trwa w Bogu. Przez wieki sądzono potocznie, że dusza jest przestrzenią przetwarzania danych. Dziś wiemy, że dane są przetwarzane w mózgu. Więc może dusza jest... kopią bezpieczeństwa?

Umieszczaną w chmurze?

W tej metaforze chmurą jest Bóg. Jesteśmy w Niego wpięci cały czas. Dusza zaś jest tym, co owo wpięcie umożliwia – także wtedy, kiedy tracimy ciało. Tylko w chmurze dane są przejściowo. Dlatego po śmierci człowiek jest bezradny, nie może nic już zrobić dla swojego zbawienia.

Wierzę, że Kościół przy ustalaniu dogmatów rozpoznaje dzięki Duchowi Świętemu to, co jesteśmy w stanie z prawdy Bożej ująć ludzkim umysłem. Jestem więc spokojny co do przyszłych odkryć naukowych. Nie grozi im kolizja z wiarą, bo nie ma dwóch światów i dwóch odrębnych porządków poznania.

Nie zdarzyło się nigdy, żeby odkrycie naukowe zmusiło Kościół do weryfikacji któregoś z dogmatów?

Potoczne rozumienie dogmatu – jak najbardziej. Dogmat głosi, że Bóg stworzył świat, a potoczny sposób jego rozumienia może skutkować przekonaniem, że uczynił to sześć tysięcy lat temu w ciągu niecałego tygodnia. Trzeba było to myślenie przewartościować – ale czy to narusza dogmat?

My już wiemy, że nie, ale paru ludzi po drodze zginęło z tego powodu.

Tak... To skutek głupoty niektórych ludzi Kościoła. Dlatego tak ważne jest odróżnianie tego, co jest w dogmacie esencjonalne, a co jest np. przyzwycajeniem interpretacyjnym.

S. Małgorzata Borkowska krytykuje w swoich ostatnich książkach księży, którzy uważają dogmatykę za teorię, odległą od „realnego” przeżywania wiary.

Zasadniczy problem to moim zdaniem sposób nauczania teologii. Metoda neoscholastyczna nakazywała wykuwanie na pamięć twierdzeń, nie trzeba było rozumieć, skąd się wzięły, ani odnosić ich do codziennego doświadczenia wiary. Przez całe pokolenia krwiobieg dogmatyczny nie miał wielkich szans przekładać się na rzeczywiste głoszenie słowa Bożego. Kiedyś prowadziłem rekolekcje dla grupy niemłodych już księży i dałem im do przeczytania tekst z Chalcedonu. Nikt z nich nie widział go wcześniej na oczy, nie mówiąc już o wykorzystywaniu np. w osobistej modlitwie. A to drugi co do ważności po Credo nicejskim tekst dogmatyczny.

Czy rozstrzygnięcia moralne się dogmatyzuje?

Neomylne nauczanie w Kościele dotyczyć może wiary i moralności, ale określenie „dogmat” tradycyjnie rezerwuje się dla orzeczeń dotyczących treści wiary. Moralność jest w pewnym sensie pochodną dogmatu, konsekwencją naszego rozumienia Boga, stworzenia i siebie samych. Jeżeli mam rozpoznać, co jest grzechem, najpierw muszę wiedzieć, jaki jest Bóg. Jeżeli Bóg jest Trójcą, to grzechem będzie uciekanie od wspólnoty z bliźnimi. Jeżeli Bóg miłuje grzeszników i odrzuconych, grzechem będzie ich niemilowanie.

©© Rozmawiał MACIEJ MÜLLER



GRAŻYNA MAKARA

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK jest teologiem specjalizującym się w chrystologii, adiunktem w Katedrze Teologii Dogmatycznej i Duchowości Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Obecnie także dyrektor Ośrodka Formacji Diakonów Stałych Archidiecezji Katowickiej.



WALDEK SOSNOWSKI / FORUM

Ubieranie figury Matki Bożej Wniebowziętej, Kalwaria Pałacowska, sierpień 2011 r.

Wniebowzięta i wniebowzięci

S. BARBARA CHYROWICZ

Czy wśród spraw, które nas absorbują, jest także niebo?

WNIEBOWZIĘTYCH NA ZIEMI BEZ liku! Zachwyconych, oczarowanych, zauroczonych, rozanielonych, bynajmniej nie świętych. To nie myśl o niebie ich „wzięła”, zauroczyły ich ziemskie doznania. Ich niezwykłość, nieziemskość, wyjątkowość, a czasem nieodparte poczucie mocy; uwiodły ich szczęśliwe chwile, których powab niekoniecznie wynikał z Bożej inspiracji. Wkracza niebiański język w ziemską rzeczywistość, jakby brak było słów z trzech wymiarów na wyrażenie wzniosłych przeżyć, naznacza sferę *sacrum* i przenika *profanum*, za nic mając sobie przyjazny rozdział Kościoła od państwa.

Ziemskie wniebowzięcia są wielkie i całkiem małe, przyziemne i wzniosłe, czasem na poły niebiańskie, a czasem drańskie aż do bólu. Są w tych wniebowzięciach zachwyty, spełnione nadzieje, nieoczekiwana radość, przewyciężona słabość; są w nich

też nagle zaspokojone żądze, wybujałe ambicje i długo skrywana chęć zemsty. Jakie pragnienia, takie wniebowzięcia. Nie biorą się znikąd. Ziemskie wniebowzięcia eksplodują czasem nagłym ziszczeniem się długo żywionych pragnień, a kiedy indziej cicho wieńczą zwycięstwo nad trudem, który chciałoby się nazwać nadludzkim.

Ci, co mówią, że są wniebowzięci, nie unoszą się nad ziemią – unoszą się nad codziennością, przechodzą samych siebie, czasem wynoszą się dumnie nad drugich, a bywa też i tak, że zauroczeni chwilą zapominają o bożym świecie. W niebo wzięci są jedynie na chwilę, dłuższą bądź krótszą, szczęśliwą chwilę, którą chcieliby za wszelką cenę przedłużyć, ale czas zatrzymuje się tylko w kadrze. Boleśnie ściągnięty na ziemię zdarza się głośno narzekać na zdradliwy los, bo czują się zdegradowani i ograbieni.

Trudno zaakceptować codzienność po przeżyciu chwil, które dodawały skrzydeł, doświadczenie tego, jak mogłoby być, sprawia, że to, co dostępne na co dzień, zaczyna już nie wystarczać. Chodzi tak wniebowzięty z głową w chmurach, bo wciąż mu się wydaje, że jest tam, gdzie już go nie ma. Inna rzecz, że wniebowzięcie jednych boleśnie uzemia czasem drugich. A ci drudzy – jeśli tylko nie traktują nieba jak retorycznej figury – błagają usilnie Stwórcę, by łaskawie ściągnął nieszczęsnych fascynatów na ziemię.

Oblicza radości

Ziemscy wniebowzięci dają się ponieść szczęśliwej chwili, nie myśląc o tym, że nieuchronnie mija. Zauroczenia się nie planuje, chociaż nie pojawiłoby się, gdyby nie uprzednie upodobanie; pojawia się, trwa, znika... Każdy ma swoje wniebowzięcia. I swoje zejścia na ziemię.

Wniebowzięci finansową koniunkturą nie martwią się o jutro, płacą platynowymi kartami VIP i nie interesują się promocjami. Wszystko, czego mogliby zapragnąć, leży w zasięgu ich kont i portfeli. Patrzą z wyższością na byłalców dyskontów i secondhandów, mieszkańców ciasnych osiedli i pasażerów klasy ekonomicznej. Dopóki nie przekonają się, że nie wszystko można kupić, w zachwycie składając hołd fortunie.

Wniebowzięci osiągniętymi sukcesami sami sobie gotowi są klaskać. Kolekcjonują nagrody i z upodobaniem opowiadają o własnym geniuszu. Nie znajdują wokół siebie równorzędnych partnerów do dyskusji. Łaskawie odpowiadają na pytania i słuchają z pobłażaniem nieskładnie dobierających słowa. Rozpiera ich duma. Nadęci przekonaniem o własnej wyższości traktują protekcjonalnie mniej utytułowanych. A kiedy z czasem pojawiają się lepsi od nich, powietrze schodzi z nich z bolesnym jękiem. Nagle czują się nic niewarci.

Wniebowzięci uzyskaną władzą nie liczą się z opiniami podwładnych. Narzucają im własny punkt widzenia i odpowiadają irytacją na najmniejszy sprzeciw. Czują się niezagrożeni, bezkarni i wszechwładni. Znajdują dziwne upodobanie w upokarzaniu tych, którzy są od nich zależni. Dążą uparcie do pełnej kontroli nad ich życiem. Nie wystarcza im, że się zewnętrznie podporządkowali, pragną mieć rząd dusz, nie kryją słów oburzenia, ➔

→ gdy gnębieni odpowiadają na ucisk buntem. A kiedy władzę tracą, szukają kryjówek w gąszczu niepamięci.

Wniebowzięci doznany dobrem nie znajdują słów podzięk. Patrzą ufnie w przyszłość, pozbywają się lęków, podejmują nowe wyzwania i potrafią wznieść się nad własne słabości. Dostrzegają światło w mroku, mówią, że to piękny świat. Rosną. Niegdyś przygarbieni, stają się jakby wyżsi, piękniejsi i mocniejsi. Wierzą, że nie są sami, i szukają sposobności, by doznane dobro przekazać dalej. To płodne wniebowzięcie. A kiedy wcześniej lub później podcina im skrzydła ludzka złość, czerpią siłę ze wspomnień o zaznanym szczęściu.

Wniebowzięci z miłości zapominają, gdzie są. Tracą poczucie czasu, mają tę chwilę tylko, która otwiera się przed nimi wiecznością. Wpatrzeni w umiłowanych, zapominają o sobie, tracą ciężar wszelkich trosk, stają się lżejsi. Powtarzają, że czują się jak w niebie, chociaż nigdy tam nie byli. Nie pragną niczego więcej, jak być razem z tymi, których kochają. Zdecydowanie trudno ściągnąć ich na ziemię, bo zachowują się trochę jak pijani. Są nadto zupełnie niepraktyczni, jakby można było żyć powietrzem. I choć chodzenie po ziemi z głową w chmurach to nie najlepszy pomysł, to im więcej w nich miłości, tym więcej wieczności, bo Bóg jest miłością (1 J 4, 8).

Wniebowzięci osiągniętym zwycięstwem, zauroczeni pięknem, oczarowani muzyką, zachwyceni słowem, uniesieni ideą, wszyscy ziemscy wniebowzięci...

Niebo

Czy pragną nieba ziemscy wniebowzięci? Czy potrafią się wznieść ponad to, co znają? Czy sięgną po to, co przekracza chwilę? Czy potrafią się uwolnić od lęku przed utratą szczęśliwej chwili,

Ziemskie wniebowzięcia są
wielkie i małe,
przyziemne i wzniosłe,
czasem na poły niebiańskie,
a czasem drańskie aż do bólu.

który budzi demony zazdrości? Czy mogą być ziemscy wniebowzięci na wieczność w niebo wzięci?

Jedna jest tylko Wniebowzięta już na zawsze. Znajoma o ludzkiej twarzy. Zna drogę do nieba, której nikt z nas nie przeszedł. Przeżywała chwile uniesień i zgrozy. Urodziła Dziecko, patrzyła, jak dorasta, jak darzą go uznaniem. Widziała dążące za nim tłumy, w skwarze, na zakurzonych drogach, całkiem jak na pielgrzymim szlaku. A potem ci sami, którzy byli tak wniebowzięci tym, co słyszeli i widzieli, zabili jej Dziecko. Odeszli prawie wszyscy wcześniej zachwyceni. Dramat miał niewiele świadków. W najbardziej dramatycznym momencie jej życia dostała nas, wyrodne dzieci. Pokochała tchórzy i dezerterów, niezdecydowanych, wątpących, lawirujących między świeczką a ogarkiem, krzywoprzysięzców, zdrajców, hipokrytów szukających u niej wsparcia, kiedy grunt zaczyna im się palić pod nogami, figurantów, którzy wybudowali jej wspinałkę świątynie, ale szargają tym, co najbardziej ukochała. Trudno się nami zauroczyć, niewiele jest w nas do kochania...

Potrąfimy się zachwycić byle czym, damy się omamić złudnym ideom, stawiamy się na piedestałach, wynosimy pod niebiosa własne zasługi, bywamy zauroczeni samymi sobą. Nie potrzebują nieba

ci, którzy są bez reszty w ziemię wzięci. I nie potrzebują Wniebowziętej Matki...

Zakochanie

Dał nam Bóg Matkę, ale wziął ją do siebie. Nic jej tutaj już nie trzymało, Ten, którego najbardziej kochała, już tam był. Miłość przyciąga silniej niż grawitacja; nie bezwiednie, przyciąga tylko tych, co się miłują.

Niebo jest dla zakochanych, zakochanych w Bogu, który jest Miłością. Nasze serce tam będzie, gdzie nasz skarb (Mt 6, 21).

Wniebowzięta Matka czeka na dzieci. Czeką na dzieci tam, gdzie jest. Fraza jak z pątniczej pieśni, ale kryje się w niej cała prawda o darze, jakim jest dla nas Matka. Nie czeka na nas mariologiczny traktat, czeka Matka. Żeby to zrozumieć, musimy poczuć się trochę jak dzieci. Porzucić czasem noc Nikodemową dla Betlejemskiej, nie trzymać się kurczowo własnej powagi i prosić Boga, by powtórzył w nas cud tej ostatniej. Żebyśmy się narodzili jako dzieci, żebyśmy zapragnęli obecności Matki. Matka przygarnia. Trzeba poczuć się małym, żeby skryć się w ramionach Matki, żeby poczuć się w Jej bliskości wniebowziętym.

Wniebowzięta Matka już jest tam, gdzie mamy nadzieję się znaleźć. Niewiele o tym miejscu wiemy... Wiemy, że nie jesteśmy go sobie w stanie wyobrazić. Ale jest jeden konkret, który potrafimy przy pomocy dostępnego nam doświadczenia jakoś ogarnąć – tam jest już Matka. Rozanieleni, trochę przygarbieni, brodzimy w sierpniowej łące z bukietem nieziemskich pragnień. Błagamy Matkę o wstawiennictwo, a Ona błaga nas o to, by cierpienie, które przyniosło Ją do ziemi, nie okazało się dla nas daremne.

© S. BARBARA CHYROWICZ

Autorka jest etykiem, kieruje Katedrą Etyki Szczegółowej KUL, stale współpracuje z „TP”.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 372/17 postępowanie z wniosku Asekuracja sp. z o.o. o stwierdzenie nabycia spadku po Małgorzacie Gęstej, zm. 14 listopada 2014 r., ostatnio zamieszkałej w Jarocinie. Skład spadku po zmarłej jest nieznan.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 98/18 postępowanie z wniosku Gabrieli Niedzieli o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Niedzieli, zm. 11 stycznia 2018 r., ostatnio zamieszkałym w Jarocinie. W skład spadku po zmarłym wchodzi udział w prawie własności zabudowanej nieruchomości położonej w Jarocinie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

SZYMON

Hołownia: Gen wolności



POGRZEBÓW KAŻDY Z NAS MA JUŻ ZA SOBĄ kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt. Najbliższych, „znajomych”, ludzi, którym coś zawdzięczamy. Bywa, że idziemy na pogrzeb, nawet gdy osobiście nie znaliśmy zmarłego – coś podpowiada, że po prostu trzeba iść.

Przytrafiło mi się to dwa lata temu, gdy podczas wakacyjnego wyjazdu zginął od uderzenia pioruna dominikański student (a w cywilu – znakomity ornitolog i przyrodnik) Antek Marczewski. Może gdzieś się spotkaliśmy podczas moich „branzowych” bywań, może nie, był raczej znajomym znajomych. Jak się później okazało – wołał mnie chyba po to, żebym usłyszał jego pierwszą i ostatnią homilię, którą była właśnie żegnająca go msza. Cały wielki kościół dominikanów na warszawskim Służewie nabitą ludźmi, sporo ubranych na białą. W słowie, w pieśniach – klimaty paschalne, radość ze zmartwychwstania. Celebrowanie nadziei, która przecież jeszcze się nie wypełniła, ale na czymże innym polega chrześcijaństwo, jeśli nie na przyjmowaniu tego, co będzie, jak tego, co już jest? Co nas ma różnić od świata zagłębionego w księgowaniu doczesnego zła, jeśli nie przekonanie, że eschatologiczna kropka to w istocie przecinek – a to przecież zupełnie zmienia wydźwięk nie tylko tego, co nastąpi po nim, ale i tego, czego doświadczamy dziś.

Bardzo chciałem pójść na pogrzeb Kory. Nie znaliśmy się osobiście, nie wiem, czy gdybyśmy się kiedyś spotkali, rozmowa w ogóle wyszłaby poza obowiązkowe, chłodnawe dusery, czy zaraz nie zostałbym sklasyfikowany jako gość, z którym – ze względu na jego religijne afiliacje – nie ma o czym gadać. A jednak dla tysięcy tych, którzy – jak ja – znali ją, mimo że ona nie znała ich – była jak portret, który zawsze był gdzieś w tle, na ścianie, a to, jak bardzo tam był, dostrzegamy, gdy z tej ściany zniknie.

Wszystkim, których znam, kojarzyła się w pierwszym odruchu z jednym słowem: „wolność”. Ona była znaną krakowską piosenkarką, moja mama – nieznana białostocką inżynier budownictwa lądowego, a jednak u mnie w domu, zwłaszcza w latach, gdy w prywatnym życiu szukało się azylu przed wypełniającym wspólnotowość prząsnym komunizmem, mówiło się o niej dużo (pamiętam, że mama często ze swego rodzaju dumą zwracała uwagę na to, że ja i mój brat nosimy imiona takie, jak synowie Kory). Dla wielu była figurą, symbolem ich własnego, niedającego się zrealizować buntu. Dla niektórych, gdy już w latach 90. czy – zwłaszcza – ostatnio zaczęła krytykować ich bo-

ków czy pseudoświatości, była wrogą buntowniczką, dowodnym przykładem na coś, co w zaangażowanej w tropienie światopoglądowych spisków homiletyce i publicystyce określa się jako utożsamianie wolności z samowolą.

Cóż, chrześcijan od dwóch tysięcy lat oskarża się dokładnie o to samo (i często robią to ich współbracia). A chrześcijanin niemający w sobie buntownika to batalionowa oferta, nie chrześcijanin. Nie znam drugiego systemu tak zachęcającego człowieka, by dosłownie codziennie buntować się przeciwko swojemu pragnieniu komfortu, pokusie świętego spokoju, własnym wyobrażeniom, oporom wobec innych ludzi, miriadom osobistych słabości. Choć – ujmijmy rzecz eufemistycznie – Kora zdawała się nie być entuzjastką instytucji Kościoła (nie jest to rzecz dziwna po tym, co podobno przeszła w dzieciństwie, w domu dziecka prowadzonym przez zakonnicę), to jest ten wspólny gen, który nosimy, nosiliśmy: tęsknota za wolnością. O której jej – jak to ujął jej mąż – mówiły wiatr, kwiaty i słońce, dla mnie z kolei będące posłańcami, aniołami Osoby, która jest samą wolnością.

Dla tych z nas, którzy gdzieś w okolicach wchodzenia w dorosłość żegnają się z nieograniczonymi przestrzeniami dziecięcych światów, gdzie może się wszystko, i którzy powoli zaczynają tkąć swoje życie z (czasem motywowanych nadzieją, czasem tylko lękiem) kompromisów, była kolejnym przypomnieniem, że owej wolności samostanowienia nie mogą człowiekowi zabrać nawet najbardziej brutalne okoliczności: nie tylko polityczne reżimy, ale i cierpienie, ból, rak. W chorych głowach niektórych internetowych moralistów zrzedzających nawet nad tą urną nie mieści się, iż nie trzeba naśladować wszystkich wyborów Kory, by być jej wdzięcznym za przypomnienie, że każdy z nas naprawdę ma do podjęcia swoje własne. A z prądem płyną tylko wiadomo jakiej proveniencji substancje.

Cieszę się, że na tej świeckiej ceremonii był przynajmniej jeden ksiądz (ja wiem o jednym), mój znajomy franciszkanin. Nie po to, by ją prowadzić, ale by w niej – wraz z wszystkimi na takich samych prawach – uczestniczyć. By tym, którzy są czasem przekonani, że my, katolicy, uważamy się za właścicieli świata (i ludzi), pokazać raz jeszcze, iż jesteśmy braćmi. By pożegnać kogoś, kto znalazł się w rękach Tego, kto na bank każe nam kiedyś zdać sprawę, jak zarządzaliśmy Jego Kościołem, skoro są na tym świecie dobrzy ludzie, dla których bywa on symbolem nie nadziei, lecz opresji.

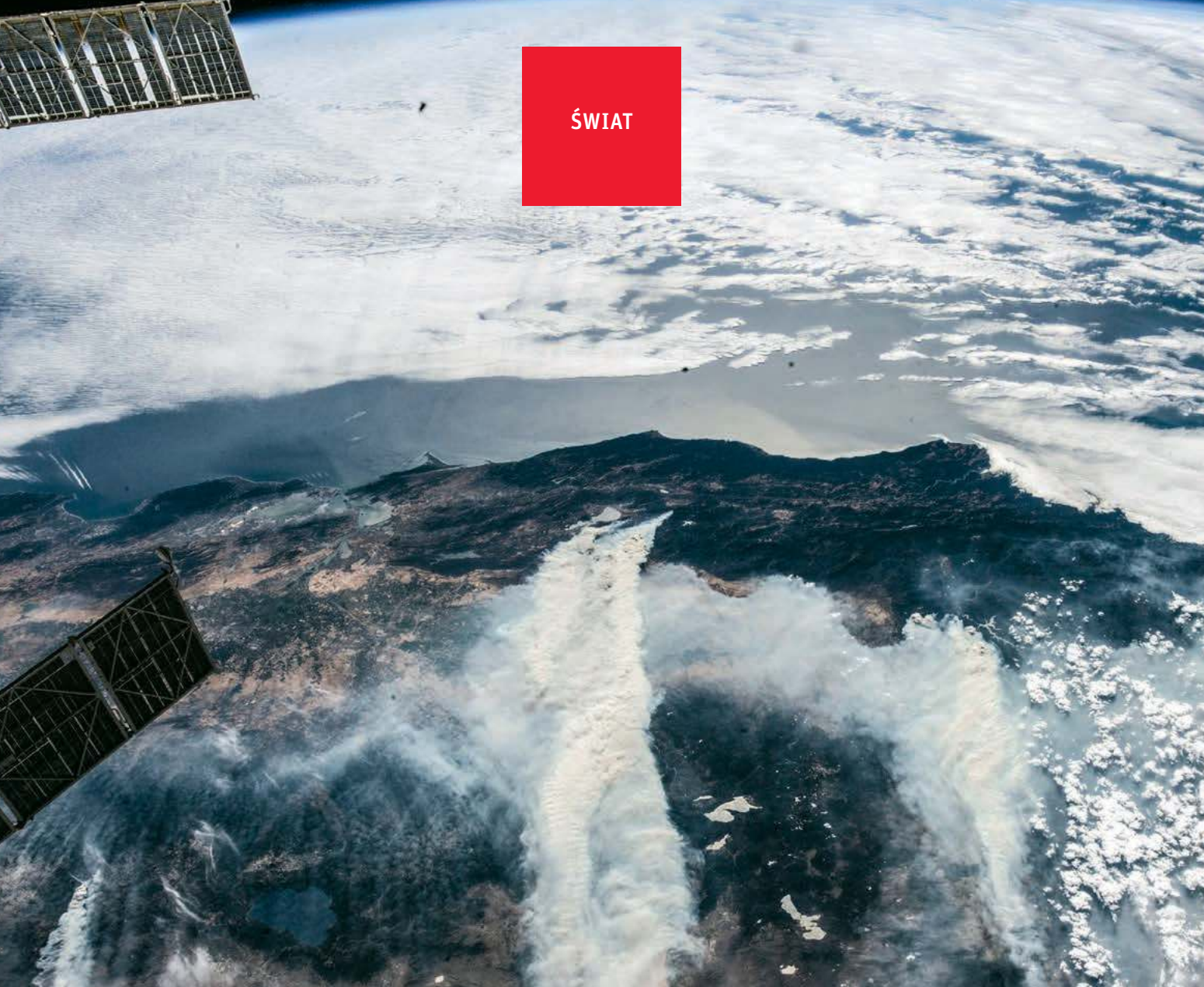
Kamil Sipowicz, mąż Kory, na jej pogrzebie powiedział tylko parę słów. Wszystko, co trzeba, powiedział jednak przecież wcześniej, przez cztery dekady tworząc z drugim człowiekiem związek kompletny (choć, jak sam na przykładach pokazywał, zdecydowanie nie landrynkowo idealny), rozpięty – jak każdy dobry związek – między klamrami fascynacji i troski. Tych dwoje ludzi, z których jedno odwiedzę kiedyś na Powązkach, a drugiemu mam nadzieję uściśnąć kiedyś dłoń, na tej świeckiej ceromonii dało mi porządną katechezę. Przeżyliście, drodzy Państwo, wasze życie tak, że może zmieni to jakoś i moje. Dziękuję. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



ŚWIAT

NAJPIERW UMRAĄ BAOBABY

Wysokie temperatury sieją spustoszenie od Grecji po Skandynawię, wznecają pożary w Kalifornii, biją rekordy w Japonii.

To kaprys pogody czy skutek zmian klimatu?

AGATA KASPROLEWICZ

ZACZĘŁO SIĘ POD KONIEC CZERWCA. Wyjątkowo upalne lato, zalało falą ciepła północną półkulę – od Wielkiej Brytanii przez północ Europy aż po Japonię. Zar stał się morderczy, i to dosłownie. W Japonii wskutek wysokich temperatur zmarło kilkadziesiąt osób, tysiące trafi-

ły do szpitali z udarem. W Grecji pożary przeszły przez Attykę i pochłonęły wypoczynkowe miasteczko Mati; zginęło ponad 80 osób. W północnej Anglii zapaliły się wrzosowiska Saddleworth Moor, zmuszając setki ludzi do opuszczenia domów. W Szwecji pożary lasów sięgnęły samej

północy kraju, podchodząc pod koło biegunowe. Zbierając śmiertelne żniwa, płonie Kalifornia – na skutek największych pożarów w historii tego stanu do tej pory spłonął obszar wielkości Los Angeles, a prognozy przewidują, że ma się palić aż do września.



Pióropusze dymu z pożarów w Kalifornii widoczne z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej, 3 sierpnia 2018 r.

nogi w fontannie na Trafalgar Square albo przepelnione plaże Brighton. Okładka bulwarówki „The Sun” głosiła wówczas radośnie, że tym razem Brytyjczycy są w lepszej sytuacji od mieszkańców Honolulu, bo mają cieplej – jakby upalne lato było powodem do szczęścia. Nikt nie bił na alarm.

Opis dzisiejszych upałów diametralnie różni się od beztroskiej narracji sprzed 40 lat. Bo inny jest zasięg fali gorąca, większa skala spustoszenia, wyższe będą też koszty wysokich temperatur.

Od połowy czerwca w Europie wybuchło już ponad 140 dużych pożarów – o 40 proc. więcej niż w poprzednich latach. Tylko w Szwecji płonące lasy oznaczają straty w wysokości ok. 100 mln dolarów. Niemieccy rolnicy z powodu suszy proszą rząd o miliard euro pomocy. W ciągu ostatnich trzech tygodni ceny pszenicy w Europie i USA wzrosły o 20 proc. W Australii susza opanowała najstarszy i najludniejszy stan, odpowiedzialny za jedną czwartą produkcji rolnej: Nową Południową Walię, ze stolicą w Sydney. Zbiorniki z wodą niemal całkowicie tam wyschły. Owszem, Australia pamięta gorsze czasy: w latach 1997–2005 susza spustoszyła 50 proc. ziemi rolnej w kraju i Australijczycy nazwali te lata „suszą tysiąclecia”. Problem w tym, że od jej zakończenia minęło zaledwie 13 lat.

Zmienność i zmiana

Susze, upały i inne ekstremalne zjawiska są wpisane w naturę pogody. Ale nietypowym zjawiskiem jest ich intensywność i częstotliwość.

Zdaniem prof. Sama Fankhausera, dyrektora Instytutu Badań nad Zmianami Klimatu i Środowiskiem na London School of Economics, wynika to ze wzrostu temperatury Ziemi o jeden stopień. W rozmowie z „Tygodnikiem” Fankhauser tłumaczy, że to połączenie dwóch czynników – zmienności pogody i zmian klimatu – sprawia, że pogodowe skrajności zdarzają się częściej. Wysokie temperatury, których dziś doświadczamy, jeszcze w latach 50. XX w. postrzegano jako zjawisko, którego prawdopodobieństwo wynosi 1 do 1000. Dziś możliwość ich wystąpienia ocenia się na 1 do 10.

Klimatolodzy z Uniwersytetu w Oksfordzie ustalili, że ryzyko destrukcyjnych upałów jest dwukrotnie wyższe z powodu zmian klimatu. Prof. Michael Moore z Penn State University – jeden z najbardziej cenionych klimatologów na świecie – mówił w dzienniku „The Guardian”, że związek między pogodowymi ekstremami, których właśnie doświadczamy, a zmianami klimatu można porównać do związku tytoniu z chorobami nowotworowymi. Choć nie każdy pacjent z rakiem płuc musi być palaczem, to palenie znacznie podnosi ryzyko zachorowania.

Sprawdzają się przepowiednie naukowców ostrzegających przed zgubnymi skutkami zmian klimatu, za które odpowiada człowiek. – Wzrost temperatury, który obserwujemy na przestrzeni ostatnich stu lat, ma bezpośredni związek z działalnością człowieka, czyli emisją gazów cieplarnianych do atmosfery, głównie dwutlenku węgla, a także metanu i ozonu – mówi „Tygodnikowi” prof. Geert Jan van Oldenborgh z Królewskiego Instytutu Meteorologicznego w Holandii, członek klimatycznego konsorcjum badawczego World Weather Attribution.

Kto i jak ucierpi

Gdy jest gorąco, cierpi nie tylko gospodarka, lecz także człowiek jako element tejże gospodarki – spadają jego wytrzymałość i zdolności poznawcze. Prof. Fankhauser powołuje się na badania, z których wynika, że przy temperaturze przekraczającej 30 stopni produktywność człowieka zaczyna spadać w szybkim tempie, o 10-20 proc., a nawet 30 proc. Fankhauser przytacza amerykańskie badania dowodzące, że przy temperaturze przekraczającej 32 stopnie produkcja samochodów zmniejsza się o 8 proc. Prestiżowy magazyn „Nature” prognozuje, że w 2100 r. z powodu zmian klimatu ludzie będą zarabiać średnio o jedną piątą mniej.

Najbardziej ucierpią biedni. Prof. Fankhauser: – Ekonomiczna struktura biedniejszych krajów jest bardziej narażona na ekstrema pogodowe, bo w większym stopniu opiera się na rolnictwie, pracy wykonywanej na zewnątrz. Bogatsza część świata opiera swoją gospodarkę na sektorach niezależnych od pogody, ponadto ma mechanizmy obronne. Żar za oknem nie osłabia wydajności finansistów w klimatyzowanych biurach londyńskiego City.



Czym jest widok płonących lasów za kołem podbiegunowym, jeśli nie dowodem na to, że w przyrodzie dzieje się źle? A może upały, których doświadczają mieszkańcy północnej półkuli, to zwykły kaprys pogody? Od czasu do czasu przecież w naturze tak bywa. W 1976 r. Wielka Brytania doświadczyła najgorętszego lata w swej historii (to znaczy od chwili, gdy w XIX w. zaczęto stałe pomiary). Żar lał się wtedy z nieba na Wyspy od połowy czerwca do końca sierpnia, przez 15 dni z rzędu temperatura nie schodziła poniżej 32 stopni Celsjusza.

Świat pustoszony

A jednak tamte upalne dni różniły się od dzisiejszych. Czarno-białe fotografie z tamtego pamiętnego roku przedstawiają rozbawionych londyńczyków moczących

→ Naukowcy z Climate Impact Lab – konsorcjum ekonomistów i klimatologów pod auspicjami kalifornijskiego uniwersytetu Berkeley – uważają, że zmiany klimatu pogłębią gospodarczą przepaść między dostatnimi regionami północno-wschodniej części USA oraz wybrzeżem kraju a stanami leżącymi na południowym wschodzie i środkowym zachodzie. Najbardziej ucierpią Teksas, Floryda i tzw. Głębokie Południe. W południowym Teksasie zyski z rolnictwa mają spaść o 50 proc. W zachodnim Teksasie i Arizonie koszt energii ma pójść w górę o 20 proc. Naukowcy szacują też, że wzrost temperatury Ziemi o każdy dodatkowy stopień będzie kosztować amerykańską gospodarkę 1,2 proc. PKB.

Jak miliony lat temu

Przeliczanie zmian klimatu na ekonomiczne wykresy daje tylko niepełny obraz skutków złamania postanowień globalnego porozumienia klimatycznego zawartego w Paryżu w 2016 r.

Dwa lata temu 195 krajów świata zgodziło się zrobić wszystko, aby zatrzymać globalne ocieplenie znacznie poniżej 2 stopni Celsjusza. Ale w 2017 r. prezydent Donald Trump wycofał się z tego porozumienia, twierdząc, że robi to dla „amerykańskich pracowników, których kocha”. Tymczasem USA to drugi największy światowy emitent dwutlenku węgla (pierwszym są Chiny).

Zdaniem naukowców jesteśmy na dobrej drodze, żeby przekroczyć granicę 2 stopni Celsjusza. A co się stanie, gdy temperatura wzrośnie o 3 stopnie? Prof. Fankhauser: – Naprawdę trudno to sobie wyobrazić, bo jest to sytuacja wykraczająca poza nasze ludzkie doświadczenie. Ostatni raz było tak ciepło na naszej planecie trzy miliony lat temu. Człowiek pojawił się na Ziemi dopiero 250 tys. lat temu. Przy takim scenariuszu prawdopodobnie straciłobyśmy wszystkie lodowce, zniknęłyby

Wielka Rafa Koralowa. Duża część planety nie nadawałaby się do życia, morza zalałyby większość przybrzeżnych miast. Nasiliłyby się masowe migracje, bo ludzie mieliby do wyboru śmierć lub ucieczkę.

A dalej? Wzrost temperatury o 4 stopnie Celsjusza oznaczałby – według klimatologów z ONZ – permanentną suszę w Europie. W pustynię zamieniłyby się duże obszary Chin, Indii i Bangladeszu. Wyspy Polinezji zostałyby zalane przez podnoszące się wody Pacyfiku. Z rzeki Kolorado zostałby strumyk, a południowy zachód USA niemal całkowicie by się wydłubił.

Wzrost temperatury o 5 stopni mógłby oznaczać kres ludzkiej cywilizacji. W tej sytuacji skurczenie się amerykańskiej gospodarki o 6 proc. PKB nikogo by już nie obchodziło.

Efekt domina

Zdaniem międzynarodowego zespołu klimatologów, którzy opublikowali swoje badania kilka dni temu na łamach „Proceedings of the Natural Academy of Science”, najczarniejszy scenariusz może ziścić się znacznie szybciej. Nawet jeśli światowe gospodarki znacznie ograniczą emisję dwutlenku węgla do atmosfery, życie na Ziemi i tak będzie zagrożone.

Według ich wyliczeń wystarczy, że temperatura wzrośnie o 2 stopnie (zdaniem klimatologów nastąpi to w ciągu kilku dekad), a zacznie się destrukcyjny efekt domina. Po przekroczeniu tej granicy procesy naturalne, które dziś chronią nas przed katastrofą klimatyczną, zaczęłyby działać na naszą niekorzyść. Ziemia stałaby się wrogiem człowieka. Elementy planety, które obecnie opóźniają ocieplenie, z lawinowym skutkiem zaczęłyby je przyspieszać.

Każdego roku lasy i oceany wchłaniają 4,5 mld ton dwutlenku węgla. Dzięki temu ocieplenie klimatu wydaje się być pod kontrolą. Zdaniem autorów „Proceedings of the Natural Academy of Science”, kiedy temperatura Ziemi wzrośnie o 2 stopnie, wtedy topniejąca wieczna zmarzlina i lasy deszczowe Amazonii zaczęły oddawać dwutlenek węgla do atmosfery. I to większą jego ilość, niż wcześniej przyjęły. Także uwieczniony na dnie oceanów metan zacznie się uwalniać.

Ziemia stałaby się wrogą człowiekowi „planetą szklarnią”: poziom oceanów wzrósłby o 10-60 metrów, zwiększyłaby się aktywność niekorzystnych bakterii w morzach, lasy tropikalne zaczęłyby wymierać, pokrywy śnieżne na północnej

półkuli i lodowa na Antarktydzie zaczęłyby topnieć.

Umierające baobaby

To najczarniejsze scenariusze. Ale wiele dzieje się już teraz. Na skutek zmian klimatu świat już ubożeje. W krajach południowej Afryki – Zimbabwe, Namibii, RPA, Botswanie, Zambii – umierają najbardziej wiekowe i majestatyczne baobaby. W ciągu ostatnich 12 lat zginęło dziewięć spośród 13 najstarszych i pięć z sześciu największych drzew.

Naukowcy, którzy odkryli skalę i tempo umierania baobabów, nie mają wątpliwości, że zjawisko to jest bez precedensu, i że nie tłumaczy go naturalne procesy w przyrodzie, takie jak choroba czy starość. Uważają oni, że drzewa umierają wskutek zmian klimatu.

Prof. David Baum z wydziału botaniki Uniwersytetu Wisconsin-Madison sądzi, że może czekać nas świat, w którym baobaby będą występować już tylko w afrykańskich legendach. – Istnieje realne ryzyko, że w ciągu jednego, dwóch pokoleń stare olbrzymie baobaby znikną z powierzchni ziemi. To byłby tragiczny los tych spektakularnych drzew, symbolu Afryki – mówi Baum w rozmowie z „Tygodnikiem”.

Co powinniśmy, czego chcemy

Prof. Geert Jan van Oldenborgh jest przekonany, że ratunek jest jeden: – Powinniśmy zatrzymać emisję gazów cieplarnianych do atmosfery, aby nigdy wzrost temperatury Ziemi nie przekroczył 2 stopni Celsjusza. Aby osiągnąć ten cel, powinniśmy do 2050 r. całkowicie zaprzestać emisji dwutlenku węgla.

– Zbyt często mówimy o tym, co powinniśmy. Zapomnijmy o tym słowie. Mówmy o tym, czego chcemy – uważa Mathis Wackernagel z Global Footprint Network, organizacji badającej wpływ działalności człowieka na planetę. Wackernagel jest optymistą: jego zdaniem ludzie to istoty o nieograniczonych możliwościach. Potrafiliśmy znaleźć sposób na wydłużenie życia, nauczyliśmy się budować samoloty, podbijamy Kosmos. Z jakiegoś powodu umknęło nam jednak mądre myślenie o naszej planecie.

Na świecie nie brakuje naukowców, którzy potrafią zrobić skomplikowane badania prognozujące przyszłą katastrofę. Najwyraźniej nie ma jeszcze dość wielu polityków, którzy chcieliby ją powstrzymać.

© AGATA KASPROLEWICZ



PATRYCJA BUKALSKA, autorka tekstu

„Porwanie z Europy”, będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM w środę 15 sierpnia o godz. 16.00

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń

89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl



Trinh Xuan Thanh podczas odczytywania sentencji wyroku podwójnego dożywocia, Hanoi, marzec 2018 r.

VIETNAM NEWS AGENCY / AFP / EAST NEWS

Porwanie z Europy

PATRYCJA BUKALSKA

Słowacy pomogli wietnamskim służbom, gdy te uprowadzały z Niemiec swojego obywatela. Afera ciągnie się od miesięcy. I wciąż się rozkręca.

TRINH XUAN THANH NIE JEST DYSYDENTEM. Jeszcze kilka lat temu zajmował wysokie stanowisko w partii komunistycznej, szefował dużej państwowej firmie petrochemicznej, zdobył nawet parlamentarny mandat. Potem firma miała stracić duże pieniądze, podobno aż 150 mln dolarów. Trinh uciekł do Niemiec i poprosił o azyl. Wietnamskie służby wysłedyziły go i porwały, po czym w ojczyźnie trafił przed sąd, oskarżony o malwersacje i korupcję.

Jednak to nie kwestia winy Wietnamczyka ma tu znaczenie, lecz zasady demokracji i kwestia zaufania – między Niemcami i Słowacją (a także chyba Polską).

Ciemne auto, biały dzień

Porwanie – w stylu przypominającym czasy zimnej wojny – zostało przeprowadzone rok temu. W lipcu 2017 r. do Trinh Xuan Thanh, spacerującego po berliń-

skim parku Tiergarten, podjechało ciemne auto. Kilku mężczyzn złapało Wietnamczyka i wepchnęło do środka. Auto miało czeskie numery. O tym, że coś się stało, zaalarmował prawnik Trinha, gdy ten nie stawiał się w sądzie na rozprawie azylowej.

Kilka dni później wiadomo było, gdzie jest: wystąpił w wietnamskiej telewizji i oświadczył, że zrozumiał swoje błędy i sam wrócił, by oddać się w ręce sprawiedliwości. Ale Berlin nie miał wątpliwości, że było to porwanie; rzecznik MSZ mówił, że incydent oznacza „skrajne naruszenie zaufania”. W styczniu wietnamski sąd wydał wyrok: podwójne dożywocie.

Niedawno wyrok zapadł też w Niemczech: skazano mężczyznę, który w Czechach wynajął auto użyte do wywiezienia Trinha z kraju. Nie wiadomo było natomiast, jak przetransportowano go dalej do Wietnamu. Teraz sprawę opisały niemiecki „FAZ” i słowacki „Dennik”: okazuje się, że wietnamskie służby skorzystały ze słowackiego samolotu rządowego.

Słowackie ślady

Te rewelacje prasowe zachwiały rządem w Bratysławie, który i tak z trudem trzyma się u władzy po tym, jak w marcu krajem wstrząsnęło morderstwo dziennikarza śledczego i jego narzeczonej (reporter badał związki polityków z włoską mafią). Ustąpić musieli wtedy premier Robert Fico i szef MSW Robert Kaliňák. To on kierował resortem, gdy użyczono samolotu Wietnamczykom i to jego decyzje zapewniły sprawną przebieg operacji. Dziś Kaliňák zaprzecza, że świadomie pomagał w porwaniu.

Opisany przez „Dennik” przebieg wypadków jest jednak zdumiewający – nawet jeśli minister nie był świadom, co się faktycznie dzieje. Najpierw wietnamska delegacja poprosiła Słowaków, by wysłali po nich samolot rządowy do Pragi. Potem, po roboczym obiedzie w Bratysławie – aby pożyczili im go na dalszą podróż do Moskwy. Fakt, że Słowacy się zgodzili, może zaskakiwać: nie pożycza się rządowych samolotów.

W międzyczasie, już w Bratysławie, wietnamska delegacja powiększyła się: z 4 do 12 osób (był to porwany i jego „opiekunowie”). Na lotnisku okazało się, że brakuje dokumentów, ale problem rozwiązała interwencja MSW. Potem samolot przeleciał nad terytorium Polski. „Dennik” twierdzi, że Słowacy poinformowali Polaków, iż na pokładzie jest szef ich MSW, co było kłamstwem.

Po ujawnieniu „słowackiego śladu” rząd w Bratysławie próbował zachować się tak, jakby nic się nie stało. Dopiero po kilku dniach medialnej burzy Pellegrini zapewnił o współpracy z Niemcami; może też powstać parlamentarna komisja śledcza.

Naruszone zaufanie

Dlaczego Wietnam zdecydował się porwać Trinha, choć wydał za nim międzynarodowy nakaz aresztowania i zażądał już od Niemiec jego ekstradycji? Chodziło zapewne o to, że przed podjęciem decyzji Niemcy musieli rozpatrzyć jego wniosek o azyl, a Trinh twierdził, że w ojczyźnie nie może liczyć na sprawiedliwy proces i grozi mu kara śmierci. Czy był winny, na tym etapie nie miało to znaczenia. Wietnam nie czekał więc na efekt potyczek w niemieckich sądach i przystąpił do działania. Złamał tym samym prawo międzynarodowe i niemieckie.

A co skłoniło Słowaków do współpracy? Na odpowiedź trzeba poczekać. Trudno to wyjaśnić tylko chęcią wzmacniania stosunków z Wietnamem. W każdym razie Bratysława popsuła sobie relacje z Berlinem. I może nie tylko – jeśli faktycznie okłamano Warszawę.

Tymczasem Niemcy przyznali Wietnamczykowi azyl pod jego nieobecność; uznali, że dowody na jego prześladowanie są teraz przekonujące. Choć jest to chyba krok już tylko symboliczny. ©P



SEBASTIAN SCHEINER / AP / EAST NEWS

Demonstracja Druzów na placu Rabina, Tel Awiw, 4 sierpnia 2018 r.

Bunt Druzów

INGA ROGG ZE STAMBUŁU

Benjamin Netanjahu obstaje przy ustawie, która definiuje Izrael jako państwo narodu żydowskiego. Trudno mu jednak ignorować Druzów: zawsze lojalni, nie chcą być obywatelami drugiej kategorii.

IZRAELSKI PREMIER JEST NIEPORUSZONY: na początku sierpnia, podczas posiedzenia gabinetu, powtórzył, że bez ustawy niemożliwe będzie zachowanie dla przyszłych pokoleń żydowskiego charakteru Izraela. Jest przekonany, że ustawa nie narusza praw mniejszości.

Sporna ustawa – przyjęta w lipcu przez Kneset – mówi o tym, że państwo Izrael jest domem narodu żydowskiego, i przyznaje Żydom jako jedynym prawo do narodowego samostanowienia. Językowi arabskiemu, który dotąd był drugim językiem urzędowym obok hebrajskiego, przyznaje już tylko „specjalny status”.

Tymczasem jedna piąta obywateli Izraela to Arabowie. Od momentu uchwalenia ustawy protestuje izraelska lewica i centrum – oraz właśnie mniejszości.

Protestujący uważają, że ustawa otwiera szeroko bramy dla dyskryminacji i jest sprzeczna z ideą, która legła u podstaw Deklaracji Niepodległości z 1948 r. – że Izrael jest nie tylko państwem żydowskim, lecz także demokratycznym. Setki izraelskich artystów i intelektualistów, wśród nich pisarze Amos Oz i David Grossman, podpisały petycję w tej sprawie.

Jeśli jednak coś może wywrzeć nacisk na Netanjahu, jest to przede wszystkim opór ze strony Druzów.

Świadczą o nas cmentarze

Kilkadziesiąt tysięcy Druzów zebrało się na placu Rabina w Tel Awiwie wieczorem w pierwszą sobotę sierpnia. Duchowy przywódca mniejszości, szejk Mowafak Tarif mówił, że nikt nie może uczyć ich lojalności wobec Izraela, a najlepszym jej świadectwem są cmentarze żołnierskie – spoczywają na nich Druzowie, którzy służyli w izraelskiej armii i polegli w obronie kraju. „Pomimo naszej całkowitej lojalności, państwo nie traktuje nas jak równych obywateli” – mówił Tarif. Odpowiadało mu co chwila skandowanie: „Równość, równość!”.

Na manifestację przyszło też wielu Żydów. Wielu niosło, obok flagi izraelskiej, także flagę druzyjską (składa się na nią pięć kolorów: pasy czerwony, żółty, nie-

bieski i biały, a także zielony trójkąt). Również budynek władz miejskich udekorowano w druzyjskie kolory. „Tak jak walczyliśmy o istnienie i bezpieczeństwo państwa, tak też jesteśmy zdecydowani, aby walczyć o prawo do wspólnego życia w równości i godności” – mówił Tarif.

W Knesecie i w armii

Wprawdzie Druzowie mówią po arabsku, jednak religia [łącząca elementy islamu, chrześcijaństwa, gnostycyzmu i starych wierzeń bliskowschodnich – red.] odróżnia ich od muzułmanów. W Izraelu mieszka ich ok. 150 tys.; stanowią 1,6 proc. społeczeństwa.

Druzowie zasiadają w Knesecie, są urzędnikami w administracji, jeden jest członkiem rządu Netanjahu. Pełnią też ważną rolę w nauce i mediach. W przeciwieństwie do muzułmanów i chrześcijan są powoływani do służby wojskowej. Proporcjonalnie do liczby ludności społeczność druzyjska wysyła zresztą do armii więcej żołnierzy niż Żydzi. Służą głównie w jednostkach elitarnych.

Po tym, jak Kneset uchwalił ustawę o „domu narodu żydowskiego”, liczni oficerowie druzyjscy zapowiedzieli, że zdejmą mundur i odejdą z armii. Wielu Druzów mówi, że ustawa to dla nich cios w plecy, który czyni z nich obywateli drugiej kategorii. Wsparcie otrzymują z szeregow armii oraz służb specjalnych. Obok licznych oficerów również czterech byłych szefów sztabu generalnego armii izra-

elskiej podpisało się pod listem, w którym wyrażają solidarność z Druzami i innymi mniejszościami.

Generał odmówił premierowi

Aby załagodzić nastroje, na przełomie lipca i sierpnia Netanjahu spotkał się z przedstawicielami Druzów. Był wśród nich także Amal Asad, generał w stanie spoczynku (jego ostatnim stanowiskiem przed przejściem na emeryturę była funkcja szefa departamentu ds. współpracy z aparatem bezpieczeństwa Autonomii Palestyńskiej).

Wcześniej generał, który jest jednym z liderów druzyjskiego ruchu protestu, napisał na Facebooku, że krytykowana ustawa zamienia Izrael w państwo apartheidu. Dziennik „Haaretz” informuje, że spotkanie zakończyło się fiaskiem. Wzburzony Netanjahu miał niemalże wybiec z pokoju po tym, jak generał nie zgodził się na wycofanie swojego sformułowania.

„Urodziliśmy się tu, kochamy ten kraj – mówił generał Amal Asad podczas manifestacji. – W przeszłości broniliśmy go i nadal będziemy tutaj żyć, wspólnie, jako równoprawni obywatele: Żydzi, Arabowie, Druzowie, Czerkiesi i Beduini”.

Następnego dnia po manifestacji na placu Rabina Netanjahu ponownie polemizował z krytykami, wskazując na inne przepisy. Argumentował, że ustawa ma zapobiec imigracji do Izraela Palestyńczyków, którzy – jak twierdził – wykorzystują w tym celu klauzulę o łączeniu rodzin, jaka znalazła się w porozumieniach z Oslo [zawarte w 1993 r. przez Izrael i Organizację Wyzwolenia Palestyny, były podstawą procesu pokojowego i utworzenia Autonomii Palestyńskiej – red.].

Konflikt z Druzami ma teraz rozwiązać komisja rządowa. W międzyczasie większość Druzów odrzuciła propozycję, aby Kneset uchwalił ustawę, która podkreślałaby lojalność społeczności druzyjskiej. Premier Netanjahu jest przekonany, że „komisja wzmocni ściśle więzi i zobowiązania Izraela wobec Druzów”. Ponadto zadeklarował, że rząd okaże szacunek wszystkim religiom i społecznościom, których przedstawiciele służą w armii oraz w służbach bezpieczeństwa.

© Przetłumaczył WP

INGA ROGG jest reporterką szwajcarskiego dziennika „Neue Zürcher Zeitung” na Bliskim Wschodzie. Przez wiele lat mieszkała w Bagdadzie, obecnie mieszka w Stambule.

Afgańskie drogi wyjścia

WOJCIECH JAGIELSKI

Nie mogąc pokonać afgańskich talibów i nie widząc innego sposobu zakończenia trwającej już 17 lat wojny, Amerykanie zaczęli się w końcu z nimi układać.

W LIPCU, W JEDNYM Z HOTELI W KATARSKIEJ stolicy Dosze – gdzie talibowie otworzyli przed kilkoma laty swoje przedstawicielstwo – z emisariuszami afgańskich partyzantów spotkała się Alice Wells. W Departamencie Stanu USA odpowiada ona za Azję Środkową i Południową. Jej wysoka ranga miała przekonać talibów, że rozmawia z nimi z błogosławieństwa Białego Domu i jego gospodarza Donalda Trumpa.

Do tej pory bowiem Amerykanie upierali się, że nie są stroną afgańskiej wojny, a o pokoju talibowie powinni rozmawiać z przedstawicielami rządu w Kabulu. Teraz zmienili zdanie. Do Dohy przyjechali rozmawiać z talibami m.in. o ich ewentualnym udziale w rządzie, a także o możliwości pozostawienia amerykańskich baz w Afganistanie.

„To były takie rozmowy o rozmowach – powiedział jeden z talibów, którzy od lat powtarzają, że jeśli mają się z kimś układać, to tylko z Amerykanami, a nie ich protegowanymi z kabulskiego rządu. – Ale bardzo przyjemnie ze sobą rozmawialiśmy i ustaliliśmy, że wkrótce spotkamy się znowu”.

Po katarskich rozmowach Amerykanów z talibami eksperci orzekli, że afgańska wojna nigdy nie była tak bliska pokojowego zakończenia.

Z kim się układać

Pod koniec 2001 r., gdy w wyniku zbrojnej interwencji Amerykanie obalili rządy talibów w Kabulu, wykluczyli ich z „okrągłego stołu”, przy którym ustalano nowe porządki w Afganistanie. Talibów uznali za zbrodniarzy i banitów – takich samych, jak terrorystyczna międzynarodówka Al-Kaida, której udzielili gościny w rządzonym przez siebie Afganistanie.

W przekonaniu, że w Afganistanie odnieśli ostateczne zwycięstwo, w 2003 r.

Amerykanie najechali na Irak. Jeszcze za prezydentury George’a W. Busha, nie mogąc powstrzymać odradzającej się armii partyzanckiej talibów, Amerykanie próbowali przekonać ich do rozmów z afgańskim przywódcą Hamidem Karzajem (prezydentem w latach 2001–14).

Żądali jednak, aby – zanim zasiądą za stołem rokowań – talibowie wyrzekli się walki zbrojnej, uznali nowe afgańskie porządki i konstytucję, a w Karzaju prawowitego władcę. Na próby nawiązywania rozmów z talibami za jego plecami Karzaj reagował wybuchami gniewu, oskarżał Amerykanów o zdradę. Bush rozumiał się z Karzajem, rozumiał jego – podzielane przez Afgańczyków – wyczulenie na sprawy dumy i honoru.

Barack Obama takiej cierpliwości wobec afgańskiego przywódcy już nie miał. Wojenne wyprawy Busha uważał za błędne i kosztowne – wojskowo, politycznie oraz finansowo – i zapowiedział, że za swojej prezydentury zakończy wojny i w Afganistanie, i Iraku. Od razu chciał wycofywać wojska, ale generałowie przekonali go, że jeśli zamiast wycofywać, wyśle na wojnę dodatkowe i liczne oddziały, spróbują wygrać obie wojny. Obama ustąpił. O ile w Iraku dodatkowe wojska złamały Al-Kaidę (parę lat później wyrosło z niej tzw. Państwo Islamskie, IS), o tyle w Afganistanie nawet 150 tys. Amerykanów nie było w stanie rozbić talibów i zapanować nad ich matczynikiem w południowych prowincjach Kandahar i Helmand.

Sytuacja patowa

Przeczuwając, że nie pobije talibów, Obama próbował się z nimi układać. W 2010 r. dzięki staraniom amerykańskich dyplomatów talibowie otworzyli na potrzeby układów swoje przedstawicielstwo w katarskiej Dosze. Ale pierwsze ➔

→ bezpośrednie rozmowy z Amerykanami zostały zerwane przez Karzaja, który wściekł się, że na murze swojej ambasady talibowie wywiesili tabliczkę informującą, iż są jedynym prawowitym rządem Afganistanu.

Wierny zasadzie, że o wojnie i pokoju talibowie mogą negocjować tylko z kabilskim rządem, Obama wycofał się z układów. Do ambasady talibów w Dosze Amerykanie wrócili jeszcze wiosną 2014 r., by w zamian za wypuszczenie z więzienia w Guantanamo pięciu talibskich komendantów wytargować zwolnienie z partyzanckiej niewoli jedynego amerykańskiego jeńca-dezertera, sierżanta Roberta „Bowe’a” Bergdahla.

Dwa lata później na spotkanie z talibami w Dosze wraz z Amerykanami przyjechali też przedstawiciele afgańskich władz, ale rozmowy zakończyły się fiaskiem.

Równie patowa sytuacja zapanowała na frontach wojny. Z końcem 2014 r. Zachód wycofał większość wojsk z Afganistanu, ale pozostało tam kilkanaście tysięcy amerykańskich i zachodnich żołnierzy i instruktorów, szkolących afgańską

armię, a także kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy z prywatnych firm.

Z kolei talibowie przejęli kontrolę nad jedną trzecią kraju, ale nie zdobyli stolicy którejkolwiek z prowincji (choć oblegali i szturmowali Kunduz, Laszkar Gah, a ostatnio Farah), ani w ogóle żadnego z większych miast. Natomiast bez wsparcia Amerykanów budowane przez nich afgańskie wojsko rządowe nie radzi sobie z odpieraniem partyzanckich natarć, ponosi ciężkie straty, mnożą się dezercje.

Odkąd wiosną 2017 r. Trump zezwolił swoim generałom na eskalację działań wojennych, posłał do Afganistanu kolejnych kilka tysięcy żołnierzy i zgodził się, by lotnictwo USA dokonywało powietrznych rajdów zaczepnych przeciw partyzantom, wojna pod Hindukuszem wybuchła na nowo. Znowu ginie w niej ludność cywilna. Talibowie nie chcieli rozmawiać z afgańskim rządem, a Waszyngton nie chciał się zgodzić na negocjacje z talibami.

Amerykanie zrozumieli jednak, że wojny nie wygrają – i starali się już jej tylko nie przegrać. Talibowie zaś uwie-

rzyli, że prędzej czy później zwyciężą, nie ma więc sensu układać się i ustępować.

Zmiana strategii

Walcząc o prezydenturę, Trump powtórzał, że wojna afgańska – najdłuższa, jaką kiedykolwiek toczyła Ameryka – przynosi jej tylko straty (zginęło ponad 2 tys. żołnierzy) i kosztuje amerykański skarb więcej niż plan Marshalla, dzięki któremu zachodnia Europa odbudowała się ze zniszczeń po II wojnie światowej. Już w 2017 r. Trump chciał wycofać wszystkie wojska USA spod Hindukuszu. Generałowie nie tylko odwiedli go od tej myśli, ale przekonali, by posłał do Afganistanu kolejnych żołnierzy. „Ugodzimy boleśnie talibów i jeśli nawet nie rozbijemy ich, to osłabimy tak bardzo, że będą się musieli zgodzić na rozmowy” – obiecywali.

Ale choć zrzucili w Afganistanie najpotężniejszą bombę, jaką widział świat (ustępującą pod względem siły zniszczenia tylko bombom atomowym), generałowie nie złamali talibów. Wiosną tego roku, widząc nieskuteczność swoich wojskowych, zniecierpliwiony Trump kazał dyploma-

Afgańscy saperzy wyruszają na akcję rozbrajania min w regionie Zhari, marzec 2018 r.



tom dogadać się z talibami bez oglądania się na afgański rząd.

W podróże do Kabulu, Islamabadu i na Półwysp Arabski ruszyli dyplomaci i wojskowi. W czerwcu sekretarz stanu Mike Pompeo ogłosił, że Waszyngton jest gotów „wspierać, ułatwiać, a nawet uczestniczyć” w rozmowach z talibami o pokoju oraz amerykańskich bazach (Amerykanie chcą je utrzymać, nawet jeśli talibowie wejdą do afgańskiego rządu, a według znawców talibów są oni skłonni się na to zgodzić, aby mieć pomoc w walce z partyzantami z lokalnej ekspozytury IS).

Odmowa nie zraża

Gdyby w Kabulu nadal rządził Karzaj, pewnie oskarżyłby Trumpa i Amerykanów o zdradę. Ale jego następca Aszraf Ghani nie jest już tak przeczulony na punkcie godności jak Karzaj i chce się dogadać z talibami za każdą cenę.

Na początku roku Ghani zaproponował im rozmowy o pokoju bez żadnych warunków wstępnych. W dowolnym czasie i miejscu. Obiecał im też bezpieczną kwaterę w Kabulu, jeśli postanowią wyrzec się przemocy i ogłoszą się partią polityczną. Na tę najhojniejszą jak dotąd ofertę pokojową talibowie nie odpowiedzieli. Ale i nie odrzucili jej, co uznano za dobrą wróżbę.

W marcu prezydent Ghani powtórzył ofertę. „Kiedy mężczyzna stara się o rękę upragnionej kobiety, nawet kilkakrotna odmowa nie powinna go zrażać” – wyjaśniał swój upór dziennikarzom. W maju zapowiedział, że dla uczczenia Święta Przerwania Postu, Id al-Fitr, kończącego ramadan, afgańskie władze ogłoszą dziesięciodniowy rozejm. Amerykańscy generałowie zgodzili się na to, choć wielu przestrzegało, że partyzanci wykorzystają rozejm, by przeniknąć do miast i wywołać w nich rebelię, i że skończy się to tak, jak ofensywa Tét w 1968 r. – natarcie wietnamskich partyzantów, którą rozpoczęli podczas noworocznego zawieszenia broni.

Talibowie rozejmu nie odrzucili, ale ogłosili własny, trzydniowy – częściowo pokrywający się z rozejmem proponowanym przez Ghaniego. Dziś Pakistańczycy chwalą się, że to oni, na prośbę Amerykanów, przekonali talibów, aby przystali na to zawieszenie broni. W zamian za tę przysługę Amerykanie mieli zabić w połowie czerwca ukrywającego się w Afganistanie emira pakistańskich talibów, mullah „Radio” Fazlullaha [patrz „TP” nr 27 – red.].

Afgański prezydent
Aszraf Ghani wierzy,
że z pomocą Amerykanów
dogada się z talibami
i w końcu przerwie toczącą
się od czterech dekad wojnę.

Nowi wrogowie, nowe przymiarki

Rozejm na koniec ramadanu był pierwszym zawieszeniem broni w afgańskiej wojnie – i okazało się, że obie strony skrupulatnie go przestrzegały. Na frontach zapanowała cisza. Talibowie tysiącami ruszyli do rodzinnych wiosek i miast, by odwiedzić niewidziane od dawna rodziny. Partyzanci bratali się z żołnierzami armii rządowej, w kraju zapanował entuzjizm.

Gdy rozejm się skończył, Ghani zaproponował, by przedłużyć go o kolejnych dziesięć dni, ale talibowie już na to nie przystali. Dowiedli, że zależy im na pokoju i panują nad swymi oddziałami. Nie chcieli jednak, by ich ugodowość wzięto za słabość, albo żeby mniej wyrobieni politycznie komendanci uznali, że ich szefowie wyrzekają się świętej sprawy dla posad w Kabulu.

Od trzech lat talibowie mają bowiem w Afganistanie konkurenta w rywalizacji o przywództwo „świętej wojny” – filię założyło tu IS. Teraz, po rozgromieniu samozwańczego kalifatu w Syrii i Iraku, jego mudżahedini ściągają pod Hindukusz. Talibowie zwalczają IS, odkąd ogłosiło ono Iran, Afganistan i Pakistan swoją „provincją Chorasanu”. W tej wojnie wspierają ich po cichu Rosja i Iran, a także sami Amerykanie, których lotnicy i komandosi tropią i zabijają komendantów IS.

Wkrótce afgański rząd zamierza ogłosić nowy rozejm, tym razem z okazji Święta Ofiarowania, Id al-Adha, przypadającego w tym roku na początek ostatniej dekady sierpnia. Podczas spotkania w Dosze Amerykanie namawiali talibów, aby i oni na święta złożyli broń.

Dziennik „New York Times” podał, że Trump i jego generałowie przekonują afgańskich przywódców, by zebrali wszystkie wojska w wielkich garnizonach, broniących stołecznego Kabulu, Kandaharu, Heratu, Mazar-e Szarif i Dżalalabadu, a rozległe prowincje i wioski od-

dali pod kontrolę policji – czyli faktycznie poddali talibom. Talibowie o to właśnie zabiegali podczas spotkań w Dosze. Afgański rząd nie chce się jednak na to zgodzić, bo oznaczałoby to wydanie pod rządy talibów trzech czwartych z 35 mln obywateli.

Kwiecień pod Hindukuszem

Prezydent Aszraf Ghani cieszy się opinią zarozumiałca i uparciucha. W sprawie rozmów o wojnie i pokoju okazał się jednak politykiem zręczniejszym i skuteczniejszym niż Karzaj. Ghani uważa, że jeśli do rozpoczęcia rozmów talibom potrzebne jest najpierw spotkanie z Amerykanami, to niechże się spotykają. W końcu i tak będą musieli się spotkać również z nim – i to z nim jako prawowitym prezydentem będą ustalać, jak ma wyglądać przyszły Afganistan. Ghani wydaje się ufnie spoglądać w przyszłość. Właśnie wyznaczył na 20 kwietnia 2019 r. datę nowych wyborów prezydenckich, w których chce się ubiegać o reelekcję.

W najnowszej historii Afganistanu najważniejsze wydarzenia działy się właśnie w kwietniu. 27 kwietnia 1978 r. doszło do zamachu stanu (nazwanego potem rewolucją kwietniową), w wyniku którego do władzy doszli młodzi oficerowie i komuniści, szukający wzorów (i rubli) w ówczesnej Moskwie. Tamten przewrót doprowadził do wojny domowej i inwazji armii sowieckiej. Dziesięciolecie wyniszczająca wojna wykrwawiła także Związek Radziecki i przyczyniła się do jego upadku.

Potem, 16 kwietnia 1992 r., w Kabulu obalony został ustanowiony przez Rosjan afgański prezydent Nadżibullah. Urwały się już wtedy dostawy rubli, którymi opłacał wierność swoich generałów. Zdradzili go więc i sprzymierzyli się z jego wrogami, mudżahedinami, którzy następnego dnia wkroczyli do Kabulu. Ale nie umiając się podzielić łupami i władzą, mudżahedini skoczyli sobie do oczu i wywołali następną wojnę. To, co działo się potem, doprowadziło do upadku państwa, zawłaszczenia go przez banitów z Al-Kaidy i kolejnej inwazji, tym razem amerykańskiej.

Prezydent Ghani wierzy, że w 2019 r. wygra wybory, a wcześniej z pomocą Amerykanów dogada się z talibami – i przerwie toczącą się od czterech dekad wojnę. Wtedy – wraz z kolejnym kwietniem – przeszedłby do afgańskiej historii jako przywódca, za którego sprawą pod Hindukuszem zapanował wreszcie pokój.

© © WOJCIECH JAGIELSKI

Witajcie w nowym świecie

ŁUKASZ GRUSZCZYŃSKI

Donald Trump sprawił, że międzynarodowe relacje handlowe stają się coraz bardziej skomplikowane i nieprzewidywalne. Co nas czeka? I czy problem dotyczy także Polski?

TO PUNKT ZWROTNY: PRZYSZŁOŚĆ systemu, który funkcjonował – lepiej lub gorzej – przez ostatnie 70 lat, stoi pod znakiem zapytania. Głównym powodem zmiany jest reorientacja polityki handlowej USA pod rządami Donalda Trumpa.

Kwestionuje on zobowiązania zawarte w umowach handlowych, które gwarantowały dotąd dość swobodny przepływ towarów i usług między państwami. Trump uważa, że ten system jest niekorzystny dla Stanów (choć to one go współtworzyły), gdyż jego efektem jest wysoki deficyt, jaki USA notują rokrocznie w relacjach handlowych z zagranicą. Co prawda Trump nie wyklucza zawierania dwustronnych porozumień o wolnym handlu, ale tylko na amerykańskich warunkach (czytaj: mniej korzystnych dla innych krajów).

Nie powinna więc dziwić otwarta wrogość, jaką prezydent darzy Światową Organizację Handlu (WTO) – centralną instytucję obecnego systemu. Często mówił o amerykańskim członkostwie w WTO jako o „całkowitej katastrofie” i groził wystąpieniem z niej, jeśli organizacja będzie się sprzeciwiać jego działaniom.

Czas radykalizacji

Jedną z pierwszych decyzji Trumpa było wycofanie USA z Partnerstwa Transpacyficznego – umowy, która miała stworzyć największą na świecie strefę wolnego handlu, łączącą kraje Pacyfiku (i potwierdzić rolę USA jako lidera w regionie). Trump wstrzymał też negocjacje z Unią Europejską dotyczące analogicznego porozumienia (tzw. Transatlantyckiego Partnerstwa Handlowo-Inwestycyjnego) – choć te być może zostaną wkrótce ponownie otwarte.

Również NAFTA (Północnoamerykański Układ Wolnego Handlu) stała się celem ataku: Trump początkowo chciał ją wypowiedzieć, ale pod naciskiem otoczenia zgodził się na jej renegezację. Trudne rozmowy trwają od sierpnia 2017 r. Stany

forsują takie sporne rozwiązania jak *sun-set clause*: chcą, by umowa była automatycznie wygasana co pięć lat, chyba że wszystkie trzy kraje zgodzą się ją przedłużyć. To pozwoliłoby Stanom na ciągłe szantażowanie Kanady i Meksyku. Oba kraje odrzucają ten postulat, niechętna jest mu też znaczna część biznesu w USA – w klauzuli widzi czynnik ryzyka utrudniający długofalowe planowanie.

Chiny i Unia na celowniku

Ostatnie miesiące to także narastające napięcia w relacjach z Chinami i Unią Europejską.

Zaczął się niewinnie: na początku roku Stany – korzystając z przepisów o tzw. środkach ochronnych pozwalają na czasowe ograniczenie importu w razie szczególnie trudnej sytuacji krajowego przemysłu – podwyższyły cła na importowane pralki i panele słoneczne. Uderzyło to w Chiny, ich wiodącego producenta. W marcu Stany wprowadziły dodatkowe cła na stal i aluminium, uzasadniając je bezpieczeństwem narodowym. Choć te cła mają zastosowanie do importu niezależnie od kraju pochodzenia, Trump przyznał zwolnienia dla części partnerów (np. Brazylii, Argentyny, Australii). W efekcie obok Chin najbardziej ucierpiały Unia Europejska, Meksyk i Kanada.

Kolejna bomba wybuchła kilka tygodni później. W maju administracja Trumpa ogłosiła nowy plan, zakładający nałożenie 25-procentowych ceł na towary z Chin – miałyby objąć importowane towary o maksymalnej wartości 50 mld dolarów rocznie. Uzasadniano, że jest to odpowiedź na politykę Chin, która narusza interesy firm z USA w zakresie ochrony własności intelektualnej i technologii. Kilka tygodni później zwiększono, do 200 mld dolarów, wartość importu objętego planowanymi cłami karnymi. Pierwszy pakiet ceł wszedł w życie w lipcu.



Aby wyborcy odczuli...

Trump groził też wprowadzeniem dodatkowych 20-procentowych ceł na europejskie auta osobowe. Jego zdaniem producenci z Europy są uprzywilejowani, gdyż ich eksport do USA jest objęty cłem w wysokości 2,5 proc., podczas gdy stawka dla amerykańskich eksporterów jest czterokrotnie wyższa.

Groźby te świadczą o niewiedzy Trumpa (to chyba nikogo już nie zaskakuje). Wyższe cła na amerykańskie auta osobowe są bowiem rekompensowane niższymi cłami na inne towary z USA, np. auta dostawcze, autobusy czy niektóre produkty spożywcze. Nawet jeśli istnieją tu różnice, mają one małe znaczenie w kontekście handlu między USA i Unią.

Zarówno Chiny, jak też Unia oraz inne państwa odpowiedziały na te wszystkie działania i groźby, wprowadzając swoje cła karne na szereg produktów z USA. Starano się przy tym wybrać towary pochodzące z tych stanów, w których odbędą się jesienią wybory do Kongresu i gdzie poparcie dla Trumpa jest wysokie (stąd duża liczba produktów rolno-spożywczych). Po to, aby wyborcy Trumpa odczuli skutki jego decyzji.

Dodajmy jeszcze, że Trump zablokował częściowo system rozstrzygania sporów WTO, wstrzymując wybór nowych sędziów (prawo wymaga zgody wszystkich członków na rozpoczęcie selekcji). Obecny skład ma nadal wystarczającą liczbę człon-



ULRICH BAUMGARTEN / GETTY IMAGES

Niemieckie samochody przeznaczone na eksport w porcie w Bremerhaven, kwiecień 2018 r.

ków, by rozpatrywać sprawy, ale zmieni się to w 2019 r., gdy upłyną kadencje kolejnych dwóch sędziów i będzie ich za mało, by uformować skład orzekający.

Czy Trump ma rację?

Spróbujmy podsumować myślenie Trumpa. Trump twierdzi, że deficyt to dowód na słabość USA, które są „okradane” przez świat; że inne kraje grają nieczysto. Uważa, że globalny handel to główna przyczyna likwidacji miejsc pracy w USA: produkcja jest przenoszona do tańszych krajów, a następnie produkty te wracają do USA w formie eksportu. Sądzi więc, że handel powinien być lepiej zbilansowany, państwa-oszuści ukarani, a fabryki w USA znów pełne zamówień i pracowników.

Taka ocena może wydać się rozsądna. Rzecz w tym, że jest pełna uproszczeń i fałszywych założeń.

Zacznijmy od deficytu. Mówiąc o nim, Trump podaje dane dotyczące handlu towarami. To sztucznie pompuje jego wielkość, bo gospodarka USA jest oparta głównie na usługach. Np. w handlu z Kanadą, na poziomie handlu towarami, USA faktycznie notują deficyt: 17 mld dolarów. Ale jeśli dodamy usługi, z deficytu robi się nadwyżka w wysokości 2 mld dolarów. Nie działa to w przypadku wszystkich państw, ale i tak znacznie obniża liczby podawane przez Trumpa.

Wysokość deficytu Stanów Zjednoczonych jest też częściowo zafałszowana

przez metodologię używaną do jego obliczania, gdyż nie uwzględnia ona faktu powszechnego stosowania przez firmy amerykańskie agresywnych form optymalizacji podatkowej – w jej efekcie dochodzi do zawyżenia wartości ich eksportu do USA, tak aby móc wykazać zyski w krajach o niskim opodatkowaniu.

Ekonomiści są też zgodni, że karne cła nie wpłyną na zmniejszenie deficytu USA. Wraz z mniejszym importem (o ile to nastąpi) zmniejszy się też bowiem amerykański eksport – w efekcie deficyt zostanie na podobnym poziomie. Właściwą odpowiedzią na deficyt – o ile uznajemy, że to problem – byłoby zwiększenie oszczędności Amerykanów (jak na standardy państw rozwiniętych, są one na rekordowo niskim poziomie). To jedyny efektywny sposób na wyrównanie bilansu handlowego. Ekonomiści są też zgodni, że działania Trumpa z czasem obniżą konkurencyjność gospodarki USA, doprowadzą do podwyżek cen i zwiększenia inflacji, i w rezultacie obniżą siłę nabywczą znacznej części Amerykanów.

Trump ma natomiast częściowo rację, gdy idzie o kopiowanie amerykańskich technologii przez chińskie firmy. Polityka Chin zakłada silny rozwój w zakresie produkcji zaawansowanej technologicznie – w jej ramach Pekin żąda transferu wiedzy, np. przez wymóg tworzenia spółek *joint venture* z udziałem chińskich partnerów. Są jednak wątpliwości, czy

karne cła zatrzymają ten proces – wielu ekspertów uważa go za nieunikniony.

Prezydent USA myli się, gdy mówi o utracie miejsc pracy w przemyśle. Pomijając fakt, że bezrobocie w USA jest bardzo niskie (4 proc. w czerwcu), to badania pokazują, że głównym czynnikiem jest w tym przypadku automatyzacja produkcji, a nie jej przenoszenie poza Stany.

Skutki dla Polski

Można powiedzieć, że to nie polski konflikt i możemy przyglądać mu się z boku – najwyżej zdrożają jeansy czy burbon. Neutralność nie jest tu jednak możliwa. Będąc w Unii, jesteśmy stroną w tym starciu – i możemy odczuć skutki wojny handlowej.

Znaczna część polskiego eksportu to element w skomplikowanym łańcuchu dostaw, gdzie dany produkt, zanim trafi na rynek, wielokrotnie przekracza granice. To znaczy, że część polskiego eksportu w ramach Unii jest w istocie kierowana do USA. Jesteśmy mocno związani zwłaszcza z Niemcami – cła na europejskie auta mogą zabość także nas.

Ponadto, w razie eskalacji wojny handlowej jej skutki odczuje cała nasza gospodarka. Międzynarodowy Fundusz Walutowy szacuje, że po wprowadzeniu pełnego pakietu karnych cel przez USA i Chiny światowa gospodarka wpadnie w recesję. Aby temu przeciwdziałać, kraje Unii będą musiały stymulować swój wzrost gospodarczy – co jednak może być trudne, zważywszy na ich dług publiczny. Także Polska, ze swoim rozbudowanym dziś systemem świadczeń socjalnych, będzie w niełatwym położeniu.

Kolejne zagrożenie polega na tym, o czym już pisano w „Tygodniku” [patrz „TP” nr 29 – red.]. Trump z niechęcią mówi o Unii: uważa ją nie za sojusznika, lecz wroga. Wojna handlowa może pogłębić te emocje i wystawić relacje atlantyckie (i tak trudne) na nową próbę. Wyjście Stanów z NATO wydaje się absurdalne, ale Trump często już zaskakiwał... Wtedy zostalibyśmy z dnia na dzień wprawdzie nie sami, ale tylko z Unią, która – mówiąc łagodnie – nie jest potęgą militarną.

I to wszystko w obliczu ambicji imperialnych Rosji. ©

DR HAB. ŁUKASZ GRUSZCZYŃSKI jest profesorem prawa międzynarodowego w Instytucie Nauk Prawnych PAN, specjalizuje się w kwestiach handlu międzynarodowego.



Czescy demonstranci i czołg Układu Warszawskiego taranujący fasadę przy placu Beneša. Liberec w północnych Czechach, 21 sierpnia 1968 r.

SMUTEK I GNIEW

50 lat temu wojska pięciu państw Układu Warszawskiego, w tym PRL, dokonały agresji na Czechosłowację. Nadal częsta jest opinia, że Polacy ją poparli. To jednak nieprawda.

GRZEGORZ MAJCHRZAK

WNOCY z 20 na 21 SIERPNIA 1968 r. armie Związku Sowieckiego, PRL, Węgier, Bułgarii i NRD wkroczyły do Czechosłowacji. Oznaczało to kres Praskiej Wiosny, rozpoczętej w styczniu tamtego roku wyborem Aleksandra Dubčeka na I sekretarza Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji. W kolejnych miesiącach rozliczono się ze stalinizmem, zniesiono cenzurę, a w kwietniu w programie KPCz zapowiedziano wprowadzenie demokracji wewnętrznej, ograniczenie wpływu partii na życie społeczne i struktury państwa, pełną realiza-

cję swobód obywatelskich, przekształcenie kraju w federację, a także reformę tajnej policji.

Wprowadzanie tych zmian zakończyła właśnie „bratnia pomoc” – jak propaganda PRL nazwała tę *de facto* agresję z sierpnia 1968 r.

Według najnowszych danych, w tamtych dniach zginęło 122 obywateli Czechosłowacji. Uprowadzeni do Moskwy, przywódcy KPCz, na czele z Dubčkiem, poddani tam presji, zgodzili się na odwrót od demokratycznych reform (co z kolei propaganda nazwała „normalizacją”).

Wszystko wykupiono

Nie dysponujemy dziś badaniami socjologicznymi na temat postaw Polaków w sierpniu 1968 r., bo takich sondaży wtedy nie było. Mamy obraz oficjalny, propagandowy: to nasi rodacy witający z kwiatami żołnierzy wracających z południowej granicy. Tyle tylko że były to zwykłe starannie reżyserowane spektakle.

„Bratnia pomoc” dla Czechów i Słowaków była wtedy, co oczywiste, tematem numer jeden. A pierwsza reakcja Polaków była typowa dla wszystkich sytuacji kryzysowych w czasach PRL-u. Stefan Kisie-

lewski, który był na urlopie w Sobieszewie koło Jeleniej Góry, zapisał: „Ludność tu zareagowała w sposób klasyczny: rzucono się na sklepy i wszystko wykupiono”.

Polacy wykupywali głównie artykuły pierwszej potrzeby. 21 sierpnia – tego dnia, gdy państwowe media podały wiadomość o inwazji, w tym oświadczenie rządu PRL – w Krakowie sprzedano cztery razy więcej niż zwykle cukru, trzy razy więcej mąki i ryżu, dwukrotnie więcej kaszy i soli. Spowodowało to braki w zaopatrzeniu – nie tylko w Krakowie. W efekcie tu i tam sklepy ograniczały sprzedaż, np. 22 sierpnia w województwie opolskim wolno było kupić naraz tylko 3 kg cukru. Natomiast znacząco zwiększyły się wypłaty gotówki z banków, zwłaszcza na Dolnym Śląsku. Wynikało to z obawy, że może dojść do wojny.

Niespotykaną wcześniej popularnością cieszyła się – przynajmniej w dniu inwazji – państwowa prasa, np. 21 sierpnia wykupiono cały nakład „Gazety Zielonogórskiej”. Jednak źródłem informacji dla Polaków stały się też – jak zawsze w chwilach kryzysu – rozgłoszenie radiowe nadające po polsku z Zachodu, zwłaszcza Radio Wolna Europa. Służba Bezpieczeństwa odnotowywała nawet przypadki otwartego (*sic!*) i zbiorowego słuchania RWE.

Żelazny argument

Choć nie mamy sondaży, jakimi dziś mierzy się nastroje, dysponujemy – po tym, jak otwarto archiwa – innymi narzędziami. Jednym z zadań aparatu państwowego, zwłaszcza SB, było bowiem dostarczanie władzy informacji, co faktycznie myślał obywatel.

Na podstawie uważnej lektury licznych raportów SB można dziś postawić tezę, że w sierpniu 1968 r. władze PRL przegrały walkę propagandową w kwestii „bratniej pomocy” dla Czechosłowacji. Nie oznacza to, że propaganda – prowadzona od dłuższego już czasu – nie przyniosła efektów. Znowu zacytujmy Kisielewskiego, który tak opisywał nastroje w Sobieszewie: „Ludzie przygnębieni, ale słysząc też głosy, że dobrze tak Czechom, bo po co atakują socjalizm i kombinują z Niemcami”.

Skąd tu Niemcy? Aby uzasadnić inwazję i udział w niej armii PRL, władze sięgnęły po żelazne i sprawdzone narzędzie: wizję rzekomego zagrożenia niemieckiego. Oczywiście nie ze strony „dobrej” NRD, lecz „złej” Republiki Federalnej. Wedle tej wersji, „zdradzająca obóz so-



Warszawska ulotka z 23 sierpnia 1968 r. (czerwony dopisek u góry pochodzi od SB).

cialistyczny” Czechosłowacja miała znaleźć się w orbicie wpływów zachodniomiejskich. Władze wykorzystywały wciąż żywe obawy przed Niemcami – wszak Bonn nie uznawało jeszcze w tym czasie granicy zachodniej (stało się to w 1970 r.), a kilka lat wcześniej, po liście biskupów polskich do niemieckich z 1965 r., trwała kampania antykościelna, eksploatująca właśnie te obawy.

Do części Polaków argument ten wciąż przemawiał. I tak, 56-letni Bronisław Kubiczek z Dąbrowy Górniczej w liście do Komitetu ds. Radia i Telewizji z 24 sierpnia 1968 r. pisał: „nie możemy pozwolić, aby nam zagrażał faszyzm, my musimy bronić władzy ludowej (...) i musimy o to dbać, aby Niemcy z NRF nie podnosili głowy, bo gdyby nasze wojska Układu Warszawskiego nie wkroczyły z pomocą Czechom, to by [to] wykorzystali szkopy z RFN, a my ludzie prości nie chcemy więcej Majdanków”. Odzywały się też – wbrew oficjalnie głoszonej przyjaźni – resentymenty antyczeskie, choć taką postawę prezentowała ewidentnie mniejszość Polaków.

Aktywiści zachorowali

Agencja Reutera donosiła w tych dniach z polskiej stolicy: „Ulica warszawska zareagowała [na inwazję] w dwojaki sposób: nastrojem żałoby i gniewem”. „Wielu Polaków było – pisał Reuter w swej depeszy – wstrząśniętych wiadomością o wkroczeniu wojsk Układu Warszawskiego do bratniego kraju socjalistycznego”.

Szczególnie źle „bratnią pomoc” przyjęli, jak się zdaje, robotnicy. Radio Wolna Europa, które informacje o sytuacji w kraju czerpało z wielu różnych źródeł (zachodnich mediów, ale też współpracowników w kraju), podawało: „Oburzenie, jakie wywołała napaść na południowego sąsiada, było powszechne, ale najsilniej wystąpiło wśród robotników. W barach, restauracjach i stołówkach ludzie na głos dawali wyraz swemu niezadowoleniu. W pierwszym dniu inwazji wielu aktywistów PZPR »zachorowało«, bojąc się ludziom pokazać na oczy”.

Warto odnotować, że władze szybko zrezygnowały z organizowanych w zakładach pracy tzw. masówek uświadamiających w sprawie inwazji – jak się można domyślać, nie ze względu na ich sukces.

Historyk Łukasz Kamiński, badający dzieje Europy Środkowej w XX wieku, pisze, że „w pierwszych dniach po rozpoczęciu interwencji zbrojnej w Czechosłowacji zdecydowanie dominowały nastroje oburzenia i potępienia dla agresji”.

Ginę, by nie zginęła wolność

Na protest otwarty, czynny, zdecydowało się wtedy niewielu. Mimo to protestów przeciw interwencji – oraz gestów prawdziwej, niewymuszonej solidarności z południowymi sąsiadami – było wówczas dużo, wręcz zaskakująco dużo jak na społeczeństwo spacyfikowane kilka miesięcy wcześniej, wiosną 1968 r. Przy czym Polacy protestowali nie tylko – choć przede wszystkim – w kraju, ale czasem też na terenie Czechosłowacji, a także w Europie Zachodniej (emigranci).

Najbardziej dramatyczny – i najbardziej dziś znany protest – wybrał Ryszard Siwiec. Ten 59-letni ojciec piątki dzieci i były żołnierz AK dokonał samospalenia 8 września 1968 r. – w trakcie centralnych uroczystości dożynkowych na Stadionie Dziesięciolecia w Warszawie, w obecności stu tysięcy ludzi. Znalaziono przy nim ulotki zaczynające się słowami: „Protestuję przeciw niesprowokowanej agresji na bratnią Czechosłowację”. Tekst kończyło zdanie: „Ginę po to, żeby nie zginęła wolność, prawda i człowieczeństwo”.

Siwiec zmarł cztery dni później w szpitalu. Z dokumentów SB (pod „opieką” której się znalazł) wynika, że do końca nie żałował swego czynu. Niestety, jego dramatyczny gest przeszedł wtedy bez echa: dopiero w kwietniu 1969 r. nagłośniło go Radio Wolna Europa. W międzyczasie ➔



ARCHIWUM IPN

Plakat, który 20-letnia studentka Joanna Koszyk wywiesiła z okna akademika w Krakowie; dostała 10 miesięcy więzienia.

→ bohaterem dla wielu Polaków był czeski student Jan Palach, który zdecydował się na podobny krok w Pradze, w styczniu 1969 r.

Inne protesty były mniej drastyczne, choć czasem przybierały formy skrajne. W Kętrzynie wrzucono petardę do sali konferencyjnej Komitetu Powiatowego PZPR, a na cmentarzu żołnierzy sowieckich we Wrocławiu – ściślej: na słupach trzech bram wejściowych i czołgu stojącym na cokole – namalowano swastyki. Spektakularnym wyczynem było zrzućenie z Rysów tablicy ku czci Lenina. Ponieważ przyszły wódz bolszewików przez chwilę mieszkał w Zakopanem, honorująca go tablica była umieszczona nawet na najwyższym szczycie polskich Tatr – zniszczyli ją Stefan Niesiołowski i Wojciech Majda z podziemnej organizacji Ruch.

Trzy lata za ulotki

Polacy w większości wypowiadali się jednak przeciw agresji na Czechosłowację. Było to zjawisko powszechne. Pozornie wydawało się też bezpieczne. W rzeczywistości bywało jednak przyczyną represji – jeśli wieść o tym doszła do SB i władz. Z tego powodu z pracy został zwolniony wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej w Szczecinie Eliaśz Anderman, człowiek z 20-letnim stażem prokuratorskim, który nazwał inwazję „okupacją i gwałtem – przejawem imperialistycznej taktyki ZSRR”.

Inni mieli jeszcze mniej szczęścia. Robert Komar został zatrzymany przez Wojсковą Służbę Wewnętrzną w Koźlu, gdy

w czasie odprawy rezerwistów powołanych do służby stwierdził, że „w Czechosłowacji rozgniatą się kobiety i dzieci”. Z kolei Jana Karaska zatrzymała SB w Bydgoszczy za to, że „bratnią pomoc” nazwał agresją. Za jej krytykowanie zatrzymywano też na 48 godzin – np. Karola Peluszkę z Bielawy czy Szymona Dębickiego z Rościszowa.

Kolportowano ulotki. Do końca sierpnia 1968 r. SB i milicja odnotowały ich ponad dwa razy więcej niż w okresie burzliwego marca 1968 r., gdy protestowała głównie młodzież. Najwięcej było ich w Warszawie. O pierwszych trzech ulotkach – zawierających wezwanie do udzielenia pomocy Czechosłowacji – meldowano do Warszawy z Chodzieży w województwie poznańskim już 21 sierpnia w południe. Problem był na tyle duży, że 26 sierpnia wiceszef MSW Tadeusz Pietrzak rozkazał podwładnym „organizowanie zasadzek i obserwacji miejsc, z których mogą być wyrzucane [ulotki]”.

Niekiedy działania SB i milicji przynosiły efekty, np. 29 sierpnia aresztowane zostały trzy pracownice Przemysłowego Instytutu Automatyki i Pomiarów w Warszawie: Władysława Badura, Krystyna Rutkowska-Myszkiewicz i Ewa Hołub-Hryniewiecka. To właśnie za druk – przy wykorzystaniu wyżymaczki do bielizny, popularnej w PRL pralki „Frania” – i kolportaż ulotek zapadł najwyższy w przypadku protestów przeciw inwazji na Czechosłowację wyrok: Bogusław Blajfer, uznaną za szefową grupy, która w 1968 r. na najwięk-

szą w kraju skalę produkowała nielegalne druki, skazano na 3 lata więzienia.

Na murach i szosach

Inną formą protestu były napisy na murach. Radio Wolna Europa donosiło: „W samym centrum miasta [Warszawy], w pobliżu placu Konstytucji, wymalowano wielkimi literami niezmywalną farbą nazwisko »Dubczek«. W śródmieściu Wrocławia na asfalcie »nieznani sprawcy« wymalowali w nocy trzema kolorami flagę Czechosłowacji”.

Podobnie jak w przypadku ulotek, napisów było dwa razy więcej niż w marcu 1968 r. Najwięcej odnotowano ich w Krakowie (kilkadziesiąt). Niekiedy umieszczano je w miejscach zaskakujących: np. w kopalni „Makoszowy” w Zabrzu na wózkach kopalnianych 300 metrów pod ziemią. Na naradzie MSW wiceminister Pietrzak stwierdzał: „Charakterystycznym i dotychczas niespotykanym [zjawiskiem] są napisy na szosach, zakładach pracy, na ulicach i na murach – farbą olejną lub kredą. Dotychczas tego rodzaju napisy były rzadkością”.

Część autorów tych napisów wpadło w ręce SB i milicji. Prawdopodobnie najmłodszym z nich był 13-letni uczeń szkoły podstawowej Bogdan Błaszczak, który – jak raportowano – sporządził trzy napisy „białą kredą na terenie miasta Opola”.

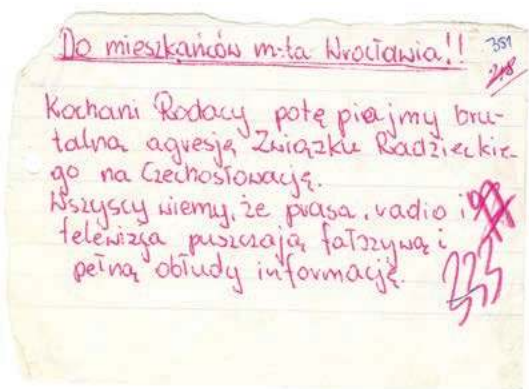
Obok ulotek i napisów pojawiały się też plakaty, choć rzadziej. Pierwszą SB odnotowała 23 sierpnia w Aninie („Precz z okupacją radziecką”) i Przybyszowicach



Kraków, miejsce wykonania napisu nieznane.



Opole: napisy wykonane kredą przez 13-letniego ucznia Bogdana Błaszczaka.



Ręcznie napisana ulotka z Wrocławia.

w Rzeszowskiem („Precz z ZSRR”). Jesienią 1968 r. plakat „Moskale! Ręce precz od Czechosłowacji” wywiesiła z okna akademika 20-letnia studentka UJ Joanna Koszyk (dziś Helander); zrobiła to wspólnie z siostrą i koleżanką.

Za ten trwający 10 minut protest – bo szybko doniósł na nie opiekun akademika – Koszyk została skazana na 10 miesięcy więzienia; zawieszono ją też w prawach studenta.

Goździki ze wstążkami

Kolejną formą wyrażenia protestu było składanie legitymacji partyjnych. Z PZPR występowali głównie naukowcy. Jako pierwsi, już w dniu inwazji, na taki gest zdecydowali się pracownicy PAN, m.in. Bronisław Geremek i Krystyna Kersten. Potem robiły to kolejne osoby – naukowcy, dziennikarze, nauczyciele.

Bardziej ryzykownym gestem było okazywanie solidarności przez składanie kwiatów, zwłaszcza pod ambasadą czechosłowacką. 22 sierpnia Biuro „B” MSW (zajmujące się obserwacją) odnotowało trzy takie przypadki. Z tego powodu zatrzymano m.in. 16-letniego Ryszarda Kirszenbauma. Inne osoby, np. pracownicy Instytutu Badań Literackich PAN Danutę Danecką, „jedynie” wylegitymowano. Zapewne z tego powodu – ambasadę obstawiała milicja – częściej składano kwiaty (zwykle biało-czerwone goździki przewiązane niebieskimi wstążkami) pod Instytutem Czechosłowackim w Warszawie.

Pozornie bezpieczną formą było wysyłanie anonimowych listów z protestami przeciw inwazji. Były one kierowane do zachodnich ambasad (głównie USA) i ambasad Czechosłowacji, a także do władz PRL oraz do radia i telewizji. Prawdopodobnie tylko niewielka ich część trafiła do adresatów: przechwytywała je, w ramach niejawnej cenzury (tzw. perlustracji korespondencji), Służba Bezpieczeństwa. W przypadkach listów uznanych za szczególnie wrogie starano się namierzyć autorów. Czasem z powodzeniem: w Lublinie do aresztu trafił 39-letni Józef Olszak, który pisał listy do ambasad USA i Francji oraz do KC PZPR.

Rzadziej decydowano się na listy publiczne. Najgłośniejszy taki przypadek to list pisarza Jerzego Andrzejewskiego do prezesa Związku Pisarzy Czech Eduarda Goldstückera z września 1968 r., w którym stwierdzał: „ten protest zrodzony z oburze-

nia, bólu i wstydu, jest jedyną rzeczą, jaką w obecnych warunkach mogę ofiarować Panu i Pańskim przyjaciołom i kolegom”. Podobny list do kolegów-kompozytorów wystosował Zygmunt Mycielski.

Więzenie za piosenkę

W sierpniu 1968 r. popularnością cieszyły się też anonimowe utwory satyryczne – jak „List załogi zakładów im. Przyjaźni Polsko-Czechosłowackiej w Suwałkach do braci Czechów”. Powstawały też piosenki, z których najbardziej znana to „Hradec Kralove” Jacka Tarkowskiego. Z kolei za śpiewanie innej piosenki – „o treści krytykującej (...) wkroczenie wojsk polskich w 1938 r. na Zaolzie, a obecnie do Czechosłowacji” – na rok więzienia został skazany student Uniwersytetu Wrocławskiego Stanisław Januszewski.

W kilku miastach – Warszawie, Wrocławiu, Tarnowie czy Kętrzynie – wzywano do udziału w manifestacjach. W efekcie prawdopodobnie do żadnej z nich nie doszło (nie ma takich śladów w dostępnych materiałach). RWE informowała – zaznaczając, że to informacje niepotwierdzone – o rozprawieniu 21 sierpnia przez milicję w stolicy grupy demonstrantów, pod czechosłowacką ambasadą wznoszących okrzyki „Wolność” i „Prasa kłamie”.

Polki na barykadach

Mało znany rozdział to gesty poparcia ze strony Polaków na terenie Czechosłowacji.

W czeskim Jiczynie – na dwa tygodnie przed masakrą, dokonaną tam przez

→ pijanego polskiego szeregowca Stefana Dornę (zastrzelił dwoje Czechów, a kilka osób ranił, w tym swoich kolegów) – w jednej z wielu nielegalnych rozgłośni dwie pracujące tam Polki (Wiesława Morryń z Wołowa i Helena Willas ze Złotoryi) zaapelowały „w imieniu grupy robotników polskich znajdujących się w CSRS” do polskich żołnierzy o zaprzestanie zbrojnej interwencji.

Jeszcze dalej poszły Polki zatrudnione w rejonie Żamberku: uczestniczyły one w budowaniu barykad, które miały blokować przemarsz wojsk.

Polacy pracujący i mieszkający za naszą południową granicą okazywali też solidarność z Czechami i Słowakami w inny sposób, np. przemycając do PRL ulotki i prasę z CSRS, potępiając publicznie inwazję i udział w niej Polaków czy nosząc miniaturowe flagi Czechosłowacji z nazwiskami przywódców Praskiej Wiosny.

Przeciw inwazji protestowała też polska emigracja. Wydawano oświadczenia, a w miastach Wielkiej Brytanii (Londyn, Glasgow) organizowano manifestacje. 23 sierpnia w stolicy Zjednoczonego Królestwa, pod ambasadą PRL, demonstrowało kilka tysięcy Polaków – była to największa manifestacja brytyjskiej Polonii od 1956 r.

Zdarzały się też inicjatywy indywidualne, takie jak pisarza Sławomira Mrożka, który w liście zamieszczonym na łamach „Le Monde” pisał: „Protestuję przeciwko tej agresji. Solidaryzuję się z Czechami i Słowakami”.

Cena solidarności

Dziś, gdy otwarte są archiwa, można stwierdzić, że w sierpniu 1968 r. propagandową i wymuszoną „bratnią przyjaźń polsko-czechosłowacką” zastąpiła spontaniczna i autentyczna solidarność Polaków z wcześniej niezbyt przecież lubianymi Czechami i Słowakami.

A niektórzy Polacy – zatrzymywani, skazywani na więzienie, zwalniani z pracy, wyrzucani ze studiów – za wyrażane publicznie gesty takiej solidarności zapłacili wysoką cenę.

© GRZEGORZ MAJCHRAK

Autor jest historykiem w Biurze Badań Historycznych IPN, zajmuje się dziejami aparatu represji, opozycją, mediami i sportem. Ostatnio opublikował książki „Opozycja na celowniku” (2017) i „Tajna historia futbolu. Służby afery i skandale” (2017).

Powstanie w Treblince: prawda i legenda

KS. ADAM BONIECKI

2 sierpnia 1943 r. żydowscy więźniowie obozu zagłady rozpoczynają walkę zbrojną. W tym samym momencie zaczyna się też gąszcz sprzecznych relacji.

NIE WIEM, CZY KSIĄŻKĘ MICHAŁA Wójcika wypada określać mianem thrillera. „Treblinka 43. Bunt w fabryce śmierci” to opowieść o obozie zagłady, skutecznie spełniającym swoją rolę w ramach Akcji Reinhardt – zagłady Żydów w okupowanej Polsce (konkretnie: w Generalnym Gubernatorstwie i samodzielnym Okręgu Białostockim), przeprowadzonej przez Niemców w latach 1942-43.

O Treblince wiele napisano, lecz Wójcik swoją opowieścią trafia do wyobraźni czytelnika. Jest ona precyzyjna i wiarygodna, bo oparta na sprawdzonych dokumentach – warto podczas lektury zwrócić uwagę na odnośniki i uważnie przeczytać bibliografię. Podane tam źródła towarzyszą nam (w przypisach) nieustannie. Z gąszczu materiałów autor zrekonstruował tamtą potworną rzeczywistość: *dramatis personae* po stronie władz obozowych, postacie cynicznych sadystów, takich jak zawsze ubrany w nieskazitelnie biały mundur komendant Franz Stangl (przez więźniów zwany „Białą Śmiercią”) czy Kurt Franz (zwany „Lalką”). A także bogactwo postaci spośród więźniów. Z opowieści świadków, zeznań oprawców i prowadzonych przez nich zapisków Wójcik odtwarza realia, w których – teoretycznie – nie mogło być miejsca na konspirację i potem na powstanie zbrojne.

A jednak było. Konspiratorzy się organizują, naradzają się – w latrynie, wszędzie, gdzie się da. Na czele konspiracji stoi komitet, którego duszą jest cieszący się autorytetem przedwojenny kapitan Wojska Polskiego Marcel Galewski. Obok niego lekarz Julian Chorażycki, dobry logistyk. Ich plan: „Uciekamy wszyscy albo ginimy wszyscy. Jeśli się uda choć jednemu, będzie to sukces, bo ten jeden powiadomi świat” – mówi Galewski.

Powstanie wybuchło 2 sierpnia 1943 r. „I zaczyna się. Nie tylko walka. Zaczyna się gąszcz sprzecznych relacji” – pisze autor i przeprowadza nas przez ów gąszcz. Dziś wiadomo, że powstanie w Treblince było jedynym przeprowadzonym na taką skalę i zakończonym sukcesem zrywem zbrojnym w obozie zagłady. Wzięło w nim udział 700 więźniów, 300 uciekło, a prawie stu z nich dożyło końca wojny.

Ale na opisie przebiegu powstania i losu uciekinierów książka się nie kończy. Po latach akowiec Władysław Rzymowski ps. „Poraj” publikuje wspomnienia, z których wynika, że było to powstanie polsko-żydowskie. Jego relację, która zdaniem Wójcika jest „wielkim kłamstwem i łgarstwem”, poważnie traktuje historyk Jan Gozdawa-Gołębiowski. I tak oto powtarzana wersja „Poraja” wchodzi do historii. Jedna trzecia książki to zatem kolejny thriller, tym razem polegający na oddzielaniu prawdy od budujących, lecz nieprawdziwych opowieści. W grę wchodzi trzy sprawy: pierwsza to rzekomy wkład AK w sukces powstania. Druga – zasadność legendy o wspieraniu przez polską ludność uciekinierów z obozu. Trzecia wreszcie – pytanie o gotowość czy raczej brak gotowości AK i rządu do obrony mordowanych Żydów.

W ten sposób znów dochodzi do głosu stary spór – między zbiorową pamięcią a historią. I bardzo dobrze, że dochodzi. ©P



Michał Wójcik
**TREBLINKA 43. BUNT
W FABRYCE ŚMIERCI,**
Znak, Kraków 2018

WOJCIECH

Bonowicz:

W erze tupetu



ŚWIAT SIĘ ZROBIŁ BARDZO PRZEJŚCIOWY. Wszystko jakieś takie, jakby miało zaraz zniknąć. Człowiek dom buduje, fundament solidny wylewa, ale czy ten solidny fundament sam na solidnym fundamencie stoi – nie wiadomo. Ziemia usuwa się spod nóg.

Drzewo dziś posadzone, jutro może być wycięte. Dziś park, jutro osiedle. Dziś jezioro, jutro market. Powoli nawet i to dziwić przestaje, że ten sam człowiek jednego dnia mówi to, a drugiego tamto, i wcale się przy tym nie wstydzi. Normalna rzecz – tylko krowa nie zmienia poglądów. Zawsze kochałem się w krowach, teraz rozumiem dlaczego.

Nie, nie panikuję. Ani nie jestem wściekły. Owszem, jestem smutny, kiedy widzę tę panoszącą się dookoła nietrwałość. Może wszyscy tak mają? Może stąd bierze się np. nasza pomniko- i tablicomania? Wszystko nietrwałe, a pamięć ludzka najbardziej, więc dalejże to lub owo w spizu upamiętniać, na widocznym miejscu umieszczać, do ziemi albo muru solidnie przytwierdzać. Jak się solidnie osadzi, przyśrubuje, zabetonuje, to będzie, a jak nie – to szukaj wiatru w polu. Ziemia z posad wstanie, morze z brzegów wystąpi, wybory mogą zostać przegrane, ale przecież to, co przyśrubowane, osadzone, wbetonowane – przetrwa!

Człowiek potrzebuje się zapisać w pamięci pokoleń – to jest rzecz normalna. Człowiek po to chodzi po tej ziemi, żeby ślady zostawiać. A im wyraźniejsze, tym lepiej. Cóż, że dom pośród innych domów niczym grzyb atomowy wystaje? Jest wyraźnie? Jest. Nikt nie powie, że nie widać, skoro widać. Nagrobek taki,

że mała wioska by się doń zmieściła? I dobrze. Dużego grobu nie ruszy: ani powódź, ani wojna, ani nieżyczliwa ręka. A głupi ten, któremu nie zależy.

Ludzie tracą panowanie nad sobą. A wszystko z tego poczucia nietrwałości. Ludzie tracą miarę, bo jak tu wymierzyć, co wypada, a co nie, co jeszcze stosowne, a co już przesadne, gdy nie wiadomo, na czym się oprzeć. Dobrze to widać i w świecie słów. Co znaczy zwykle słowo zwykłym tonem wypowiedziane? Nie hukniesz, nie usłyszysz. Nie umiem już słuchać rzeczy dyskretnych, jak powiada filozof Hans-Georg Gadamer. Szum jak w ulu, a w tym szumie człowiek sam jak chodzący ul. Mogą sobie filozofowie i mistrzowie duchowi nawoływać: idź na pustynię, wejdź w ciszę, nie mów, tylko słuchaj. Gdzie tam. Cichy znaczy: nie żyje. Bo jak żyje, to musi mówić. A jak mówi, to powinien tak, żeby jego głos nie zginął w gwarze innych głosów. O pewnym sołtysie z podziwem szeptało: „Mały, ale głos to ma!”. Bo rzeczywiście: na zebraniach dał się tak, że go na końcu wsi było słychać. Człowiek mały, a głos duży i chcesz czy nie chcesz, słuchać musisz. Czas i pamięć zresztą to także zweryfikują: Napoleon z cesarza stać się może kierownikiem Carrefoura.

To, co stało się z etosem Solidarności, najzwyczajniej i najcelniej spuentował Tischner: „Wymiana heroizmu na tupet”. Słowem „tupet” można by dziś opisać wiele zjawisk w polityce, ekonomii czy publicystyce, zresztą nie tylko w Polsce. Niezauważenie beczelność stała się cnotą, a brak smaku zaczęto nazywać wyrazistością. Dziś już żaden czynny polityk nie ośmieli się powiedzieć, że trzeba by spokojniej, oszczędniej, roztropniej, że powinno się wysłuchać, zbudować konsensus, wspólnie nad czymś popracować... Przecież za dziesięć, dwadzieścia lat tu nadal będzie życie! Ale nie. Lepiej uprawiać politykę tak, jakby świat miał się skończyć wraz z nami.

Nie, nie marudzę ani nie panikuję. Może nawet przesadzam. Ale to dlatego, że mi się te krowy przypomniały. Chodziliśmy za nimi wzdłuż pól, tłukliśmy baki, które obsiadały im boki, a one odwodziły się nam powłóczytymi spojrzami. Miały wyznaczony czas, krótki, krótszy znacznie niż my, a patrzyły na nas, jakby to one były wieczne, a my szybko przemijający. Myśmy biegli, a one szły. Kto zaszedł dalej? ©



NA LATO I NA LATA. CZYTAJ „TYGODNIK” W PRENUMERACIE

Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat – możesz kupić krajową, ekonomiczną prenumeratę wydania papierowego „TP” w ofercie **POKOLENIA** za 300 zł rocznie. ■ Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu opisanymi poniżej. Kupując krajową prenumeratę przez stronę tygodnikpowszechny.pl, masz możliwość zamówienia wydania specjalnego „TP” „Polska od nowa” – z dostawą do domu!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta **POKOLENIA** – 300 zł na rok

■ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

TA STRASZNA BIAŁA TKANKA

Współczesny świat został wspaniale urządzony, żeby nas utuczyć.
Ruszamy się coraz mniej – bo w końcu nie musimy – a jemy coraz więcej.
Bo w końcu możemy.

ŁUKASZ SAKOWSKI

TYJEMY NA NIESPOTYKANĄ WCZEŚNIEJ skalę. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) podaje, że w 2016 r. 39 proc. osób dorosłych na naszej planecie miało nadwagę, w tym 13 proc. kwalifikowało się jako osoby otyłe. Przyczyną jest nadmierny dobrobyt, obejmujący – z czego właściwie należałoby się cieszyć – coraz więcej osób. Ale nie tylko.

Miliony lat głodowania

Przez miliony lat jako ludzie, a wcześniej jako nasi nieludscy przodkowie, ewoluowaliśmy w warunkach niedoboru żywności i konieczności zdobywania jej przy dużych nakładach energii. Trzeba było poszukać owoców lub pędów albo jajek w gniazdach. Wspiąć się na drzewo czy przejść na drugą stronę rzeki, zachowując ostrożność, aby nie dać się złapać drapieżnikom. Upolować większe od siebie zwierzę lub uprowadzić jego młode. Znaleźć źródło wody – której dzisiejsza dostępność w plastikowych opakowaniach byłaby dla naszych, nawet jeszcze nie tak dawnych przodków niewyobrażalna.

Dopiero wynalezienie rolnictwa w pewnym stopniu zahamowało ten trend, ale ludzie nadal byli znacząco zależni od kapryśnej pogody i od klimatu, od plag szkodników, pożarów, wojen. Nawet więc gdy pożywienie było w miarę trwale dostępne, przez tysiąclecia nie

można było mówić o nadmiernym dobrobycie. Zmieniło się to właściwie dopiero w drugiej połowie XX w., wraz z rozwojem naukowym i technologicznym. Podczas gdy jeszcze w pierwszej jego połowie głód dotykał nawet te kraje, które już wtedy uchodziły za bogate i cywilizowane, obecnie sytuacja taka jest dla nas nie do pomyślenia. Na sklepowych półkach mamy do dyspozycji tysiące produktów. Żywność nigdy nie była tak tania i łatwo dostępna, jak obecnie w krajach rozwiniętych. Przeciętny ich mieszkaniec nie jest w stanie wyobrazić sobie, aby dla zdobycia jedzenia trzeba było dokonać prawdziwego wysiłku – nie tylko wyjść na chwilę z domu do sklepu.

Jesteśmy ewolucyjnie przystosowani do wzmózonego gromadzenia energii, ponieważ przeważającą większość historii ewolucyjnej naszego gatunku żyliśmy w warunkach okresowego niedożywienia. Posiadamy mechanizmy pozwalające w prosty sposób odkładać spożyte kalorie w tkance tłuszczowej i w wątrobie. Problemy z nadwagą i otyłością są zatem efektem nieprzystosowania się naszego gatunku do drastycznie szybko zmieniającego się środowiska – życia w skrajnym dobrobycie, nieznanym nigdy wcześniej. Patrząc z takiej perspektywy, widzimy, że część chorób zwanych cywilizacyjnymi to przewidywalne skutki ewolucji. Zagad-

nieniem tym zajmuje się dziedzina zwana medycyną ewolucyjną.

Wszystkie barwy tłuszczu

Tkanka tłuszczowa, obok kostnej czy chrzęstnej, należy do grupy tkanek łącznych. Przeciętnie większy procent ciała stanowi u kobiet – do około 25 proc. U mężczyzn może wynosić do około 20 proc. Tkanka ta nie jest jednolitym tworem. Składa się z różnych komórek: tłuszczowych (adipocytów), prekursorowych komórek tłuszczowych (preadipocytów), z których powstają dojrzałe adipocyty, a także z towarzyszących im, mniej licznych fibroblastów (syntetyzujących kolagen) czy komórek nabłonkowych naczyń krwionośnych oraz makrofagów (komórek odpornościowych tkanki łącznej).

Wyróżniamy także różne typy tkanki tłuszczowej posiadające odmienną budowę komórkową i w związku z tym inne pełnione przez nie funkcje. Wyodrębnia się tkankę tłuszczową białą (nazywaną również żółtą), brunatną (brązową), beżową i różową. Czym różnią się od siebie i za co odpowiadają?

U ludzi najwięcej jest tkanki tłuszczowej białej, która tworzy zniechęcone przez nas fałdki. Jest jej sporo pod skórą, w okolicach serca czy nerek, a także jąder. Przy badaniach metabolizmu lipidowego na zwierzętach (zwłaszcza szczurach) bardzo



często wykorzystuje się tę ostatnią lokalizację. Komórki tłuszczowe białe są duże, wypełnione po brzegi tłuszczem w postaci jednej kropli. Gromadzą także witaminy rozpuszczalne w tłuszczach (A, D, E, K) i karotenoidy mogące nadawać im żółtawą barwę. Rozmiar białych adipocytów może być różny – od 20 mikrometrów średnicy do nawet ponad 100 mikrometrów (czyli od 1/50 do 1/10 milimetra) średnicy – i jest większy u osób otyłych.

Funkcje tkanki tłuszczowej białej to przede wszystkim magazynowanie zapasów energii w postaci estrów kwasów tłuszczowych i glicerolu oraz syntetyzowanie tłuszczu (w procesie lipogenezy)

i rozkładanie go (poprzez lipolizę). Organizm może dzięki rezerwurowi lipidów w tkance tłuszczowej wytrzymać nawet do 30-40 dni bez spożywania normalnych posiłków. W 1973 r. w literaturze medycznej opisano przypadek Szkota, który w kontrolowanych warunkach i pod ciągłym nadzorem lekarskim pościł przez 382 dni, przyjmując wyłącznie płyny i suplementy diety. Stracił w tym czasie 125 kg, głównie tłuszczu.

Tkanka tłuszczowa biała izoluje ponadto termicznie organizm oraz wydziela hormony (m.in. leptynę i adiponektynę) odpowiedzialne za regulację metabolizmu tłuszczowego organizmu czy uczu-

cia głodu. Wreszcie, jej zadaniem jest też ochranianie narządów wewnętrznych i amortyzacja podczas upadków.

W drugiej kolejności wymieniana jest zwykle tkanka tłuszczowa brunatna. Umiejscowiona jest przede wszystkim na szyi, między łopatkami i w okolicach narządów płciowych. Jest jej stosunkowo więcej u dzieci niż u osób dorosłych. Zaobserwowano także, że zwierzęta zapadające w sen zimowy mają jej obfitsze zasoby. Komórki tkanki tłuszczowej brunatnej w przeciwieństwie do adipocytów białych mają nie jedną, dużą kroplę tłuszczu, ale więcej mniejszych.

Zarówno lokalizacja tkanki tłuszczowej brunatnej, jak i jej silniej zaznaczona obecność u młodych osobników i gatunków zimujących wskazuje na jej funkcje: przede wszystkim termoregulację. Tkanka tłuszczowa brunatna przeprowadza termogenezę – wydzielanie ciepła – z pomocą białka termogeniny, obecnego w mitochondriach komórek tej tkanki. Dzieci są bardziej narażone na utratę ciepła, a u zwierząt hibernujących na zimę tkanka tłuszczowa brunatna pomaga zachowywać odpowiednią temperaturę ciała, kiedy jest to potrzebne.

Dodatkowo wyróżniane są: tkanka tłuszczowa beżowa o cechach hybrydowych między tkanką tłuszczową białą i brunatną oraz tkanka tłuszczowa różowa, która znajduje się w gruczołach mlekowych u ssaków w trakcie ciąży i w okresie laktacji. Jako tkanka tłuszczowo-nabłonkowa bierze udział w produkcji mleka.

O tyle krócej żyjesz

Istnieją różne nazwy na stan nadmiaru tkanki tłuszczowej białej. Dla oceny, czy mamy do czynienia z nadwagą, czy otyłością, służy u ludzi wskaźnik masy ciała BMI (ang. Body Mass Index). Jest to wynik otrzymany poprzez podzielenie masy ciała (kg) przez jego wysokość (m) podniesioną do kwadratu. O nadwadze mówimy, jeśli wskaźnik BMI wynosi od 25 do 30. Otyłość – która jest już jednostką chorobową – zaczyna się od wskaźnika BMI wynoszącego 30. Od wyniku 35 mamy do czynienia z otyłością ciężką, od 40 z chorobliwą otyłością, a przy wyniku wskaźnika BMI wynoszącym 45 lub więcej – z otyłością trzeciego stopnia.

Otyłość to stan zagrażający zdrowiu oraz życiu i nie bez powodu uznawany jest za chorobę. Ze względu na zaburzenia ➔

→ gospodarki hormonalnej i przemian metabolicznych oraz obciążenie kości i stawów u osób otyłych wyższe jest ryzyko wystąpienia wielu chorób. Należą do nich np.: cukrzyca typu drugiego, miażdżyca, kamica żółciowa, nadciśnienie tętnicze, choroby nerek, uszkodzenia stawów czy nowotwory. W efekcie u osób otyłych może częściej dochodzić do udarów, wykwadów, zatorów lub złamań. Problemem są też kwestie związane z wyglądem, jak np. cellulit czy rozstęp. W związku z tym u osób otyłych oczekiwana długość życia jest niższa od przeciętnej. 30-latek z BMI równym 34 traci ok. 3 lata życia. Jeśli jego BMI wynosi 44 – już 7 lat.

Istotne są także społeczne skutki otyłości. Nie chodzi tu tylko o kwestię atrakcyjności fizycznej. Otyłość wiąże się też z wykluczeniami społecznymi związanymi z ograniczeniami w poruszaniu się czy niepełnym dostępem do infrastruktury miejskiej. Badania pokazują, że otyłość prowadzi do większych problemów ze znalezieniem pracy, a sama infrastruktura zapewniana przez pracodawcę wymaga ponoszenia większych kosztów. W roku 2005 koszty medyczne związane z otyłością w USA wyniosły aż 190 miliardów dolarów, co stanowiło prawie 21 proc. wszystkich wydatków w służbie zdrowia. Ponosi je zatem całe społeczeństwo – nie tylko osoby chore i ich rodziny.

Skład brzuszek i co z nim dalej?

Największe znaczenie dla nadwagi ma nasza dieta, a mówiąc ściślej: liczba spożywanych kalorii. W ostatnich dekadach wzrosła dostępna ilość żywności w przeliczeniu na liczbę kalorii na osobę. Szacuje się, że w USA w latach 2001-03 średnia liczba kilokalorii na osobę wynosiła powyżej 3700 na dobę, podczas gdy zapotrzebowanie jest o około jedną trzecią mniejsze.

Towarzyszy temu coraz mniejsza aktywność ruchowa. To, co niegdyś wymagało od nas wysiłku, dziś robią za nas w znacz-

Używając pralek, zmywarek i blenderów,

spalamy znacznie mniej kalorii niż nasi przodkowie.

Najłatwiej ruszać się wtedy, kiedy jest to konieczne.

nym stopniu maszyny. Samochód, pralka, zmywarka, blender i automatyczny młynek do kawy to świetne wynalazki, jednak ich używanie niesie ze sobą poważny koszt: dramatyczne zmniejszenie liczby spalanych przez nas kalorii. Znacznie trudniej jest się zmusić do ruchu w celach hobbystycznych czy zdrowotnych niż ruszać się po prostu dlatego, że musimy.

Choć znane są dziesiątki diet, rosnąca grupa dietetyków namawia po prostu do zdrowego rozsądku. Prof. Marion Nestle z Uniwersytetu w Nowym Jorku mówi tak: „Choć może się wydawać, że zalecenia dietetyczne stale się zmieniają, jedna fundamentalna prawda nigdy nie ulega zmianie: jedz mniej, ruszaj się więcej, zjadaj dużo warzyw i owoców”. D. Katz i S. Meller z Yale University w 2014 r. dokonali potężnego badania porównawczego rozmaitych diet: niskotłuszczowej, niskowęglowodanowej, wegańskiej, śródziemnomorskiej, paleolitycznej... W podsumowaniu odwołują się do metafor drzew, zza których nie widzimy lasu. „W natłoku konkurujących ze sobą też ginie ogrom posiadanej przez nas, dobrze potwierdzonej wiedzy”. Wszystkie główne typy diet można ich zdaniem sprowadzić do jednego stwierdzenia: „jedz nie za dużo, głównie rośliny”.

To samo mówi polski dietetyk dr Damian Parol. „Fundamentalną rzeczą w odżywianiu jest odpowiednia podaż energii w postaci jedzenia. Jest to bardzo proste założenie, ale wprowadzenie go w życie nie zawsze jest łatwe. Stąd jest tyle wymyślnych diet. Każda z nich próbuje na nowo wymyślić, jak dostarczyć odpowiednio albo za mało kalorii i nie czuć się głodnym oraz sfrustrowanym. Wbrew pozorom wiele z tych dziwnych diet spełnia to założenie i rzeczywiście pomaga zredukować spożycie kalorii, chociaż często jest to kosztem wartości odżywczej oraz bywa trudne do zrealizowania w dłuższej perspektywie”.

Niemalą rolę w rozwoju otyłości grają także czynniki genetyczne i epigenetyczne [o dziedziczeniu epigenetycznym pisaliśmy w numerze 31 – red.]. Mają one związek przede wszystkim z różnymi wersjami i ekspresją genów odpowiedzialnych za metabolizm lipidowy oraz za regulację uczucia głodu i sytości.

Do czynników biologicznych wpływających na ryzyko wystąpienia otyłości należy dodać jeszcze dwa. Pierwszy to ekosystem bakteryjny naszego przewodu pokarmowego, czyli tzw. mikrobiom. Odpowiednie metabolizowanie spożywanych związków chemicznych przez bakterie jelitowe może obniżać lub podwyższać wchłanianie tłuszczu. Dlatego tak ważne są w naszej diecie bakterie z rodzaju *Lactobacillus*, obecne w fermentowanych produktach pochodzenia mlecznego. Niektóre szczepy z gatunku *Lactobacillus rhamnosus* wykazują działanie „anty-otyłościowe”. Jeszcze jednym czynnikiem biologicznym są choroby. Mogą zaliczać się do nich zaburzenia hormonalne i psychiczne (np. depresja czy zaburzenia lękowe). Poza biologicznymi przyczynami występowania nadwagi i otyłości znacznie ma jeszcze element kulturowy, np. zwyczaje kulinarne czy moda.

Na kwestię przeciwdziałania otyłości należy patrzeć systemowo. Z punktu widzenia jednostki istotne są nawyki żywieniowe oraz aktywność fizyczna, ale aby skutecznie rozwiązywać problem nadmiernego spożywania kalorii czy zbyt małego wysiłku ruchowego, potrzebna jest mądra edukacja o tym, jakie konsekwencje niesie za sobą nieodpowiedni tryb życia.

Kolejny stopień to profilaktyka. Ciekawym i, jak pokazują badania, skutecznym sposobem jest podnoszenie podatków na słodkie, wysokokaloryczne produkty. W jednym z dużych opracowań, opartym na testach przeprowadzonych w USA, Meksyku, Francji i Brazylii, pokazano, że objęcie słodzonych napojów akcyzą wiąże się nie tylko z utratą masy ciała przez statystycznego konsumenta, ale również z przeniesieniem się na zdrowsze produkty, takie jak stuprocentowe soki owocowe. Tak naprawdę dobrze wiadomo, co trzeba robić, żeby mieć prawidłową wagę. Nikt nie wie jednak, co robić, żeby to zrobić.

© ŁUKASZ SAKOWSKI

Autor jest biologiem i popularyzatorem nauki. Prowadzi blog naukowy www.totylkoteoria.pl



ŁUKASZ SAKOWSKI będzie gościem Teresy Drozdy we wtorek 14 sierpnia

o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

PAWEŁ

Bravo: Globalizacja hedonizmu



SIEDEMDZIESIĄT OSIEM TYSIĘCY. TYLE TON cheddara sprowadzają rocznie Brytyjczycy z Irlandii. Aż 60 proc. sera, który zjadają, pochodzi z importu. W miarę jak zbliża się perspektywa brexitu w wersji *no deal* – czyli wyjścia z Unii bez układów prze-

ściowych czy umów o wolnym handlu z resztą Europy – dumni poddani królowej Elżbiety zaczynają się orientować, w co się wpakowali, głosując za odzyskaniem kraju dla siebie. Zostaną np. bez swoich paczkowanych kanapek z trójkątnego chleba, spożywanych w liczbie dwóch miliardów rocznie, które stanowią być może jedyny wkład współczesnej Anglii w dziedzictwo kulinarne epoki (piszę bez ironii – traktuję kanapki poważnie i namiętnie aż do granic przesady, i wyrażam nimi czułość do karmionej osoby).

Irlandzki ser obłożony cłem stanie się zbyt drogi, podobnie jak szynka lub boczek z importu, nie wspominając o sałacie, która prawie cała przyjeżdża z okolic hiszpańskiej Murcii i może zacząć gnąć w tirach stojących w kolejce do odprawy celnej w Dover.

Co wspólny rynek złączył, tego żadne referendum nie rozłączy. Jakże niesłusznie dziś lekceważony Henryk Sienkiewicz miał bystre oko do metapolityki (czego dowodem zapomniana niezasłużenie powieść „Wiry”) i już dawno zaklął tę ideę w proroczej formule „złapał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma”.

Ale w całej tej historii to nie Brytyjczycy budzą moją grozę. W równaniu kupieckim są przecież dwie strony i jeśli ktoś przestaje kupować, to znaczy, że ktoś inny nie może sprzedać. Biedni Irlandczycy mogą zaraz zostać z górą cheddara. Uwielbiam go i solennie deklaruje – halo, Dublin! – że zwiększę spożycie o dwanaście kilo rocznie, ale to za mało, żeby rozwiązać problem z nadprodukcją tego sera. Dlatego Irlandia przymierza się do przestawienia na inny produkt – i tu najlepszą kandydatką jest... mozzarella. A konkretnie to białe coś o konsystencji gutaperki spotykane na zapiekankach i mrożonych pizzach. Nie jestem dogmatykiem, rozumiem potrzebę ich istnienia. No ale jednak sami przeczytajcie to powoli na głos: sto tysięcy ton irlandzkiej mozzarelli. Dobry symbol świata zniwelowanych granic i różnic. Siedzimy w tej kadzi po uszy.

Właśnie o tym myślałem, czytając nekrologi zmarłego tydzień temu Joëla Robuchona, utytułowanego i zasłużonego francuskiego szefa kuchni, jednego z tych papieży gastronomii, których pożegnac uważa za konieczne nawet sam prezydent. Wszystkiego do kupy miał ponad trzydzieści gwiazdek Miche-

lina przyznanych restauracjom rozsianym po całym świecie, w miejscach tak odległych od Paryża jak Bangkok czy Las Vegas.

Stawiał – czytamy – na prostotę, ale któż tak dzisiaj nie mówi? Wniósł istotnie wkład w odkrochmalenie świata wysokiej gastronomii – jego lokale, zwane dla mniejszej oficjalności atelier, miały strukturę długiej barowej ławy otaczającej wyspę otwartej kuchni. Siedziało się obok współbiedniaków, patrząc na ręce kucharzom. Choć bez ekscesów, ale pozostawał w orbicie malarskiej i przerafinowanej kuchni kropek, maźnięć i kwiatków. Burak karmelizowany z jabłkiem to świetne połączenie (choć pozostaje jeszcze długa dyskusja: jakie jabłko?), ale żeby nie było za prosto, do tego na łożeczku kwiatków i kieleczków sorbet z kapusty sarepskiej, czyli jednej z odmian gorczycy.

Najciekawsze mi się wydało, że Robuchon *de facto* rozwijał globalną sieć ciocię, tyle że z najwyższej półki – ze świetnymi rzeczami robionymi przez znakomicie szkolonych ludzi. Ale czy Makao, czy Montreal – burak z jabłkiem miał być ten sam. Nie wiem, skąd pochodził, może z Polski? Nie wnikać w tajemnice logistyczne globalnej firmy – na tym poziomie luksusu cła i koszty transportu nie stanowią problemu, podobnie jak wyhodowanie na miejscu tego, czego nie da się sensownie przywieźć z drugiej półkuli.

Strategia ekspansji Robuchona była wykwitem hedonizmu w wersji zglobalizowanej, czerpała maksimum korzyści z tego, że wszystko wszędzie da się sprowadzić lub zduplikować. Młodsze pokolenie wielkich francuskich szefów obiera wyraźny trend na rygorystycznie rozumianą lokalność: prowadzą jedną knajpę, często na uboczu, kupują lokalnie i sezonowo. Niby nic nadzwyczajnego, a jednak taki partykularyzm równa się rezygnacji z potencjalnych zysków, jakie może przynieść „uświatowienie”.

Kto wie, może Brytyjczykom granica z Irlandią wyjdzie jeszcze na zdrowie – sam jestem ciekaw. Coś w końcu muszą do kanapki wsadzić. ©P



Byłbym niesprawiedliwy, nie wspominając, że Robuchon miał jedno proste danie: sławne *purée* ziemniaczane. Warto się mu przyjrzeć bliżej, bo jest w nim pewna magia. Proporcje na 1 kg ziemniaków: wybieramy te najbardziej skrobiowe (mączne), znane w handlu jako typ C, na Mazowszu to mogą być np. miłki albo orliki. Pierwsza sztuczka Robuchona: gotujemy je w osolonej wodzie w mundurach, aby jak najmniej nasiąkły. Woda to wróg wszelkiej kremowości. Obieramy jeszcze gorące – jest w tym wątek cyrkowy, zrobić to bez poparzenia się to niezła żonglerka. Przepuszczamy przez praskę do grubodennego garnka na małym ogniu i mieszamy drewnianą łyżką, żeby jeszcze odparowały. Dodajemy po troszku aż 250 g masła (!!!), zgodnie z zasadą francuskiej kuchni, że na każdy problem jest jedno rozwiązanie: więcej masła. Potem dolewamy cieniutką strzyżką 200 ml bardzo gorącego mleka. Mieszmamy, pod koniec możemy łyżkę zamienić na trzepaczkę. Na koniec sól do smaku. Pieprz – albo lepiej gałka muszkatołowa. A teraz jeszcze mój skromny patent: do gotowania ziemniaków dodajemy kawałek selera (ok. 1/5 wagi ziemniaków) i ucieramy potem razem ze wszystkim.



OPIUM WYPALONYCH

Ma 31 lat, rocznie wydaje średnio sześć powieści,
które od razu podbijają listy bestsellerów.
Czy Remigiusz Mróz wie o Polakach coś,
czego nie wiedzą socjologowie i psychoterapeuci?

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

INTERNAUTKA PODPISUJĄCA SIĘ JAKO Michalik Edyta komentuje: „Pan szybciej pisze, niż niektórzy czytają”. I ma rację. Ledwo kończysz jedną powieść Remigiusza Mroza, a już pojawia się następna. Weźmy tylko rok 2018. Ostatniego dnia stycznia do księgarni trafił thriller psychologiczny „Nieodnaleziona”, 14 marca – „Testament”, siódmy tom serii kryminalnej z prawniczką Joanną Chyłką i jej aplikantem Kordianem Oryńskim, 9 maja – „Zerwa”, piąty tom z komisarzem Wiktoorem Forstem oraz opowiadanie pt. „Hakowy” w zbiorowej książce „Zabójczy pocisk”, 23 maja kolejne opowiadanie w książce „Inne światy”, 18 lipca ukazał się „Hashtag”, a do grudnia jeszcze daleko. Pięć lat po debiucie Remigiusz Mróz ma na koncie już 29 powieści.

Urodził się w 1987 r. w Opolu. Po maturze wyjechał do Warszawy, w Akademii Leona Koźmińskiego zrobił doktorat z prawa, po czym został pełnoetatowym pisarzem. Jeżeli komuś jego kariera kojarzy się z przypadkiem innego trzydziestoparolatka z Opolu, który po emigracji do Warszawy zasłynął z szybkiego pisania ustaw i chce być prezydentem stolicy, jest to trop zarazem mylny, jak i dobry. Mróz nie ma establishmentowych ciągów, poglądy polityczne ujawnia rzadko, a jego powieści trzymają taki suspens, w przeciwieństwie do twórczości krajana. Poza tym w Warszawie już nie mieszka, wybrał podolską prowincję, gdzie może – zwierzał się – do woli biegać po lesie.

Trudno jednak zaprzeczyć, że obaj należą do pokolenia, które niczym się nie zraża, nie tyle idzie, co mknie do przodu i nawet z największej głuszy będzie nadawać do mediów społecznościowych o swoich niestających sukcesach.

A ty, czytelniku, możesz zostać wiernym fanem i internetowym foloersem. Możesz też trąbić o tym, że to karierowiczostwo, grafomania i kreowanie wizerunku. Usłyszysz cię tylko garstka sceptyków, a ty nabawisz się kompleksów. Jak się ich nie nabawić, kiedy Mróz jest jak wykrojony z poradnika samorozwoju? Ponadnormatywnie pisze, codziennie biega, czyta innych pisarzy i zdrowo się odżywia. Skoro człowiek to najlepsza inwestycja, to on jest wzorowym przedsiębiorcą samego siebie. Sprzedał miliony egzemplarzy książek, jak nikt inny w Polsce. Jeśli tak dalej pójdzie, dożyje setki, mając w dorobku co najmniej 444 powieści.

Jak pan to robi?

Nie ma w nim nic z bohemy. W mediach i na spotkaniach autorskich występuje w koszuli i garniturowej marynarce, przypominając raczej pracownika korporacji niż kultowego pisarza. Żadnych skandali, romansów, używek i niepatriotycznych zachowań. Plotka zaś, że Remigiusz Mróz to pseudonim, za którym kryje się grupa autorów albo internetowy bot, szybko okazała się fałszywa. Środowisko prawnicze i kryminalnoliterackie wielokrotnie potwierdziło tożsamość autora. A ten zawsze

uprzejmie, wręcz kokieterystycznie wypowiada się o koleżankach i kolegach po fachu.

Jego profile na Facebooku i Instagramie są grzeczne, żeby nie powiedzieć – nudne. Selfie z Katarzyną Bondą czy tweet od Harlana Cobena gratulującego mu pierwszego miejsca na liście bestsellerów Empiku przeplatają się ze zdjęciami z górskich wycieczek. Powieści dedykuje rodzicom, a dla przyjaciół zawsze ma czas w grafiku, choć nie wiadomo kiedy. Kim więc jest Remigiusz Mróz? Ubrany dla niepoznaki w garnitur i krawat operatorem powieściowej taśmy produkcyjnej? Pupilkiem towarzystwa wzajemnej adoracji, które tworzą autorzy książek kryminalnych? A może zwyczajnym, nieco introwertycznym chłopakiem, któremu co jak co, ale pisanie przychodzi z ogromną łatwością?

Wywiady, których udziela, są do bólu przewidywalne i nie dają jasnej odpowiedzi. Powraca w nich pytanie: „Jak pan to robi?”. A robi to tak: dzień w dzień pisze 10-15 stron tekstu, w dwóch sesjach przedzielonych czymś dla ciała (bieganie i pizza z orkiszem) oraz ducha (serial). Kończy pracę pół godziny przed północą. Potem czyta dla przyjemności, a pytany o ulubionych pisarzy, jednym tchem wymienia Stephena Kinga, Jo Nesbø, Håkana Nesserera, Stiega Larssona, Kena Folletta, Jeffreya Archera i Bernarda Cornwella.

Mistrzem słowa jest dla niego Wiesław Myśliwski. Zaznacza jednak, że tytuł „Traktat o łuskaniu fasoli” był nierynkowy, bo ➔

→ zniechęcał czytelnika agrarną konotacją. Sam za to chętnie pozuje przy biurku zastawionym wieżami przeczytanych powieści. Weekendów i świąt nie uznaje za przerwę od pracy, a nawet gdyby mu się taka zdarzyła, to kilka niewydanych fabuł ma w szufladzie. Napisanie powieści zajmuje mu średnio miesiąc.

W jego życiu nastąpił zwrot akcji rodem z książek Napoleona Hilla, prekursora poradników o tym, jak odnieść sukces w czasach drapieżnego kapitalizmu. Otóż Mróz postawił wszystko na jedną kartę czy raczej na setki stron powieści czekających na twardym dysku komputera. Po doktoracie zrezygnował z zawodu prawnika i zaczął realizować projekt „pisarz”. Nim debiutował, otrzymał szereg odmów od wydawców.

Pierwszą ukończoną książką była „Prędkość ucieczki”, otwierająca wojenny cykl „Parabellum” (połączenie „Stawki większej niż życie” i „Czasu honoru”), ale ukazała się w 2013 r. jako druga po udającej amerykański kryminał „Wieży milczenia”, równocześnie rozsyłanej do wydawców. W 2016 r. do kryminalnej Nagrody Wielkiego Kalibru nominowano dwie jego powieści, co było precedensem w historii tego wyróżnienia. Ostatecznie „Kasacja” otrzymała nagrodę czytelników. Powstają też trzy serie na podstawie jego trzech powieściowych cykli. W tym roku „Nieodnaleziona” wkroczył na rynek niemiecki, czeski, serbski, bułgarski i japoński. Trafił też pod skrzydła wziętej brytyjskiej agentki Madeleine Milburn i przymierza się do podboju krajów anglosaskich.

Mróz wydaje się skromny i onieśmieszony sukcesami. Jednocześnie wszędzie go pełno. Regularnie donosi, jak bardzo jest zaskoczony powodzeniem swoich książek. Odnotowuje każdą pozytywną recenzję i każde podium na listach bestsellerów. Skromność obnoszona po mediach zamienia się w wizerunkową grę polegającą na nieustannym zapewnianiu o niewinności w świecie kreowanym przez masowe wydawnictwa i agentów literackich. Strategią w tej grze jest opowiadanie o tworzeniu fabuł tak, jakby to było wywoływanie duchów. „Ja jestem tylko protokolantem. Na początku mam wprawdzie całkiem sporo do powiedzenia, ale im głębiej w las, tym mniejsza jest moja rola. Bohaterowie przejmują inicjatywę, zaczynają kreować swój świat i często postępują wbrew temu, co sobie założyłem” – mówi Wirtualnej Polsce.

Ulubiony powieściopisarz Polaków jest spełnieniem **najskrytszego snu** kapitalisty o pracowniku, który wytwarza więcej, niż pracodawca od niego żąda.

Nie należy dać się zwieść tej pozie. Mamy do czynienia z autorem w pełni skupionym na swoim celu. Na pytanie internautki o to, kto jego zdaniem ma prawo nazywać się pisarzem, odpowiada cytując rozporządzenie Ministra Pracy i Polityki Społecznej. „Jestem przeciwny mitologizowaniu tego słowa” – dodaje. Słuchając go, można odnieść wrażenie, iż pisanie przypomina jogę. Otacza ją nimb duchowości, lecz w gruncie rzeczy chodzi o gibkość, którą nabywa ten, kto często trenuje.

Podejście Mroza to żadne *novum* w świecie zawodowych literatów. Emil Zola, Gustaw Flaubert, Wiktor Hugo, Henryk Sienkiewicz czy Bolesław Prus tkwili w kieracie rzemieślnika, rozliczając się z redakcjami gazet z kolejnych odcinków popularnych powieści. Stanisław Lem, którego Mróz wielbił jako nastolatek, też miał ustalony plan dnia. Jak przypomina Wojciech Orliński w ubiegłorocznej biografii, cierpiący na bezsenność Lem wstawał o czwartej rano, pracując głównie wtedy, gdy pozostali domownicy spali. „Solaris” tworzył pod presją czasu w tempie sześciu stron na dobę.

O ile jednak od Lema to wydawcy wyciągali teksty, próbując zmienić go w rozpędzoną maszynę piszącą, o tyle Mróz wyprzedza o kilka długości wydawców, nie nadążających z drukowaniem i promowaniem jego utworów. Ulubiony powieściopisarz Polaków jest spełnieniem najskrytszego snu kapitalisty. Snu o pracowniku, który z uśmiechem wytwarza więcej, niż pracodawca od niego żąda.

Pięćdziesiąt twarzy Mroza

Recenzenci albo piszą o książkach Mroza dobrze, albo w ogóle. Jakby z góry zakładali, że to, co popularne, nie może być wybitne, ale skoro nieczytający Polacy sięgają po jego książki, to chwala mu za to. Jest ulubieńcem blogerów, a dla krytyków związanych z mediami bardziej tradycyjnymi stanowi kuriozum rodem z „Księgi rekordów Guinnessa”.

Filip Łobodziński wieszczy Mrozowi dorobek godny Józefa Ignacego Kraszewskiego, Karolina Głowacka nazywa go „porządną firmą”, Krzysztof Varga uważa jego książki za wytwory sztucznej inteligencji, a Marcin Kube przypina mu łatkę przodownika pracy. Wyższościowe prychnanie tu jednak nie pomoże. Mróz wie coś o gustach Polaków, czego nie wiedzą inni (poza Patrykiem Vegą).

Jest wyznawcą kultury zdemokratyzowanej, odrzuca podział na literaturę niską i wysoką, woli szufladkę prozy gatunkowej. W jego przypadku ta szufladka jest bardzo pojemna: oprócz kryminałów miłośnicy m.in. *science fiction*, jak międzygalaktyczny „Chór zapomnianych głosów”, szpiegowsko-patriotyczne „Turkusowe szale” o Dywizjonie 307 oraz thriller pątniczko-dewocjonalny, czyli wydaną rok temu „Czarną Madonnę”, gdzie ważką rolę odgrywa tytułowy święty obraz. Trzeba oddać Mrozowi, że jego książki należą do nieco wyższej ligi niż erotyczne baśnie E.L. James albo wampirskie romanse Stephenie Meyer. Powieści Mroza da się czytać bez przykrości. Oryginalności nie ma w nich za grosz, lecz kilka prostych zasad przesądza o ich poczytności.

Intryga jest zawsze na pierwszym miejscu, pędzi bez opóźniających akcję opisów przyrody i nużących dygresji bądź refleksji. Nie brakuje silnych kobiecych postaci, jak Joanna Chyłka i Daria Seyda, pierwsza prezydent w historii Polski, co jest ukłonem w stronę czytelniczek, które stanowią większość odbiorców literatury gatunkowej. Politycy wszystkich opcji są w świecie Mroza przekupni i oderwani od życia szarego człowieka, a krajem *de facto* rządzą służby specjalne. Sympatię, choć nie od razu, budzą zwykli ludzie, którzy weszli w paradę establishmentowi, jak bohater „Rewizji” toczący nierówną walkę z krwiopiczą korporacją ubezpieczeniową. Książki Mroza opowiadają o społeczeństwie może i wirtualnym, ale dobrze znanym z przekazów dnia serwowanych nieustannie w mediach.

Fabuły są ekstraktem ze skandynawskich patentów na wartki kryminał umieszczony w społecznym sosie, globalnej popkultury, dokumentów z Discovery Channel oraz rodzimej kroniki policyjnej. „Pisarz jest jak gąbka, chłonie wszystko, co się dzieje wokół niego” – to jedna z ulubionych zawodowych metafor Remigiusza Mroza. Na kartach jego powieści śmierć *à la* przypadek Ewy Tylman może

sąsiadować ze sprawą uchodźców, rozliczaniem zbrodni wołyńskiej i tajemnicami sięgającymi początków chrześcijaństwa. Te kolaże są mało wiarygodne, ale w czasach fake newsów i pasków TVP Info szkoda kruszyć kopie o to, że fikcja nadto naciąga rzeczywistość. Być może zresztą Mróz niczego nie naciąga, a po prostu wsłuchuje się w tętno współczesności. Widać to wyraźnie w cyklu „W kręgach władzy”, porównywanym, jakżeby inaczej, do „House of Cards”. Fikcyjna polska scena polityczna przegląda się w tej rzeczywistej. Nie brakuje spisków, korupcji i zamachów, a jeden z bohaterów dziwnie przypomina wspomnianą gwiazdę prawy pochodzącą z Opola.

Rynkowym atutem powieści Mroza jest skonwencjonalizowana uniwersalność opowiadanych historii. „Nieodnaleziona”, reprezentantka modnego gatunku *domestic noir* (jak „Zaginiona dziewczyna” Gillian Flynn czy „Dziewczyna z pociągu” Pauli Hawkins), rozgrywa się w Opolu, ale mogłaby dziać się gdziekolwiek. Są tu kobiety z przeszłością, przemoc domowa i sekretne listy. Jeden zwrot akcji goni kolejny, a zadaniem czytelnika jest nie zgubić pałeczki – co niełatwe, bo rozpędzona fabuła jest narracyjnie dziurawa. W najnowszym, warszawskim „Hashtagu” bohaterowie głównie logują się na Twitterze i odbierają tajemnicze przesyłki z paczkomatów, a rekompensatą za deficyt sensacyjności są mądrości z internetu, np. o technikach stosowanych przez porywaczy z Nigerii.

Jako Ove Løgmansbø Mróz opublikował też trzy skandynawskopodobne kryminały: „Enklawę”, „Połów” i „Prom”. Od samych książek ciekawsze są dzieje tej mistyfikacji. Chcąc jeszcze raz wejść w skórę debiutanta, Mróz przybrał polsko-farerską tożsamość. Akcję umieścił w ojczyźnie Farerów, na Wyspach Owczych, do czego przygotowywał się aż kilka tygodni, oglądając m.in. filmy na YouTube i słuchając farerskiej muzyki. Rodzimi odbiorcy kryminałów dali się wywieść w pole.

Tajemnica wydała się dzięki czytelniczce z Wysp Owczych, która wytknęła rzekomemu Farerowi nieznaną lokalnych zwyczajów. Poza tym na archipelagu, gdzie mieszka więcej owiec niż ludzi, nikt nie znał Ove Løgmansbø. Nikt też nie przyklasnął samozwańczej farerskości Polaka ani próbom jej zdyskontowania. Mróz wyszedł jednak z tej draki obronną ręką, poleciał na Wyspy Owcze, uściślił kilka dłoni i kontynuował pisanie. W Pol-

Książki Mroza opowiadają o społeczeństwie może i wirtualnym, ale dobrze znanym z przekazów dnia serwowanych nieustannie w mediach.

sce po zdemaskowaniu tożsamości autora sprzedaż farerskiej serii wzrosła.

Można pomstować na pensjonarsko-gimnazjalny język książek Mroza, na grubo ciosanych bohaterów i niekonsekwencje fabularne. Jego powieści dają jednak przyjemność z czytania czegoś profesjonalnie konwencjonalnego. Jak to bowiem ujął wiele lat temu kulturoznawca John Fiske, „rutyna życia codziennego wymaga rutynowych przyjemności”.

Wychowywanie czytelników

Pilne śledzenie popkulturowych trendów, mieszanie gatunków i gra z przekazami dnia to jeszcze za mało, by stać się królem polskiego rynku kryminałów i sensacji. O dominacji Mroza decydują jego wysiłki włożone w budowanie relacji z odbiorcami. Przekonuje, że nie ma fanów, lecz wyłącznie czytelników, ale to znowu tylko kokieteria. Stworzył dla nich swoisty program lojalnościowy.

Po pierwsze, uwodzi ich. „Dzięki Tobie wciąż mogę to robić, więc to właśnie Tobie należą się w pierwszej kolejności podziękowania. Mimo że mam nuty, nie byłbym w stanie przełożyć ich na dźwięki, gdyby nie Ty. Za instrument służy nam wyobraźnia, a melodia, którą razem tworzymy, nie powstałaby bez jednej ani drugiej strony” – podobnymi wyznaniem skierowanymi do czytelników kończy niemal każdą powieść. Podkreśla, że ważniejsze niż cenzurki od zawodowych krytyków literackich są dla niego opinie czytelników – choć rzadko wprowadza je w życie.

Po drugie, wychowuje sobie czytelników. Na swojej stronie internetowej podpowiada, którą książkę wybrać na pierwsze spotkanie z jego dorobkiem. Zakłada przy tym, że to będzie dłuższa znajomość, i co krok zachęca do śledzenia swoich zawodowych poczyną w mediach społecznościowych.

Po trzecie, Mróz nie odbiera niedosłyszą i platonicznym literatom nadziei

na sukces. „Każdy człowiek nosi w sobie przynajmniej jedną książkę” – rzuca im myśl tak złotą, że nie powstydziliby się jej Paulo Coelho. Ledwo rok od debiutu zaczął prowadzić na portalu LubimyCzytać.pl kurs pisania obejmujący porady, jak przetrwać miążdzącą krytykę: „Gatunek, w którym się poruszamy, nie ma żadnego znaczenia. W każdym z nich nawet najwybitniejsze arcydzieło w końcu zostanie przez kogoś zrównane z ziemią”. Radzi, jak wydać pierwsze dzieło – prezentuje się niczym pozbawiony sentymentów akwizytor: „Fabuła, język, postacie? To wszystko kwestie tak generalne, że powinniśmy w ogóle o nich nie myśleć na tym etapie. Wysyłając maila do wydawcy stajemy przed zgołą innym zadaniem – mamy sprzedać nasz produkt. Jakkolwiek kłóci się to z prometejskim pojmowaniem procesu twórczego, tak po prostu jest”.

Z całego tego kursu płynie następujący morał: „Pisać codziennie. Żyć swoją historią. Nie odpuszczać tylko dlatego, że istnieje cały szereg spraw, które starają się odciągnąć nas od pisania”. Czyli trzeba być jak Mróz, pisarzem na pełen etat. Dla większości fanów to za wysokie wymagania, poprzestaną na czytaniu jego książek, zamiast stać się dla niego konkurencją. Na pocieszenie Mróz ma dla nich jeszcze więcej Mroza, w formie audiobooków, booktrailerów i akcji promocyjnych. Najnowsza (przynajmniej w chwili, gdy powstaje ten tekst) książka była promowana z pomocą internautów, którzy przed premierą ujawniali o umówionej porze fragmenty powieści na Instagramie.

Sam autor tłumaczy popularność swoich książek mentalnością Polaków. „Jesteśmy narodem, który lubi świętować porażki, widzi wiele zła w swojej przeszłości, a oprócz tego emocjonuje się tą czy inną zbrodnią, która co jakiś czas na kilka tygodni potrafi zawładnąć mediami” – mówi na blogu „Kryminalna Piła”. Być może odpowiedź jest prostsza i nie chodzi tu wcale o nasz rzekomy charakter narodowy, lecz o dość uniwersalną słabość do baśni o bohaterach obdarzonych supermocami.

Żał tylko, iż doczekaliśmy czasów, kiedy supermocą jest samoafirmujący się praco-holizm, skutkujący taśmową produkcją szybko czytających się powieści. Bo tylko na takie mają czas i ochotę coraz bardziej zmęczeni, wypaleni i niewyrabiający się czytelnicy.

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Realista w demonicznej masce

DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Nie chodziło mu o teatr. Chciał takiej przemiany naszej energii wewnętrznej, by możliwe stało się doświadczenie innego wymiaru życia niż codzienny.

JERZY GROTOWSKI BYŁ JEDNYM Z NAJORYGINALNIEJSZYCH I NAJWAŻNIEJSZYCH artystów XX wieku – Peter Brook powiedział wręcz, że „jest wyjątkiem”. 11 sierpnia przypadła 85. rocznica jego urodzin. Jednak rocznic urodzin Grotowskiego się nie świętuje, tak jak już prawie nikt nie pamięta, skąd wzięła się opinia Brooka. Zamiast tego od lat obchodzi się dzień jego śmierci, 14 stycznia (to właśnie w związku z okrągłą, 10. jej rocznicą ogłoszono 2009 Rokiem Grotowskiego). Tak się to po prostu ułożyło. Sierpień to dla ludzi teatru okres wakacyjnej przerwy. Przerwę w działalności ma też Instytut im. Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu, którego zadaniem jest między innymi podtrzymywanie pamięci o patronie. Poza kilkoma pasjonatami nie bardzo jest komu zorganizować obchody, nie bardzo kto miałby też w nich uczestniczyć.

Efekt jest taki, że Grotowski coraz mocniej ustanawia się w krajobrazie polskiej kultury jako umarła wielkość, należąca do historii zamkniętej, owianej mitami, w jego przypadku konkurencyjnymi: jasnym i ciemnym.

Przechodzień teatru

Encyklopedycznie rzecz biorąc sprawa jest prosta. „Jerzy Grotowski, polski reżyser teatralny, teoretyk teatru, twórca metody aktorskiej” – zaczyna biogram najpopularniejsze dziś chyba źródło wiedzy, czyli Wikipedia. Portal Culture.pl dodaje jeszcze „pedagog”, ktoś inny „reformator”. Ale wszyscy piszą – „teatr”. Tymczasem Grotowski teatrem zajmował się przez mniejszą część swojego twórczego życia. Nawet jeśli włączyć do obliczeń okres studiów w krakowskiej Państwowej Wyższej Szkole Aktorskiej (od 1951 r.), a za moment „wyjścia z teatru” uznać ogłoszenie

go w Nowym Jorku w grudniu 1970 r., to teatrowi poświęcił Grotowski 19 lat, zaś przez 29 zajmował się czymś innym.

Powiedziałbym nawet, że i przez te 19 lat, kiedy teatrem zajmował się intensywnie, chodziło mu w istocie nie o teatr, ale o coś innego, do czego teatr był tylko drogą. I z tego właśnie powodu „teatr przedstawień” w końcu opuścił. On sam miał wielkie trudności z wyjaśnieniem, czym to „coś innego” było. Próbował wytłumaczyć to sobie i innym praktycznie przez całe życie, na co dowodem jest ponad tysiąc stron jego zebranych tekstów, które sporym wysiłkiem udało się wydać kilka lat temu i które do dziś w całości dostępne są tylko po polsku (edycja włoska jest okrojona). Być może dlatego, że tak trudno znaleźć odpowiednie słowa, teatr zemścił się na Grotowskim i w zamian za porzucenie wycisnął na jego biografii swoje nieusuwalne piętno: reżyser, teoretyk i reformator... Teatru? Doprawdy?

Oczywiście dokonania Grotowskiego w zakresie teatru – jego przedstawienia, metody pracy, idee – są niezwykle ważne. Sam zajmuje się nimi od lat. Ale teatr i sztuka w ogóle były jedynie narzędziem dla czegoś innego. Pod koniec życia, w czasie wykładów z antropologii teatralnej w Collège de France, Grotowski mówił o sobie jako o „rzemieślniku w dziedzinie zachowania się człowieka w warunkach metacodziennych”. Rozumiał przez nie szczególne działania tworzące doświadczalną rzeczywistość inną od codziennej, a – to jedna z jego zasadniczych tez – będącą także rzeczywistością ludzką i doczesną. Próbuje po raz kolejny zaproponować formułę, która ujęłaby to najważniejsze, nad czym Grotowski pracował, powiedziałbym, że poświęcił się przede wszystkim odnalezieniu i stworzeniu precyzyj-

nych narzędzi działania wiodącego do przemiany naszej energii wewnętrznej w taki sposób, by możliwe stało się doświadczenie (podkreślam – doświadczenie, a nie wyznanie lub akt wiary) innego wymiaru życia niż codzienny.

Jeśli o jego urodzinach i o nim samym trzeba pamiętać, to nie dlatego, że stworzył wielkie i ważne przedstawienia, zreformował to i tamto, czy wspólnie ze swoimi aktorami wypracował jakieś metody. Ale dlatego, że po i pomimo katastrof XX wieku dążył poprzez sztukę do odnowy życia, które nazywamy zazwyczaj „duchowym” i które w większości lekceważymy, dając się pochłonać codzienności i/lub odpowiadając (w obu znaczeniach tego słowa) praktyki religijnej.

Guślarz i Mistrz

Grotowski szedł inną drogą: nie poświęcił się sztuce (raczej ją samą poświęcił dla innych celów) i nieustannie podkreślał swój dystans do religii. Funkcjonował jednak na rynku pierwszej i używał języka drugiej, a światową sławę zdobył również dzięki zapotrzebowaniu kontrkultury lat 60. i 70. na proroka i guru. Jest gorzką ironią, że człowiek, który tak uparcie powtarzał słowo „laicki” i tak ironicznie komentował mechanizmy kulturowego wyniesienia, został koniec końców pokonany przez własny mit, który choć początkowo mógł się wydawać jasny i wzniosły, po latach ujawnił swoje zabójcze oblicze.

W jakiejś mierze Grotowski sam sobie był winien, bo przyczynił się do jego powstania. Prowadząc poszukiwania z pogranicza sztuki i życia duchowego w wyjątkowo niesprzyjających im okolicznościach, szybko zorientował się, jak wielkie znaczenie ma odpowiednio regulowana i kierowana uwaga publiczna. Do zarządzania nią wykorzystywał stale i konsekwentnie komentarze i narracje, z czasem już nie tylko swoje, ale także innych, przede wszystkim najbliższego współpracownika i „osobistego krytyka”, Ludwika Flaszena. Ta wielowymiarowa gra prowadzona na kilku frontach jednocześnie stopniowo stawała się coraz bardziej skomplikowana.

Około 1969 r. Teatr Laboratorium odniósł wielki światowy sukces. Jednocześnie Grotowski zdecydował, że nie będzie więcej tworzył przedstawień teatralnych. Od tego czasu jego własne wystąpienia, jak i komentarze jego naukowych sojuszników (przede wszystkim zmarłego nie-



Jerzy Grotowski podczas spotkania z uczestnikami IV Międzynarodowego Studenckiego Festiwalu Teatru Otwartego, Wrocław, październik 1973 r.

dawno Zbigniewa Osińskiego) zastępowały, a nawet wręcz wytwarzały w przestrzeni i świadomości publicznej jego twórczość, do której dostęp miało niewiele. W pierwszej połowie lat 70. niektóre projekty parateatralne były jeszcze otwierane przed stosunkowo dużymi grupami osób. Poszukiwania i prace prowadzone od 1976 r. były już ze względu na swą specyfikę coraz bardziej elitarne.

Żeby wiedzieć, czego Grotowski ze swoimi współpracownikami szukał, trzeba

było wziąć w tych poszukiwaniach udział, a to wymagało czasu, predyspozycji i spełnienia wielu innych, z kolejnymi latami coraz wyższych wymagań. Przy malejącym dostępie do samych prac rosnąca biblioteka komentarzy zaczęła pracować samodzielnie, tworząc obraz wielkiego, ale i wielce tajemniczego artysty, o którym można mówić tylko bardzo poważnym i wysokim językiem.

Działo się tak zwłaszcza w Polsce, którą Grotowski opuścił w roku 1982. Dawni

przyjaciele i sojusznicy z konieczności znaleźli się w grupie odciętych od bezpośredniego doświadczenia. Jednocześnie wciąż dawali świadectwo swoim wcześniejszym, dla wielu z nich kluczowym przeżyciom związanym z teatrem i parateatrem. W ten sposób stworzyli mit, którego negatywnej siły oczywiście nie dostrzegali, bo z zasady bardzo szanowali mity.

Nieobecny Grotowski pojawiał się w nim jako wielki artysta, niedoceniany, wręcz zwalczany w ojczyźnie, a tryumfujący w świecie i przez ten tryumf wprowadzający lokalną tradycję romantyczną w obieg międzynarodowy. Mędrzec, guślarz i mistagog niejasnej, ale obiecującej „świeckie zbawienie” praktyki, jakiejś „religii człowieka”.

Ten obraz teatralnego i kulturowego guru był prawdziwy i fałszywy zarazem. Prawdziwy, bo Grotowski rzeczywiście był wielkim artystą, mędrcem i nauczycielem. Fałszywy, bo żaden wielki artysta, mędrzec i nauczyciel nie jest wolny od wad, małości i pomyłek. Grotowski sam wielokrotnie przyznawał się do błędzenia, ale właśnie w procesie mitotwórczym takiej jego i o nim opowieści zabrakło. Powodów tego było wiele i kiedyś trzeba będzie je uważnie przeanalizować. Trudno jednak nie przyznać, że jeszcze w ostatnich latach życia Grotowskiego mitografia zamieniła się w hagiografię.

Z cienia

Zamieniła się, albo też została zamieniona. Rok 1982, kiedy Grotowski wyjechał z Polski, był też przełomowy dla całej formacji ideowo-kulturowej, z której wyrastał, a którą w zasadniczy sposób ukształtowały doświadczenia wojny i wieloletniej zależności od totalitarnych systemów, skutecznie budujących przekonanie o swojej trwałości.

W latach 80. i 90. to przekonanie stopniowo się kruszyło, a upadek powojennego systemu, który je podtrzymywał, rozpoczął wieloletni (być może właśnie się kończący) proces uwalniania się spod władzy dawnych (czasem jeszcze XIX-wiecznych) zakazów, norm, hierarchii, estetyk, tabu itd. Grotowski w tym procesie udziału nie tylko nie brał, ale też bardzo długo nie został weń w żaden sposób włączony. Wprost przeciwnie!

Dość niespodziewanie osadzono go w funkcji Prawdziwego Dawnego Mistra, z którym różni barbarzyńcy i ojco-
bójcy jeszcze młodszej generacji nie mają



ARCHIWUM INSTYTUTU GROTOWSKIEGO

Na planie filmu „With Jerzy Grotowski” w reżyserii Mercedes Gregory, 1980 r.

→ nic wspólnego. Że wiele ich z nim łączyło, sami „barbarzyńcy” nie dostrzegali lub nie chcieli przyznać.

Nie dostrzegali lub nie chcieli przyznać tego też „grotowszczyca”, w znacznej części co najmniej nieufni, jeśli nie wręcz wrodozy wobec „nowego teatru”. W efekcie Grotowski nie stał się – jak dokładnie w tym samym czasie Tadeusz Kantor – sojusznikiem i punktem odniesienia dla młodych artystów i intelektualistów. Zaczął wręcz funkcjonować jako ich przeklęty i wyrodney ojciec, którego muszą zde-maskować właśnie w tym, co wydaje się najczujniej ukrywać. Zaczęto uwalniać się spod tworzonych latami zasad zarządzania uwagą społeczną i budowania narracji o Grotowskim.

Punktów przez lata ukrywanych, tematów niepodejmowanych jest sporo. W przypadku niektórych powstały świetne i precyzyjne analizy, takie jak te, które obrazom homoseksualnej i sadomasochistycznej rozkoszy poświęcił Agata Adamiecka-Sitek i Grzegorz Niziołek. Inne czekają na rzetelne badania i wyważone interpretacje, których stworzenie wymaga czasu lub w ogóle jest niemożliwe, a brak przyczynia się do powstania plotki zamienianej przez powtarzanie w coś, co „ogólnie wiadomo”.

O ile wierzę, że w końcu doczekamy się studium wyjaśniającego złożony i zmienny stosunek Grotowskiego do władz PRL i odwrotnie, o tyle bardzo trudno będzie rzetelnie i uczciwie ocenić

relacje wewnątrz zespołu, zmieniający się w czasie stosunek Grotowskiego do współpracowników. Pewnie nigdy więc nie zostanie z niego zdjęte odium odpowiedzialności za kształt życia i śmierci kilku najważniejszych jego aktorów, z Ryszardem Cieślakiem na czele.

Mit niszczyciela ludzi, który „przemocowo” (to słowo klucz tej opowieści) traktował i porzucał tych, na których prowadził swoje eksperymenty, będzie pewnie trwał. I choć w tych okolicach czarna legenda zamienia się często w czarną potwarz, to jej zasługą jest choćby to, że przestało się na te tematy milczeć. Bo trzeba, żeby spuścizna Grotowskiego została przepracowana także krytycznie pod wszystkimi możliwymi kątami. Bez tego nie zostanie sprofanowana, czyli wyłączona ze sfery *sacrum* i przywrócona powszechnemu użytkowi. A właśnie to jest obecnie najbardziej potrzebne.

Profanacje

W roku 2015 opublikowałem książkę zatytułowaną „Grotowski. Profanacje” poświęconą trzem historycznym, opolskim przedstawieniom Teatru 13 Rzędów: „Dziadom” (1961), „Kordianowi” (1962) i pierwszym wersjom słynnego później „Akropolis” (1962). W tym roku ukazał się jej swoisty prequel, omawiający cztery spektakle wcześniejsze, z lat 1959-60.

Punkt wyjścia obu książek jest prosty: przywrócić historyczny kontekst i znaczenie tamtym, w dużej mierze zapomnianym

przedstawieniom i pokazać Grotowskiego jako reprezentanta, a zarazem świadomego krytyka swojego pokolenia. Chcę zobaczyć go jako człowieka i artystę ukształtowanego przez i współtworzącego czas, w którego długim cieniu rozciągającym się od katastrofy starego świata do klęski utopii wciąż żyjemy. Zobaczyć go też jako niezależnego polskiego intelektualistę odgrywającego pożądane symptomy podporządkowania. Zobaczyć wszystkie zakręty tej gry z władzą, a przede wszystkim to, jak i za jaką cenę idzie się za tym, co uważa się za najważniejsze. Zamiast wzniesłego mitu proroka i guślarza potrzebna nam jest coraz bardziej lekcja praktyki działania i myślenia bez najszlachetniejszych nawet usprawiedliwień dla uników i rezygnacji. Potrzebny nam jest Grotowski jako historyczny realista działający skutecznie w sytuacji skrajnie nie-sprzyjającej i konsekwentnie zwalczający wszelkie formy eskapizmu.

Praktykowaną przezeń sztukę odnieść trzeba też do dominującej dziś rezygnacji z poszukiwania odpowiedzi na pytania tak wielkie, podstawowe i niemożliwe, jak pytanie o sens i cel życia. Nie o to, jak je przeżyć utrzymując względny dobrostan (co też oczywiście cenne i ważne), ale jak je przeżyć w prawdzie, którą się samemu tworzy i weryfikuje wobec tego, co uznaje się za swoje powołanie. Nie twierdę, że Grotowski znalazł odpowiedź. A jeśli nawet jakiegś był blisko, to nigdy nie przestawał powtarzać, że nie jest i nie może być ona jedyna i najlepsza. Jest nam potrzebny jako ktoś, kto nigdy nie zrezygnował z pytania o życie w prawdzie, na które odpowiedzi „niepodobna sformułować, można ją tylko uczynić”.

Oba wytworzone wokół Grotowskiego mity tę najważniejszą kwestię oddalają: mit guru odsyła ją w sferę niedostępną i zamienia w nostalgię za nieobecnym już mistrzem; krytyczny – już samo pytanie nazywa przemocą. I tak trwają we wzajemnym śmiertelnym klinchu wytworzone przez oba mity martwe figury nauczyciela wzniesłego i demonicznego. Ani od jednego, ani od drugiego niczego nauczyć się nie można. Tymczasem między coraz bardziej fundamentalistyczną i funkcjonalistyczną religią a światem codziennego supermarketu, w cieniu coraz silniej przeżywaną kolejną katastrofą Grotowski staje się coraz bardziej wyjątkowy. I coraz bardziej potrzebny.

© DARIUSZ KOŚCIŃSKI

Moskiewski kandydat

PIOTR TARCZYŃSKI

Czy prezydent może być agentem wrogiego mocarstwa? Dla amerykańskiej kultury popularnej to żadna nowość. Nie takie wizje świata zdążyła już przerobić.

MOŻNA BY POMYŚLEĆ, ŻE PO 18 MIESIĄCACH urzędowania Donalda Trumpa w Białym Domu nie należy się już niczemu dziwić. Tymczasem wydarzenia ostatnich dni budzą zdumienie nawet tych, którzy – jak piszący te słowa – sądzili, że nic już nie jest w stanie ich zaskoczyć.

Wizyta w Europie upłynęła Trumpowi pod znakiem rozbijania jedności NATO, łajania sojuszników, nazywania Unii Europejskiej „wrogiem”; w Helsinkach, na wspólnej konferencji prasowej z Władimirem Putinem za złe stosunki amerykańsko-rosyjskie obarczył winą swój własny kraj, a „bardzo silne i stanowcze” stwierdzenie Putina, że Rosja nie ingerowała w amerykańskie wybory 2016 r., okazało się dla niego bardziej wiarygodne niż jednoznaczne raporty własnego wywiadu.

Próby naprawiania sytuacji okazały się jeszcze gorsze. Najpierw tłumaczył się „przejęzyczeniem” – chciał jakoby powiedzieć, że nie widzi żadnego powodu, dla którego nie miałyby to być Rosja – by za chwilę zasugerować jednak, że za hakerskie ataki być może odpowiada „jeszcze ktoś inny”. Na koniec – bez porozumienia z szefem swojego wywiadu, który dowiedział się o tym od dziennikarki – zaprosił Putina do Białego Domu.

Dlaczego Trump nie jest w stanie zdobyć się na choćby jedno słowo krytyki wobec Putina? Dlaczego z takim uporem i wbrew faktom zaprzecza, że Rosjanie usiłowali wpłynąć na wynik amerykańskich wyborów? Pojawiają się najróżniejsze odpowiedzi, ale wszystkie da się zasadniczo sprowadzić do trzech. Pierwsza mówi: to tylko ignorancja Trumpa oraz gigantyczne ego,



MATERIAŁ PRASOWY

Numer Jeden, postać z komiksu „Secret Empire”, lata 70. XX w.

które nie pozwala „stabilnemu geniuszowi” przyznać, że w jego „niebywałym” zwycięstwie wyborczym ktoś mu jednak pomógł. Innymi słowy, Trump jest po prostu kretyńcem, który daje się ogrywać Putinowi – i jest to, jakkolwiek strasznie by to brzmiało, scenariusz najbardziej optymistyczny. Jakże bowiem mamy pozostałe możliwości? Druga mówi, że Trump zachowuje się w ten sposób, żeby kryć swoich ludzi – w tym członków rodziny – którzy z głupoty wdali się w kontakty z Rosjanami w trakcie kampanii wyborczej. Najgorsza jest odpowiedź numer trzy: Trump po prostu działa na rzecz Kremla, czy to z powodu jakichś swoich tajemniczych interesów w Rosji, czy dlatego, że tamtejsze służby coś na niego mają.

Teoria ta, choć najbardziej spektakularna, jest zarazem najmniej prawdopodobna. Mimo wszystko trudno uwierzyć, że w dzisiejszych czasach coś takiego nie wypłynęłoby wcześniej, choćby podczas kampanii wyborczej; w dodatku praw-

dziwy agent robiłby chyba wszystko, żeby odwrócić od siebie podejrzania, a nie ostentacyjnie demonstrować podziwu dla Putina. Trudno się jednak dziwić, że tak rozpala ona wyobraźnię Amerykanów. Znakomicie wpisuje się bowiem w narrację, do której kultura popularna przyzwyczaja nas od dziesięcioleci.

Masoni, iluminaci, katolicy i inni

W klasycznym esej z 1964 r. „The Paranoid Style in American Politics” politolog Richard Hofstadter scharakteryzował „spiskową fantazję”, która od samego początku istnienia Stanów Zjednoczonych funkcjonuje w amerykańskim dyskursie politycznym. Przedstawia ona dzieje Ameryki w kategoriach manichejskich, jako walki sił dobra i zła, gdzie historię pcha do przodu spisek jakichś złowrogich sił, wszechobecnych i wszechpotężnych, które zakulisowo działają na rzecz zguby Stanów Zjednoczonych.



→ Kiedy patrzymy na amerykańską historię, widzimy wyraźnie, że każda epoka miała swoją obsesję – w XVIII w. głównymi złoczyńcami narracji spiskowych byli iluminaci, w XIX – masoneria i katolicy. Iluminatów gromił w swoich kazaniach pastor Jedidiah Morse – jego sławny syn Samuel, wynalazca telegrafu (a zatem, zdawałoby się, racjonalny człowiek nauki), tropił już wolnomularzy oraz agentów papieża, którzy na każdym kroku próbowali zniszczyć młodą, amerykańską republikę.

W połowie XIX w. krótki rozkwit przeżyła Partia Amerykańska, w której programie poczesne miejsce zajmowała walka z rzekomym spiskiem Watykanu: paradoksalnie partię ową założono jako tajne, wzorowane na masonerii stowarzyszenie, a jej członków nazywano „Nieniewiedzącymi”, bo na pytania o swoją organizację odpowiadali zawsze: „ja nic nie wiem”.

W wieku XX za sznurki zaczęli pociągać – w wyobraźni zbiorowej Amerykanów – przede wszystkim komuniści. Lęk przed bolszewickim spiskiem po I wojnie światowej był niczym w porównaniu z „czerwoną paniką” przełomu lat 40. i 50. Komisja Izby Reprezentantów do Badania Działalności Antyamerykańskiej, choć znana głównie z tropienia komunistów w Hollywood i tworzenia „czarnych list” nieprawomyślnych artystów, za sprawą młodego kongresmena Richarda Nixona rzeczywiście odkryła zakonspirowanego radzieckiego agenta w Departamencie Stanu, a wkrótce aresztowano szpiegującego na rzecz Rosjan małżeństwo Rosenbergów.

Senator Joseph McCarthy poszedł o krok dalej, przez cztery lata głosząc najbardziej fantastyczne teorie na temat komunistycznej infiltracji amerykańskich instytucji i rządzących prawdziwe polowania na czarownice. Jego ostateczna kompromitacja nie oznaczała wszakże końca spiskowej wizji polityki.

W 1958 r. bogaty zwolennik senatora, Robert Welch, założył Stowarzyszenie imienia Johna Bircha, amerykańskiego misjonarza zabitego w Chinach, który miał być jakoby pierwszą ofiarą zimnej wojny. „Birchyści”, choć identyfikowali się z twardą, religijną prawicą, widzieli agentów w obu partiach. Do stowarzyszenia należały dziesiątki tysięcy Amerykanów w całym kraju, wierzących, że komuniści kontrolują jakieś „50-70 procent rządu”, który fluoryzuje wodę, żeby ułatwić przejście kontroli nad Stanami

komunistycznemu ONZ. Agentem ZSRR miał być sam prezydent Eisenhower.

Styl paranoiczny

W takiej właśnie atmosferze w 1962 r. John Frankenheimer nakręcił thriller, który wyznaczył standardy całego gatunku i zapowiedział „fazę paranoiczną” w amerykańskim kinie: „The Manchurian Candidate” (polski tytuł: „Przeżyliśmy wojnę”). Senator Iselin, tropiący komunistów w demokratycznej administracji i przypominający skrzyżowanie McCarthy’ego z Nixonem, ubiega się o nominację Partii Republikańskiej na wiceprezydenta. W rzeczywistości jest tylko nieświadomą marionetką w ręku swojej żony, Eleanor (Angela Lansbury), wysoko postawionej komunistycznej agentki, która planuje umieścić męża w Białym Domu, by przejąć władzę w kraju. Kontroluje też swojego syna, agenta śpiocha, który za sprawą prania mózgu w tajnym ośrodku w Mandżurii stał się zabójcą doskonałym.

Film Frankenheimera był z jednej strony krytyką maccartyzmu, który, budując atmosferę nieufności i podejrzania, niszczył tkankę społeczną Ameryki, z drugiej jednak wprowadził „styl paranoiczny” do głównego nurtu kultury popularnej, gdzie trafił na bardzo podatny grunt. Lata 60. i 70. – wojna w Wietnamie, zabójstwa polityczne (braci Kennedych, Martina Luthera Kinga) – mocno wstrząsnęły Amerykanami, nadszarpane ich zaufanie do kraju i jego instytucji. Dały też początek thrillerom spiskowym nowego rodzaju: o ile w latach 60. spisek zagrażał władzy, o tyle w latach 70. to władza spiskowała przeciwko obywatelom. W serii komiksów z Kapitanem Ameryką „Secret Empire” tajemniczym Numerem Jeden, przywódcą tajnej organizacji chcącej wprowadzić w USA dyktaturę, okazuje się sam prezydent – bezimienny i niewidoczny, ale wyraźnie wzorowany na Nixonie.

„Stylem paranoicznym”, dotychczas charakterystycznym głównie dla skrajnych nurtów prawicy, zaraziła się także część lewicy i nic w tym dziwnego, skoro afera Watergate pokazała, że w Białym Domu prezydent rzeczywiście spiskował w celu złamania prawa. Wcześniej wiara w coś takiego była objawem politycznej paranoi – od czasu Nixona wiara w uczciwość władzy stała się objawem politycznej naiwności, a popkultura pełna jest dostosowanych do aktualnej sytuacji prezydentów-agentów i prezydentów-marionetek.

W 2004 r., za rządów George’a W. Busha i rok po inwazji na Irak, Jonathan Demme nakręcił *remake* „Manchurian Candidate”: tym razem posłusznego sobie prezydenta chcą umieścić w Białym Domu nie komuniści, ale potężna amerykańska korporacja zbrojeniowa Manchurian Global, licząca na zyski z przyszłych wojen.

„Truthersi” (od *truth* – prawda) – uważający Busha i Cheney’a za agentów Saudów, trafiali się po obu stronach sceny politycznej, ale zawsze byli tylko marginesem. Wraz z wyborem na prezydenta Baracka Obamy powstał jednak ruch „birthersów” (od *birth* – narodziny) – twierdzących z pełnym przekonaniem, że Obama tak naprawdę przyszedł na świat w Kenii i w związku z tym nie ma prawa zasiadać w Białym Domu. Zgodnie z logiką teorii spiskowej szybko doszły do tego dalsze zarzuty: że prezydent miał być „mandżurskim kandydatem” muzułmanów, masońców, światowego komunizmu.

Paranoja polityczna trwale przeniknęła do głównego nurtu Partii Republikańskiej: w to, że Obama jest w rzeczywistości muzułmaninem, wierzy dziś około jednej trzeciej wyborców Republikanów, a narrację spiskową, że prezydent nie jest tym, za kogo się podaje, z zapałem promowały tak wpływowe postaci prawicy jak kandydatka na wiceprezydentkę Sarah Palin czy czołowy komentator radiowy Glenn Beck. Warto też przypomnieć, że jednym z czołowych „birthersów” był celebryta Donald Trump, który właśnie w ten sposób zabłysnął politycznie przed wyborami 2016 roku.

Granice wiary

Żyjemy dziś w świecie, gdzie marginesy przesunęły się do centrum – poglądy uważane niegdyś za skrajne są akceptowalne w głównym nurcie debaty. Jeszcze jakiś czas temu potencjalny kompromat na amerykańskiego prezydenta był tematem tabu, którego nie ruszał żaden poważny polityk. O niesławnej, hipotetycznej taśmie z moskiewskiego hotelu, o której mowa w „dossier Steele’a”, mówili niemal wyłącznie telewizyjni satyrycy oraz ultralewicowi radykałowie; nikt nie chciał znaleźć się w jednym rządzie z oszołomami wierzącymi w to, że 11 września było robotą rodziny Bushów, reptilian i Klubu Bilderberg. Kolejne zdumiewające wypowiedzi Trumpa, jego coraz słabiej skrywana rusofilia, tajemnicze rozmowy z Putinem w cztery oczy, których treści nie znają

najbliżsi współpracownicy amerykańskiego prezydenta, sprawiają, że wątpliwości mają nawet niektórzy Republikanie albo ludzie profesjonalnie zajmujący się szpiegostwem i kontrwywiadem. Na pytanie o taśmę byłby dyrektor FBI James Comey rozkłada bezradnie ręce i mówi: „nie wiem, to możliwe”, a byłby dyrektor CIA John Brennan idzie o krok dalej – zachowanie Trumpa w Helsinkach wprost nazywa „zdradą” i stwierdza, że Rosjanie mogą go czymś szantażować.

Stwierdzenie, że amerykański prezydent jest rosyjskim agentem wpływu, nie należy już wyłącznie do świata teorii spiskowych – na poważnie rozmawia się o tym w opiniotwórczych mediach. Jest to niewątpliwie jakaś forma odpowiedzi na prawicową wizję paranoiczno-spiskową, niekoniecznie nawet świadoma. Z drugiej strony narracja o „mandzurskim prezydencie” zyskuje popularność, bowiem w coraz trudniejszej do zrozumienia rzeczywistości daje jakieś wyjaśnienie, może i przerażające, ale za to proste i pojmowalne.

Łatwiej uwierzyć w spisek kompleksu militarno-przemysłowego niż w to, że Kennedy’ego zabił jakiś zwykły maniak – brzmi to znacznie wznioślej i nadaje wydarzeniu głębszy sens, wpisując jego śmierć w walkę sił dobra i zła. Z tego samego powodu chętniej wierzymy, że prezydent największego mocarstwa świata zachowuje się kuriozalnie, ponieważ kontroluje go Kreml, a nie dlatego, że jest po prostu skończonym idiotą.

Czy to jednak znaczy, że Rosjanie na pewno nie mają niczego na Trumpa? Niekoniecznie. Jakkolwiek fantastycznie to brzmi, na początku XIX w. wiceprezydent Aaron Burr rzeczywiście spiskował z Brytyjczykami, chcąc wykroić sobie ze Stanów Zjednoczonych własne państwo. Afera Watergate była z kolei najlepszym dowodem, że rzeczywiście istniał spisek w Białym Domu – nawet jeśli nie całkiem taki, jak to wyobrażali sobie opoenenci Nixona, przekonani, że chce on wprowadzić stan wyjątkowy i objąć władzę dyktatorską. W końcu nawet paranoik miewa prawdziwych wrogów i nawet zwolennik teorii spiskowych może trafić na prawdziwy spisek.

© PIOTR TARCZYŃSKI



AURORA FILMS

Kadr z filmu „Do zobaczenia w zaświatach”

Połowa twarzy

ANITA PIOTROWSKA

Oto kolejny film, który na stulecie zakończenia Wielkiej Wojny wywołuje jej duchy. Albert Dupontel bardziej niż na aurę tajemnicy stawia jednak na epickie, trzymające się reguł gatunku kino zemsty.

PO KAŻDEJ WOJNIE KTOŚ MUSI POSPRZĄTAĆ. Przede wszystkim – policzyć i pochować trupy, a następnie wybudować im pomniki. I zawsze znajdzie się ktoś, kto nie omieszka na tym zarobić.

O tym, jak żywi bogacą się dzięki umarłym, opowiada książka „Do zobaczenia w zaświatach” Pierre’a Lemaitre’a, w 2013 r. uhonorowana Nagrodą Goncourtów. Niedawno powstał na jej podstawie film, w którym francuscy bohaterowie I wojny światowej wracają okaleczeni z okopów czy nawet powstają z mogił, by wyrównać

dawne rachunki. Po „Franzu” François Ozona to kolejny na naszych ekranach tytuł, który na stulecie zakończenia Wielkiej Wojny wywołuje jej duchy. Reżyser Albert Dupontel bardziej niż na aurę tajemnicy stawia jednak na epickie, trzymające się reguł gatunku kino zemsty.

Jak smakuje ziemia osuwająca się do rowu, z którego wystraszone szeregowiec próżno wypatruje zakończenia wojny? Do czego może przydać się martwy koń przysypany razem z żołnierzem? Co zostaje z twarzy po wybuchu szrapnela? ➔

WARTO ZOBACZYĆ W TV [18 – 24 VIII]

1. Party



Komediodramat,
reż. Sally Potter,
Wielka Brytania 2017,
Canal+, 18 VIII, 14.15,
Canal+ 1, 18 VIII, 15.15

Świeżo upieczona pani

minister zaprasza gości na domowe przyjęcie. W teatralnych dekoracjach rozgrywa się tragifarsa, odstawiająca od dawna skrywane tajemnice i kłamstwa. W filmie twórczyni „Orlanda” występuje plejada znakomitych aktorów: Kristin Scott Thomas, Timothy Spall, Patricia Clarkson czy Bruno Ganz.

2. Daft Punk bez masek



Dokumentalny,
reż. Hervé Martin-Delpierre, *Francja/USA*
2015, TVP Kultura,
18 VIII, 18.45

Francuski duet

uchodzący za legendę muzyki elektronicznej zawdzięcza ją także swojemu wizerunkowi: twarze muzyków konsekwentnie skrywane są pod kaskami. Dokument stara się rozszyfrować fenomen Daft Punk, z pomocą między innymi Pharrella Williamsa, Georgia Morodera czy Michela Gondry'ego.

3. Mój brat, islamista



Dokumentalny,
reż. Robb Leech,
Wielka Brytania 2011,
Planeta+, 18 VIII, 23.00

W jaki sposób młody
biały mężczyzna z bry-

tyjskiego miasteczka stał się fanatycznym wyznawcą islamu? Dlaczego porzucił wartości i przywileje świata, w którym dorastał? Reżyser przygląda się swojemu przyrodniemu bratu, próbując zrozumieć, co popchnęło go w kierunku agresywnego dżihadu.

4. Kryptonim HHhH



Thriller, reż. Cédric Jimenez, *Francja*
2017, HBO,
19 VIII, 20.10, 20 VIII,
15.25, 22 VIII, 20.10

27 maja 1942 r. szkoleni

za granicą członkowie ruchu oporu dokonują zamachu na zastępcę protektora Czech i Moraw Reinharda Heydricha (Jason Clarke), nazywanego człowiekiem o żelaznym sercu. Film opowiada o przygotowaniach do akcji i jej skutkach, odtwarzając przede wszystkim emocjonalną atmosferę tamtych zdarzeń.

→ Właściwą akcję filmu rozpoczyna wy czynowa jazda kamery, która podążając za wojskowym psem posłańcem daje poczuć na własnej skórze atmosferę pola bitwy z początków listopada 1918 r. „Uwielbiał wojnę, to był jego żywioł. Przerazał nas bardziej niż Niemcy” – tak opowiada nam zza kadru niejaki Maillard (w tej roli sam reżyser), przywołując swoje ostatnie dni na froncie pod wodzą złego porucznika Pradelle'a (Laurent Lafitte).

Z wojny Maillard wychodzi w jednym kawałku, za to jego towarzysz broni, młody artysta Péricourt (gra go znany ze „120 uderzeń serca” Nahuel Pérez Biscayart), stracił dolną część twarzoczaszki i w związku z tym postanawia całkowicie wymazać swą dotychczasową tożsamość. Drogi tej trójki przetną się ponownie tuż po wojnie: Maillard i Péricourt będą razem biedować, dzieląc los wielu innych weteranów, podczas gdy ich znienawidzony dowódca rozkręca intratny i nielegalny biznes polegający na handlu zwłokami. Ten, który za nic miał życie swoich żołnierzy i nawet w czasach pokoju żeruje na ich śmierci, musi ponieść zasłużoną karę.

Dupontel zamyka opowieść klamrą policyjnego zeznania i wypełnia klimatem powojennej brutalizacji. Widzimy, jak w Paryżu kaleczy kombatan ci brutalnie walczą między sobą o działkę morfiny, a co bardziej obrotni projektują i sprzedają fikcyjne pomniki ku czci poległych. Fantazyjne maski, którymi Péricourt przysłał swą zniekształconą twarz, nakładają tu niemal wszyscy. Ktoś podaje się za kogoś całkiem innego, ktoś inny wykorzystuje swój urząd w dwuznacznych celach, a jeszcze inny oszukuje swego chlebo dawcę uprawiając tzw. kreatywną księgowość, nazywaną poetycko „mostem westchnień”. „Do zobaczenia w zaświatach” nie uprawia jednak sztywniakiej moralistyki. Trzyma stronę tych, którzy na własną rękę i na przekór możnym tego świata szukają sprawiedliwości, nawet jeśli ich metody bywają na bakier z obowiązującym prawem. Nie przypadkiem jedna z masek stworzonych przez ukrywającego się przed światem Péricourta ma kształt głowy lwa okolonej bujną grzywą z prawdziwych banknotów.

Rozdęta „pomnikozą”, sieroty wojenne, rozbite więzi, społeczno-ekonomiczna degradacja weteranów – Dupontel za literackim pierwowzorem ukazuje moralny pułstos tan, jaki zapanował po wojnie w kraju zwycięzców, maskowany tromtadreckim

patriotyzmem. Klasyczna, wręcz staromodna forma filmu, przełamywana jedynie przez wspomnianą już dynamikę zdjęć Vincenta Mathiasa, przynosi absurdalny chwilami kontrapunkt dla makabrycznych wątków związanych z okaleczoną cielesnością czy profanacją zwłok. Przed nami świat, który wypadł ze swych kolein. Pokolenie powracających z wojny synów nie znajduje wspólnego języka z pokoleniem ojców, które tę wojnę wywołało. Rodzina jako instytucja musi zdefiniować i zbudować się na nowo. Jedyną formą odnalezienia się w rozchwianej rzeczywistości jest przekręt i wygra ten, kto w porę zdoła przechrzcić innych „przekręciarz”.

Lemaître jako autor książki, a zarazem współscenarzysta filmu wie, jak intensyfikować napięcie i usprawiedliwiać literacką konwencją najbardziej zdumiewające zbiegi okoliczności – przed „Do zobaczenia w zaświatach” zdążył zasłynąć sporym dorobkiem w dziedzinie kryminału. Dupontel podziela jego sympatię dla kultury popularnej i sensacyjny temperament, choć na ekranie rozrzedza go sentymentalizmem, to znów uduświa surrealnym nadmiarem. Burzuijski syn z wyrwaną połową twarzy, pozbawiony zdolności mowy i możliwości normalnego spożywania posiłków, jest tu zapewne kimś więcej niż tylko bohaterem i ofiarą. Reżyser zachowuje jednak powściągliwość w budowaniu metafor na temat wojny czy różnic klasowych. Pozostawia nas ze swoją historią i jej ekscentrycznym klimatem, jakby nie dbał o to, czy będziemy doszukiwać się pod tą maską czegoś więcej, czy zobaczymy w niej po prostu koszmarnie zdeformowaną twarz. ©

ANITA PIOTROWSKA

DO ZOBACZENIA W ZAŚWIATACH (*Au revoir là-haut*) – reż. Albert Dupontel. Prod. Francja 2017. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 17 sierpnia.

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków

goszczą dziennikarze „Tygodnika”.

Śłuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl

JAN

Klata:

Stalowa Wola masztu



A BYŁO TO TAK: NIEDAWNO PREMIER Regionalnego mocarstwa w sercu Europy – z której nigdy nie wychodziliśmy, bo zawsze w niej byliśmy, no może ewentualnie niedługo wyjdziemy – zawiesił flagę w Stalowej, dajmy na to, Woli. Zawiesił z pompą, w Dniu Flagi Rzeczypospolitej Polskiej, zawiesił nie byle gdzie, bo na maszcie, maszcie nie byle jakim, drapiącym chmury na wysokości 18 metrów. Tak wysoko i tryumfalnie załopotała nasza biało-czerwona na skrzyżowaniu ulicy Komisji Edukacji Narodowej z... zgadli Państwo: aleją Jana Pawła II. Więc prestiżowo zarówno w pionie, jak i w poziomie. Stalowa Wola.

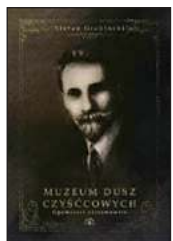
Flaga łopotała dumna, biała i czerwona, świątecznie, a ponieważ i rocznicowo, gdyż na skrzyżowaniu w Stalowej Woli zbiegły się dwie rocznice: 100-lecie niepodległości oraz 80-lecie miasta. I na tym należałoby zakończyć naszą krzepiącą bajkę, klechdę domową: „Serce roście patrząc na te czasy! / Mało przed tym gołe były lasy”, a teraz stalowa wola, niebotyczny nasz maszt i flaga, wystarczy nie kraść i już można się napawać... A jednak – nie to, żebym szukał dziury w całym – baśń nie zakończyła się hollywoodzkim happy endem.

Otóż jeszcze przed wizytą premiera okazało się, że maszt został przez władze miasta postawiony nielegalnie. Ergo, że jest samowolą budowlaną. No, ale przecież jak powszechnie wiadomo, żadne przyziemne procedury nie staną na przeszkodzie naszemu patriotyzmowi, nie będzie budowlany nadzór płu nam w twarz, więc maszt najpierw dla zmyły wykopano, żeby go – znów nielegalnie – wkopać tuż przed jubilem. Władze Stalowej, było nie było, Woli nie dadzą sobie w kaszę dmuchać, zwłaszcza gdy ma przyjechać premier i zawiesić flagę. Święto to święto, nie można go odwołać tylko dlatego, że nasz maszt może ewentualnie runąć. A już po uroczystościach ten maszt stał się oczywiście nie do ruszenia.

We wtorek, 31 lipca 2018 r., po godz. 17 maszt jednak runął. Był najwyższy w okolicy, teraz będzie najdłuższy. Tak czy owak rekord. Tylko flagi żal. Już nie potrzepocze. ©

Lektor:

Powrót Grabińskiego



■ *Stefan Grabiński*
MUZEU DUSZ CZYŚCĄCYCH.
OPOWIEŚCI NIESAMOWITE

Wybór i posłowie: Maciej Płaza.
Ilustracje: Maciej Kamuda.
Vesper, Czerwonak 2018, ss. 572.

STEFAN GRABIŃSKI (1887–1936) – prowincjonalny nauczyciel i pisarz, którego próby powieściowe i dramatyczne okazały się niepowodzeniem, jest niekwestionowanym klasykiem polskiej noweli fantastycznej, czerpiącym twórczo z Poego czy Stevensona. Twórca mitologii kolei jako przestrzeni, w której przenikają się światy, analizy obsesji ognia, śmiało też podejmuje

temat erotycznego wampiryzmu. Galicyjski prowincjusz z marginesu naszej literatury miał od początku świetnych adwokatów, od Karola Irzykowskiego poczynając. Julian Tuwim włączył jego opowiadania do antologii „Polska nowela fantastyczna”, mającej na przełomie lat 40. i 50. trzy wydania, więc czytanej nawet w apogeum stalinizmu. Artur Hutnikiewicz

poświęcił mu w 1959 r. monografię, a 20 lat później opracował trzytomowy wybór jego dzieł. Nieco wcześniej nowele Grabińskiego znalazły się w serii „Stanisław Lem poleca”. Dzisiaj propagatorem pisarstwa autora „Demona ruchu” jest Maciej Płaza – powieściopisarz i zapewne nie przypadkiem badacz dzieła Lema oraz tłumacz amerykańskiego klasyka opowieści grozy H.P. Lovecrafta. Jeśli dodać do tego wydaną niedawno monografię Joanny Majewskiej, okaże się, że choć Grabiński nigdy całkiem nie zniknął z pola widzenia czytelników i badaczy, teraz triumfalnie wraca.

„Pisarstwo Grabińskiego jest wspaniałym dokumentem swoich czasów, ich atmosfery, języka i obyczajowości, świadectwem fascynacji nowoczesnością, która od tamtej pory dawno zdążyła się zestarzeć, zapisem

zainteresowań, obsesji, fobii epoki bardzo już od nas odległej – jednak ta odległość nie ma wielkiego znaczenia, bo zarazem w tych nowelach otwiera się przed nami katalog spraw ponadczasowych i uniwersalnych” – pisze Płaza. Nie przeszkadza młodopolski język, który zresztą w noweli „Dziedzina” – jej bohaterem jest poeta Wrześmian, skojarzenie z Leśmianem nieprzypadkowe – okazuje się mieć, zespolony z wyobraźnią, niezwykłą, choć przerażającą moc stwórczą. Grabiński mistrzowsko stopniuje napięcie, groza kryje się u niego w zwyczajności, w prowincjonalnym pejzażu, na małych stacyjkach kolejowych. Granice zaś między jednostką a dookólną rzeczywistością bywają płynne; człowiek może nasycić swoją treścią psychiczną otoczenie, może się też w nim rozpuścić. Bezpieczni nie jesteśmy nigdy! ©®



PLAŻA NAM LEŻY

O PLAŻY ROZMAWIAMY ZWYKLE JĘ-
zykiem bezruchu: „wypoczy-
wać”, „smażyć się”... Tymczasem pla-
żowanie jest faktycznie domeną nie-
ustannej zmiany, krzątaniny, prze-
mieszczania się. Stanowi wyzwanie
logistyczne i sprawdzian zaradności.
Spójrzmy na nasz urlop jako na fascy-
nujące laboratorium nowoczesności,
która zmienia czasową i przestrzenną
skalę naszego życia.

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu
lat liczba otaczających nas przedmio-
tów zwiększyła się radykalnie. Do-
tyczy to, oczywiście, nie tylko plaży.
Ale plażowanie, jako sytuacja nad-
zwyczajna, wyłączona w pewien spo-
sób z porządku codzienności, łatwiej
pozwala nam uzmysłowić sobie ten
przyrost. Inwentarz każdej rodziny
liczy już tysiące rzeczy, których pra-
gniemy, potrzebujemy, które czynią nasze życie łatwiejszym
i zabawniejszym. Wiele z tych przedmiotów służy temu, by
poradzić sobie z innymi przedmiotami, z ich nawałem, sku-
mulowaną masą i objętością. W drodze na plażę widać ten pa-
radoks wyraźnie.

Nadmorski wypoczynek uświadamia nam także znaczenie
nie-miejsc (termin wprowadzony przez francuskiego socjologa
Marca Augégo), czyli wszelkich przestrzeni tymczasowości. Na-
leżą do nich lotniska, autostrady, dworce i przedziały kolejowe.
To punkty, w których nie możemy się zdomowić, w których
zawsze jesteśmy gośćmi czy turystami. Zupełnie jak na plaży.

Pakowanie bagażnika

Zaczyna się oczywiście znacznie wcześniej – w sferze marzeń
i fantazji, przyszpilonych do rzeczywistości tylko wpłaconą zaliczką
i wpisem w kalendarzu. Stopniowo urlop się zbliża, przybiera-
jąc coraz konkretniejsze kształty. Kupujemy potrzebne rzeczy,
robimy pranie, opróżniamy lodówkę i przygotowujemy współ-
pracowników (oraz siebie) do myśli, że nie będzie nas tydzień
albo dwa.

Ale dopiero pakowanie bagażnika uświadamia nam, jak
skomplikowanym logistycznie przedsięwzięciem jest urlop
(wyprawy pociągami i PKS-ami zasługują, oczywiście, na od-
dzielny szkic, tu skupię się na wersji samochodowej.) To na par-
kingu pod blokiem (ewentualnie w garażu czy na podjeździe)
uświadamiamy sobie, jak wielu przedmiotów potrzebujemy, by
skutecznie wypocząć nad morzem. Rozpoczyna się frustrująca
partia „tetrisa”, w której jednak szczególnie wypełnione warstwy
bagaży nie znikają, czyniąc miejsce dla kolejnych pakunków,

Wszystko, co stałe, roztapia się tu
w słońcu, również przestrzeń i czas.

Oto nasz raport
znad obleżonego morza.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

lecz piętrzą się, rzucając wyzwanie
przemysłnym inżynierom Fiata,
Forda czy Renault.

Przeciążonym gadżetami na ra-
tunek przychodzą kolejne gadżety.
Bagażniki dachowe, zaczepy na ro-
wery, przyczepy. Współczesny sa-
mochód obrasta rzeczami równie
szybko jak współczesny dom.

Na autostradzie

Prowadzi nas GPS. To pierwsze
zastosowanie telefonu komórko-
wego – króla wszystkich gadżetów
i najlepszego przyjaciela plażowi-
cza. A jest przed czym ostrzegać, bo
życie nad morzem płynie w rytmie
turnusów. W sobotę autostrada
w obydwu kierunkach wypełnia
się do granic możliwości. Przypo-
minam sobie wspaniałych „Auto-

nautów z kosmostrady”, gdzie Julio Cortázar i Carol Dunlop po-
mieszkowali eksperymentalnie na kolejnych parkingach przy
autostradzie. Oglądane ich oczyma jawiły się jako miejsca za-
ciszne i niepozabawione magii.

W sobotę przy A1 raczej by sobie nie pomieszkali. Każdy metr
kwadratowy wypełniony jest wypoczywającymi w drodze na
wypoczynek. Do dystrybutorów paliwa długie kolejki. „Trzeba
było zatankować przed wjazdem na autostradę”. W przyszłym
roku na pewno będę pamiętać. Ale w przyszłym roku pewnie
się już ta mądrość nie przyda. Wprowadzą płatność zbliżeniową
przy dystrybutorze albo aplikację w telefonie. Ciągła zmiana
jest jedynym prawem autostrady.

Pokój

Wreszcie docieramy na miejsce. Albo raczej na nie-miejsce, bo
pokój w pensjonacie, namiot, przyczepa kempingowa, domek,
apartament czy pokój w hotelu to wszystko idealni przedstawi-
ciele tego właśnie gatunku.

Lepiej nie myśleć o tym, ile podobnych rodzin mieszkało tu
przed nami. Nie powinniśmy spotykać się z nimi, by podtrzy-
mać iluzję, że jesteśmy u siebie. Wszelkie akty takiej komunika-
cji następują jedynie przypadkiem i wynikają z niedoskonałości
procedur przejściowych. Zapomniana zabawka pod łóżkiem,
makabryczny ślad keczupowej (?) dłoni odbity nad stołem, wy-
łamany zawias w szafie.

Nawet jeżeli przyjeżdżamy na pełne dwa tygodnie, nigdy
nie rozpakowujemy wszystkich rzeczy. Część z nich pozostaje
w torbach, jako kolejne *memento*. Jesteś tu tylko przejazdem.
To się nie dzieje naprawdę.



Wyruszamy

Wyruszamy na plażę. Ciągłe słyszę opowieści o tych, którzy nad morze zrywają się o 6.15, żeby o 7.10 zarezerwować dogodną miejscówkę. Ale jakoś nigdy ich nie spotkałem. Patrzę na zegar (w telefonie, oczywiście). Jest 11.30. Myślę, że tym razem to już na pewno będziemy ostatni. Nie zostali już żadne dobre miejsca blisko wody i trzeba będzie godzinami przemierzać plażę w poszukiwaniu skrawka terenu dla rozbicia obozowiska. Ale nie! Z sąsiedniego pokoju dobiegają mnie pocieszające głosy: „Znowu jesteś niegotowa! Będziemy ostatni!”. Zawsze jest ktoś, kto wyrusza później.

Bo wyruszanie na plażę to nie punkt w czasie znaczący początek drogi, lecz rozbudowany rytuał obwarowany specjalnym ceremoniałem. Spakowałeś ręczniki? A krem do opalania? A parawan-łopatki-coś-do-picia-bo-gorąco-a krem-już pytałaś-a owoce?

Jakbyśmy na tej plaży mieli przetrwać wojnę albo inwazję zombie, jak gdyby w grę wchodziły dni, tygodnie, nieprzewidywalne warunki pogodowe i dzikie zwierzęta. Znowu nawał przedmiotów. Trzeba o nich pamiętać, spakować je, zmieścić, opanować. Na szczęście powtarzalność rodzi strategię, wymusza systematyczność, porządek.

Budki z głupotami

W drodze na plażę mijamy „budki z głupotami”. Nie wiem, czy mają jakąś oficjalną nazwę. Mam na myśli wszystkie te miejsca, gdzie można kupić urlopowe rzeczy. Jeżeli np. zapomnieliśmy z domu parawanu, tutaj możemy go nabyć (59 zł za dziesięciometrowego potwora), wraz ze specjalnym młotkiem (wprawdzie kosztował tylko 6 zł, ale po pierwszym uderzeniu odpadła mu główka). Marzy ci się dmuchany materac w kształcie

częstki arbuza, flaminga, jednorożca albo jednego z bohaterów najpopularniejszej w tym sezonie kreskówki? Żaden problem!

Są też, oczywiście, sklepiki z zabawkami, a nawet automaty, z których po wrzuceniu monety wypada kula skrywająca gumowego insekta albo zawieszkę z elfim ornamentem.

Olbrzymie namioty oceniają stopy literatury i prasy drugiej świeżości. Z jakiegoś powodu w drodze na plażę trudno zaopatrzyć się w nowości wydawnicze, z łatwością można jednak nabyć klasykę w kuszących cenach. Czasem szperając wśród stosów romansów i kryminałów można znaleźć perełki, jak fascynującą książkę o strukturach narracyjnych u Stephena Kinga, w przypadku której ktoś w hurtowni najwyraźniej nabrał się na wielkie nazwisko na okładce.

Podziwiając kolekcję prasy sprzed roku czy dwóch, co i raz dają się nabrać i zapominam o dacie ważności. Te same twarze polityków i aktorów, wciąż aktualne obietnice urody i sekrety mody, pikantne ploteczki, o których zdążyłem już zapomnieć. Naprawdę błyskawiczne zmiany zaczynają przypominać bezruch. Jak krajobraz rozmazany za oknem superszybkiego pociągu, który zamiera w trzy kolorowe pasy w stylu Marka Rothko znaczące nasyp, drzewa i niebo.

Oddzielną grupę stanowią budki gastronomiczne. Nie mówię tu o barach, restauracjach i smażalniach ryb, gdzie siada się, by zjeść obiad, ale o przybytkach serwujących lody, gofry czy frytki, które chwyta się w biegu i przekąsza po drodze. To kulinarne nie-miejsca. Także tutaj dokonuje się błyskawiczny postęp. Praktycznie co roku przybyło nie wiadomo skąd gadzety rewolucjonizują przekąskowy pejzaż. Zwykle lody ustępują lodom tajskim, gofry robią się bąbelkowe, frytki – belgijskie albo w ogóle zamienione na zakręconego ziemniaka. ➔



Władysławowo, sierpień 2015 r.

→ Do tego gigantyczny wybór smaków, kształtów, posypek i dodatków.

Bo w świecie tysiąca i jednej rzeczy personalizacja jest czymś oczywistym. Przedmioty dopasowują się coraz dokładniej, by sprostać naszym gustom, spełnić nasze zachcianki, wyrazić naszą osobowość. I przylgnąć.

Przez wydmy

Niewiele obiektów ma wyjście bezpośrednio na plażę. Żeby dotrzeć na piasek, trzeba najpierw pokonać dłuższą lub krótszą drogę przez pas nadmorskiej roślinności. Niektóre trasy są wyasfaltowane, inne prowadzą przez las albo mało atrakcyjne krzaki pełne niemiłych niespodzianek.

Wydłużona trasa na plażę nie tylko zwiększa zapotrzebowanie na kulinarne zapychacze czasu, ale także wymusza pomysłowość. Na plażę dotrzeć można pieszo, ale też rowerem, riksą, a nawet wozem konnym. Rankiem tłum plażowiczów wygląda jak ciągnący na zachód pionierzy. Ich dobytek kryją przemysłne drewniane wózki, przyczepki rowerowe, a także niezastąpione niebieskie torby z Ikei. Tu i ówdzie widuje się rodziców wlokących swe pociechy za rączki, podczas gdy pchany z trudem dziecięcy wózek wypełniają szczelnie stopy plażowych gadżetów.

Założenie obozu

Przekraczamy jedno ze starannie ponumerowanych wejść. Witają nas informacje o fokach i morświnach i już jesteśmy na plaży. Pora znaleźć kawałek przestrzeni, który na najbliższe godziny stanie się naszym własnym nie-miejscem.

Edward T. Hall, pionier antropologicznych badań nad przestrzenią, opisując tego rodzaju zabiegi wprowadza pojęcie „prze-

strzeni na pół trwałej”, na którą składają się elementy takie jak meble czy wystrój wnętrz. „Struktura przestrzeni na pół trwałej może wywierać głęboki wpływ na zachowanie i (...) wpływ ten daje się mierzyć – czytamy w jego klasycznej pracy „Ukryty wymiar”. – To, co w jednej kulturze jest przestrzenią trwałą, może być przestrzenią częściowo trwałą w innej kulturze i *vice versa*”. W Japonii ściany są ruchome, wymienia Hall, Chińczycy nie poruszają krzesel w cudzym domu, chyba że na wyraźną prośbę właściciela.

Za opanowanie plażowej przestrzeni odpowiadają specjalne gadzety. Koce plażowe (stopniowo zastępują wielkopowierzchniowe ręczniki), parasole czy pomysłowe błyskawicznie rozkładane namioty. W tym roku w naszej miejscowości po raz pierwszy pojawiła się też wypożyczalnia leżaków.

Najważniejsze są jednak parawany. W ciągu ostatnich kilku lat stały się one nieoczekiwanie źródłem wielu publicystycznych – politycznych wręcz – emocji. Jeżeli dobrze rozumiem, spór o parawany, na temat którego z pewnością powstanie kiedyś niezły doktorat, rozgrzewa z jednej strony krytyków „polskiej manii grodzienia”, z drugiej – egalitarystów potępiających wywyższanie się „nieparawanowych”. Jednak parawany można uznać za ciekawy element specyficznego polskiego kodu plażowania („Każdy z nas przechowuje swoje rzeczy zgodnie z charakterystycznym, unikalnym wzorcem” – pisze o przestrzeni na pół trwałej Hall) i skutek wietrznego klimatu.

Oglądane na zdjęciach z dronów (w tym roku robią na plaży furore) piaszczyste przestrzenie podzielone kolorowymi parawanami i szczelnie wypełnione ludźmi, kocami oraz parasolami mają w sobie coś nieodparcie fascynującego. Nie ukrywajmy: są po prostu piękne!

Tłum

Na lotniczych zdjęciach w oczy rzuca się także tłum. Tłum jest nieoczekiwanym skutkiem ubocznym demokratyzacji. Jego istnienie z przerażeniem odkrywają elitaryści od czasów Gustave'a Le Bona („Psychologia tłumu”) i Ortegi y Gasset („Bunt mas”) aż po współczesnych publicystów rozczarowanych faktem, że nad Bałtykiem czy w Tatrach nie sposób już znaleźć zacisznego miejsca.

Ale ci, którzy narzekają na „zadeptane tatrzańskie szlaki” i tłok na plaży, muszą pamiętać, że wyrażają tym samym życzenie, by turystyczne atrakcje dostępne były tylko dla wybranych – bogatszych, lepiej urodzonych, mieszkających najbliżej. W urlopowym narzekaniu na tłum mieści się tęsknota – nie zawsze podszyta czymś złym, czasem po prostu naiwna – za „dawnymi czasami”.

A więc także powrotem nierówności i barier, które znaczną część społeczeństwa pozbawiały możliwości jakiegokolwiek wyjazdu albo przynajmniej utrzymywały wyraźne rozgraniczenie między miejscami, gdzie przyjeżdżała „elita”, a tymi dla „mas”.

Kopanie na plaży

Mundialowa gorączka w najlepsze trwa na plaży. Przed nosem co i raz przelatują mi piłki wszelkich kolorów i rozmiarów. Nieuważny spacerowicz z łatwością może stracić zęby, potykając się o zaimprowizowane bramki z patyków lub wbitych na sztorc klapek (widziałem ten sprytny patent kilka razy). Jednak także i tu pomysłowość stopniowo ustępuje miejsca konsumpcji i pośród piasku coraz częściej wyrastają przemysłne składane bramki z marketów sportowych, a nawet całe boiska do siatkówki, które po zwinięciu przybierają postać poręcznego pakunku (ta dyscyplina, na co dzień niesprawiedliwie zepchnięta w cień przez futbol, na plaży rywalizuje z nim jak równy z równym).

Piłką nożną uprawiana w przestrzeni publicznej przez amatorów do dziesiątego roku życia polega głównie na wcielaniu się w rolę.

Co chwila słychać okrzyki „Gol dla Francji!” i „Nie możesz być Modrić, bo ja jestem Modrić!”. Tutaj z kolei gadzety nie nadążają za społecznym zapotrzebowaniem – według moich systematycznych notatek większość grających wciąż ma koszulki Messiego, Ronaldo lub Lewandowskiego. Z tym zawstydzającym faktem bez trudu radzi sobie wyobraźnia.

Kto nie kopie piłki – kopie w piasku. Także i tu technologia odcisnęła swe piętno. Miejsce niewielkich zamków, kanałów i podkopów, które pamiętam z dzieciństwa, zajęła plażowa architektura monumentalna. Nic dziwnego – część obserwowanych przeze mnie budowniczych posługuje się pełnowymiarowymi, metalowymi szpadlami z marketów budowlanych. Inni mają do dyspozycji przemysłne gadzety z „budki z głupotami”, jak choćby foremki w kształcie gotowych wież i murów z blankami.

W tym roku po raz pierwszy wśród plażowych architektów dostrzegłem także dorosłych. I nie chodzi o ojców cierpliwie stawiających babki, które potem ich pociechy z radością zamieniały w piaskowe gruzowisko. Jeden gość, używając bardzo profesjonalnie wyglądających łopatek i szpachelek do wygładzania piasku, wznosił na naszej plaży imponującą makietę greckiego amfiteatru o średnicy czterech czy pięciu metrów.

Sinice

A potem nadeszły sinice. Nie wiem, skąd przybyły i czego chciały, ale skutecznie sterroryzowały całą plażę, zmieniając na kilka dni trasy codziennej migracji i wyracając do góry nogami lokalną ekonomię. Plaża nagle stała się miejscem mniej uczęszczanym, a budki z goframi, przez które wcześniej przemykano jedynie w drodze ku złotym piaskom, zmieniły się dla wielu rodzin w przystanki docelowe, gdzie przy dźwiękach filmów i muzyki puszczonej z telefonów komórkowych spędzano godziny w oczekiwaniu na pomyślne wieści znad wody.

Nieoczekiwanym skutkiem inwazji sinic było też ujawnienie skomplikowanych struktur plażowej komunikacji. Wieści o przybyszach z głębin nadciągały z zewnętrznego świata – od nieurlopującej rodziny zabijającej czas oglądaniem telewizji i przeglądaniem internetu. Następnie rozchodziły się błyskawicznie z ust do ust, w pensjonacie, przy gofrowych stolikach, w drodze przez wydmy, a nawet na samej plaży. Jako temat konwersacji, lęków i średnio zabawnych żartów sinice szybko pokonały pytona, a nawet na wpół już legendarnego dzika, który dwa lata temu sterroryzował plażowiczów w Karwi. „Słyszeliście? Nadchodzą!”. „Podobno są już w Dębkach!”. „W Łebie wszystkie kąpieliska zamknięte!”.

I znów z pomocą przychodzą gadzety. Do „budki z głupotami” nie zawitały jeszcze wprawdzie testy na sinicowe toksyny ani przenośne odstraszacze, ale w sukurs przestraszonym jak zwykle przyszły telefony komórkowe.

Do porannego rytuału sprawdzania prognozy pogody dołączył teraz obowiązek wizyty na stronie Głównego Inspektora Sanitarnego. Czy nasze kąpielisko ma znaczek zielony czy czerwony? Czy grozi nam zamknięcie, skoro wszędzie wokół jest czerwono?

Powrót do domu

Daniel Bell, teoretyk społeczeństwa postindustrialnego, twierdził, że współczesny świat opiera się na błyskawicznym globalnym przepływie rzeczy i idei, mobilności, dostępności, elastyczności i natychmiastowości. Logice tej ulega nie tylko współczesna praca – w której usługi wypierają przemysł, a „elastyczne kontrakty” umowy o pracę – lecz także czas urlopu.

Za fasadą nieruchomego lenistwa skrywa się nieustanna krzątanina. Plaża nie jest ucieczką od naszej nowoczesnej gonitwy, lecz przestrzenią, w której napotykamy samą jej esencję. Na plaży jest wszystko, co ważne dla współczesnego świata. Hipertrofia rzeczy, dominacja nie-miejsc, błyskawiczny postęp od pomysłowości do konsumpcji, od przerabiania i adaptowania do kupowania gotowych rozwiązań skrojonych na naszą miarę.

Aż wreszcie przychodzi kolejna sobota. Po tygodniu, dwóch, może trzech, jeżeli ktoś miał dużo szczęścia i nie obawiał się sinic, trzeba spakować powiększony w „budkach” arsenał gadżetów i wyruszyć w powrotną drogę rozpaloną autostradą.

Już wkrótce cały urlop będzie się wydawał iluzją, kolejnym nie-miejscem. Jak parking przy autostradzie, przez który przemknęliśmy w drodze z jednego tygodnia pracy ku kolejnemu. „Wszystko, co stałe, rozpływa się w powietrzu” – zatułował swoją książkę o doświadczeniu nowoczesności Marshall Berman. Jak na plaży: tutaj wszystko, co stałe, roztopia się w słońcu.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

STANISŁAW

Mancewicz:

Wiara czyni cuda



ROZLUŻNIAJĄC SIĘ WAKACYJNIE, CHODZĄC SOBIE po mieście, licząc dorosłych mężczyzn w krótkich spodenkach występujących na ar, przyglądając się brodaczo, odcyfrowując wytatuowane napisy pisane czcionką jakby arabską, bądź to żydowską, a także

szwabachą i pismem chińskim, spisując sobie w notesie obejmowane, wkłute na zawsze w brzuchy polskie alegorie lękowe, a to wilcze paszcze, szpony, dzioby, ruiny domostw, wybuszki i wybuchy, kałachy podczas pracy, czaszki, ale i ptaszki, motylki, koczki, delfiny, bukiety kwiecica, serca i kotwice – zsumowaliśmy to wszystko i wyszło nam, żeśmy powinni dziś poważnie zastanowić się nad tutejszymi wierzeniami. Żeśmy winni, choćby roboczo, stworzyć syntezę owych. Przyglądając się bliżnim, ale i delikatnie podpytując tych, z którymi rozmowa jest na podstawowym poziomie jeszcze możliwa, utworzyliśmy na własne potrzeby listę powszechnych tu uwierzeń, czyli mnie-mań nie do zbita absolutnie żadną argumentacją.

Naturalnie nie będziemy tu czynić analiz na temat wiary w zbawienie czy życie pozagrobowe, nie jesteśmy bowiem do tego w najmniejszym stopniu przygotowani. Poza tym przynigdy nie zaznaliśmy choćby cienia ducha czy świadectwa istnienia własnej duszy, bo gdyby tak się stało, to chyba jasne, że natychmiast byśmy ją – uchwyconą na gorącym uczynku istnienia – sprzedali z drobnym choćby zyskiem. Podobnie także pominiemy cały arsenał wiar najnowszych i coraz szerzej obowiązujących, a to w konieczność nieustannego płukania jelita grubego, w mus odsysać i nasycać, w jedzenie czegoś bądź niejedzenie, w picie bądź też niepicie, w stosowanie czosnku na choroby z definicji śmiertelne, w szkodliwość szczepień ochronnych, podobnie też pominiemy wiary w spiski, a to żydowskie, muzułmańskie, katolickie, masonskie, święte przekonania w zмовy bankierów bądź farmaceutów, w mroczne umowy hodowców drobiu klatkowego, w dalekosiężne plany twórców smug na niebie i zamiary karbonariuszy, w manipulacje

genowe roślin, zwierzaków i ludzi oraz wiele, wiele innych wiar zajmujących jakże wiele miejsca w nieustannie przestraszonych bądź rozniewianych tutejszych rozumach. Sumując to wszystko doszliśmy do jakże banalnych wniosków, które – jak to zwykle bywa w odkrywaniu Ameryki – przyniosły nam mnóstwo satysfakcji i poczucie niejakej wyższości, z którym czujemy się szalenie nasyceni. Jak każdy.

Oto uznaliśmy, że sumą ową rozmów i badań, o których wspomnieliśmy na początku, jest powszechna, nieskończona wiara we własne dobro i cudze zło. Z tego elementu wysnuwają się wiary inne. Nie mamy tu oczywiście zamiaru rwać naszych kosztownych szat nad tą kulawizną natury ludzkiej, ale możemy przecież przez minutkę pofantazjować sobie, coż to z tego może wynikać. Rzecz jasna skłonność do samobeatyfikacji i równoczesnej diabolizacji bliźnich nie jest nowa, zawsze jakiś procent populacji uprawiał to hobby, ale zaiste jest coś w tym, że tę prościutką zasadę – czy jako się rzekło wiarę – wyznają dziś absolutnie wszyscy.

Jest chyba jasne, że konsekwencje takiego oglądu świata przez każdego muszą być niesłychane. Gdyby ktoś domagał się choćby drobnego przykładu, służymy zdobytym *ad hoc*. Na wspomnianych tu już kiedyś 70. urodzinach Antoniego Macierewicza tenże wypowiedział zdanie będące właściwie sednem naszych znakomitych przemyśleń. Przykuło ono naszą uwagę, choć mogło się zgubić w dziesiątkach obecnych tam recept czy analiz, a to Gospodarza, a to jubilata. Rzekł on, ten ostatni, wtedy coś arcyważnego, by oto „nigdy nie dawać wrogom prawa głosu”. Jest to stosunkowo nowa, oczywiście już zanalizowana przez mędrszych, absolutnie jak się okazuje arcyskuteczna metoda uprawiania nie tylko polityki, ale też publicystyki, ale też – zważmy – etyki, estetyki, dietetyki, medycyny niekonwencjonalnej, stosowania prawa – po prostu wszystkiego, aż po generalne opisywanie świata i wszechświata. Jest to zasadniczy element wiary. Brzmi on zgrubnie tak oto: nigdy nie słuchaj tego, co ktokolwiek do ciebie mówi, nigdy nie przyznawaj mu racji, nigdy nie próbuj zrozumieć kogokolwiek, nie uznawaj za istniejące cudzych problemów, nigdy nie próbuj odpowiadać na pytania, nigdy nie próbuj znaleźć się na tej samej – nazwijmy to – platformie umysłowej mogącej posłużyć do rozwiązywania zagadek, problemów, diagnozowania zjawisk bądź chorób. Nigdy tego nie rób, bowiem przegrasz. Mów o sobie tylko dobrze, o innych tylko źle. Nigdy także nie uważaj, że twoje prawa mogłyby dotyczyć kogoś prócz ciebie. Wtedy będziesz szczęśliwy i zawsze wygrany.

A o to przecież chodzi.

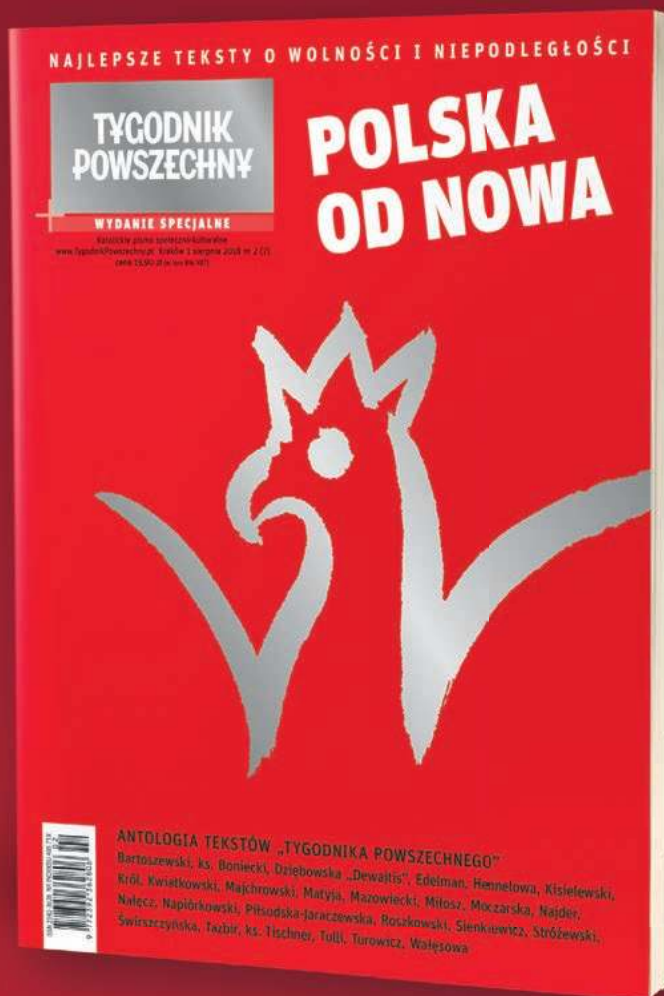
©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



PREMIERA

**Już w sprzedaży
kolejne wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego”**



„POLSKA OD NOWA” to wybór najlepszych tekstów z ponad 70-letniej historii „TP”, poświęconych niepodległości, wolności i ojczyźnie.

Piszą i opowiadają m.in.:

- budowniczy Gdyni Eugeniusz Kwiatkowski
- córka Józefa Piłsudskiego Jadwiga Jaraczewska
- noblista Czesław Miłosz
- pierwszy naczelny „TP” Jerzy Turowicz
- kapelan Solidarności ks. Józef Tischner
- minister spraw zagranicznych III RP Władysław Bartoszewski

Na wydarzenia lat 1918, 1945, 1989, 2004 i 2018 patrzą historycy, politycy, pisarze, filozofowie i reporterzy, ale jest jeszcze jedna, przekraczająca kategorie zawodowe, perspektywa.

W dziale „Polska jest kobietą” oddajemy głos tym, których rolę często pomija historia, choć dzięki ich mocy i niezłomności nasze stanowienie Niepodległej mogło stać się faktem.

Niezastąpiona lektura podczas Roku Niepodległości. Już w salonach prasowych oraz w e-wydaniu





SOS WIOSKI
DZIECIĘCE

www.dziecisos.org

Lekcję życia odrabiam sam

Wojtuś, 8 lat



Opuszczone i osierocone dzieci zaczynają życie bez rodziców.
Nie czują się kochane, nie czują się potrzebne.
Za mamą i tatą tęsknią każdego dnia.
Trudno wtedy odrabiać lekcje, ale jeszcze trudniej iść przez życie.

Pomóż nam otoczyć porzucone dzieci miłością w zastępczych rodzinach SOS i wyrównać ich szanse edukacyjne.

Prosimy, przekaż darowiznę na konto 07 1240 6247 1111 0000 4975 0683
lub użyj poniższego blankietu wpłaty. Dziękujemy!

Patronat medialny:



Stowarzyszenie SOS Wioski Dziecięce w Polsce,
Organizacja pożytku publicznego, KRS 0000 056 901
Al. Wilanowska 309A, 02-665 Warszawa

www.wioskisos.org, darczyncy@wioskisos.org, tel. 22 622 16 72

Informujemy, że przekazane przez Państwa dane osobowe będą przetwarzane dla celów niezbędnych do obsługi procesu przekazania darowizny na rzecz Stowarzyszenia SOS Wioski Dziecięce w Polsce na podstawie art. 6 ust. 1 lit. b) RODO oraz w celu kierowania do Państwa komunikacji marketingowej, promocyjnej oraz promowania działalności statutowej na podstawie art. 6 ust. 1 lit. f) RODO przez Stowarzyszenie SOS Wioski Dziecięce w Polsce z siedzibą w Warszawie przy Al. Wilanowskiej 309A przez okres prowadzenia działalności statutowej Stowarzyszenia „SOS Wioski Dziecięce w Polsce”, jednak nie dłużej niż do czasu zgłoszenia przez Państwa skutecznego sprzeciwu. Stowarzyszenia SOS Wioski Dziecięce w Polsce będzie administratorem przekazanych przez Państwa danych. Podanie danych jest dobrowolne. Mają Państwo prawo do wglądu i poprawiania swoich danych oraz zażądania zaprzestania lub wniesienia sprzeciwu wobec ich przetwarzania.

DOWÓD / POKWITOWANIE DLA WPLACAJĄCEGO	nr rachunku odbiorcy		nazwa odbiorcy	
	Bank Pekao SA		Stowarzyszenie SOS Wioski Dziecięce w Polsce, Al. Wilanowska 309A, 02-665 Warszawa	
	nr rachunku odbiorcy cd.		nazwa odbiorcy cd.	
	07 1240 6247 1111 0000 4975 0683			
	odbiorca:		I.k.	
	Stowarzyszenie		07	
	SOS Wioski Dziecięce w Polsce,		1240 6247 1111 0000	
	Al. Wilanowska 309A, 02-665 Warszawa		4975 0683	
	kwota:		kwota słownie	
	tytułem:		waluta	
		kwota		
		nr rachunku zleciiodawcy (przelew)		
		nazwa zleciiodawcy		
		nazwa zleciiodawcy cd.		
		tytułem		
		BTS 1/18/Tygodnik Powszechny		
		Oplata:		
		data, pieczęć, podpis(y) zleciiodawcy		